

ANTONIO MANZINI STWORZYŁ
NAPRAWDĘ NIESAMOWITEGO BOHATERA
ANDREA CAMILLERI

ANTONIO
MANZINI

**ZŁA PORA
ROKU**

ŚLEDZTWA ROCCA SCHIAVONE #3

ANTONIO
MANZINI

ŚLEDZTWA ROCCA SCHIAVONE

**ZŁA PORA
ROKU**

przełożył
Paweł Bravo



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

AM 166 TT

„Oho, zdawało mi się, że widziałem kotecka”.

Kanarek Tweety

Poniedziałek

Piorun rozdarł noc i na moment niczym fotograficzny flesz oświetlił białą furgonetkę, która zjeżdżała powoli z Saint-Vincent w kierunku Aosty.

– Zaczyna padać – powiedział Włoch za kierownicą.

– No to zwolnij – odpowiedział z obcym akcentem pasażer.

Rozległ się grzmot, potem o szybę chlusnęła ulewa. Włoch uruchomił wycieraczki, ale nie zredukował prędkości. Włączył tylko długie światła.

– Asfalt jest mokry i śliski jak mydło – zauważył cudzoziemiec, sięgając do kieszeni kurtki po komórkę.

Ale Włoch nie zwolnił. Mężczyzna rozprostował wyjętą z kieszeni kartkę i zaczął wystukiwać numer na telefonie.

– Czemu nie zapisujesz numerów w komórce, tak jak wszyscy?

– Bo mam zapchaną pamięć. Nie wtrącaj się – odpowiedział, skupiając się na numerze. Furgonetka wpadła w dziurę i obaj podskoczyli.

– Zaraz się porzygam – marudził facet z obcym akcentem, podnosząc telefon do ucha.

– Do kogo dzwonisz?

Tamten nie odpowiedział. W słuchawce rozległo się zaspane: „Halo? Kto mówi?”. Skrzywił się i przerwał połączenie.

– Pomyłka – wymamrotał, wciskając nerwowo klawisze pochłapanego farbą telefonu.

Skończył przy nim gmerać i wsunął do kieszeni. Wyjrzał przez okno. Droga była kręta, a znaki zapowiadające kolejną serpentynę pojawiały się w ostatniej chwili. Rozregulowany silnik i dziurawy tłumik wydawały dźwięki przypominające spadające ze schodów żelastwo. A leżąca z tyłu skrzynka narzędziowa na każdym zakręcie turlała się z jednej strony na drugą.

– Potop, istny potop, przyjacielu!

– Nie jestem twoim przyjacielem – odpowiedział cudzoziemiec.

Nawet w świetle reflektorów droga Saint-Vincent–Aosta była niewidoczna. Włoch co raz redukuje, potem wrzuca wyższy bieg i dociskał pedał gazu.

– Dlaczego jedziesz tak szybko?

– Bo zaraz będzie świt. A o świcie chcę być w domu! Zapal sobie i przestań zawracać mi dupę, Sławomir.

Mężczyzna podrapał się w brodę.

– Nie nazywam się Sławomir, jełopie. Sławomir to polskie imię, a ja nie jestem Polakiem.

– Polak, Serb, Bułgar... Dla mnie wszystko jedno.

– Ale z ciebie kutas.

– A co, może nie jesteście tacy sami? Wszyscy takie same gnoje. Złodzieje i Cyganie. – Potem dodał: – Boisz się serpentyn? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – No co, Cygan, boisz się?

– Boję się, bo źle prowadzisz. I nie jestem Cyganem.

– Co jest, wkurzyłeś się? A co jest złego w byciu Cyganem? Nie trzeba się wsty...

Przerwał mu głośny huk. Furgonetka przechyliła się na bok.

– Kurwa! – próbował odbić kierownicą w drugą stronę.

Cudzoziemiec krzyczał, wrzeszczał też Włoch, piszczały trzy jeszcze całe opony, wtedy pękła kolejna i samochód skoczył do przodu, wyłamał drewniany płotek, skosił znak ograniczenia prędkości i zatrzymał się na dwóch modrzewiach rosnących przy drodze. Szyba rozprysła się na tysiąc kawałków, wycieraczki wygięły się, silnik zgasł.

Cudzoziemiec i Włoch tkwili nieruchomo w aucie, ze szklanym wzrokiem utkwionym w odległym punkcie. Z otwartych ust i kącików oczu ciekła krew. Z przetrąconymi karkami wyglądali jak dwie porzucone lalki. Kolejna błyskawica wyłowiła z ciemności obraz dwóch martwych twarzy z rozszerzonymi źrenicami.

Deszcz wściekle bębnił o karoserię. Roztrzaskana furgonetka z wciąż włączonymi światłami skrzypiała przy każdym ruchu, zawieszona w niepewnej równowadze na wystających z ziemi korzeniach. Nagle osiadła ostatecznie, martwe ciała mężczyźni podskoczyły ostatni raz.

Minęły trzy sekundy od wybuchu pierwszej opony do chwili, gdy furgonetka wbiła się w pnie drzew.

Trzy sekundy. Nic. Westchnienie.

Trzy sekundy, tyle potrzebował Rocco Schiavone, żeby zorientować się, gdzie jest. Wieczność.

Otworzył oczy. Nie rozpoznał ścian, drzwi, zapachu domu. Gdzie jestem? – zastanawiał się, sprawdzając zaspanym wzrokiem przestrzeń dookoła. Półmrok wypełniający pokój nie ułatwiał mu zadania. To było nie jego łóżko, nie jego pokój i nie jego mieszkanie. Najprawdopodobniej także kamienica nie była jego. Miał nadzieję, że przynajmniej miasto było to samo co wczoraj. To samo, w którym mieszkał i od dziewięciu miesięcy odpokutowywał swój błąd – Aosta.

Dopiero widok kobiecego ciała tuż obok pomógł mu poskładać elementy układanki.

Spała spokojnie, jej czarne włosy leżały rozrzucone na poduszce. Gałki oczne poruszały się pod powiekami. Lekko rozchyliła usta, jakby całowała kogoś przez sen. Noga wymknęła się spod kołdry, a stopa wyszła poza materac.

Zasnął w domu Anny! Co się z nim działo? Błąd! Pierwszy nieostrożny krok do tego, by się przyzwyczaić! Na myśl o niechcianej integracji z tym miastem i jego mieszkańcami poczuł przerażenie. Usiadł nagle na łóżku. Przetarł oczy.

Nie, to niemożliwe, pomyślał. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy nie zdarzyło mu się spać poza domem. Od tego wszystko się zaczyna, znał to... A potem już z górki. Regularne bywanie w kawiarni, bliższa znajomość ze sprzedawcą z warzywniaka i z kioskarzem, aż wreszcie sakramentalne zdanie barmana: „To co zwykle, szefuniu?” i już po tobie. Z automatu stajesz się obywatelem Aosty. Opuścił stopy na ciepłą, włochatą, miękką wykładzinę. Wstał. W półmroku sinego jak rybi brzuch świtu ruszył w stronę krzesła zarzuconego stertą ubrań. Jego ubrań. Uderzył o coś paluchem i poczuł przeszywający ból.

Nie pisał, ale upadł na łóżko, trzymając się za lewą stopę, którą zawadził o jakiś kant. Rocco wiedział, że to jeden z tych potwornych bólów, które dzięki Bogu trwają krótko. Wystarczy zacisnąć zęby przez parę sekund i zaraz mija. Klął po cichu, nie chcąc zbudzić Anny. Nie dlatego, że dbał o jej sen, po prostu musiałby podjąć rozmowę, a nie miał ani ochoty ani czasu. Wymamrotała coś i przewróciła się na drugi bok. Ból stopy, ostry i niemiłosierny, już stawał się wspomnieniem. Całkiem wybudzony Rocco zakrył twarz dłońmi. Przed oczyma, niczym slajdy, przesunęły mu się obrazy z ostatniego wieczoru.

Przypadkowe spotkanie w Caffè Centrale z Anną, przyjaciółką Nory Tardioli, jego byłej sympatii. Uśmieški, mrugnięcia, uwodzicielskie spojrzenia zabójczej kotki, cała ta poza prowincjonalnej femme fatale. Wino. Pogaduszki.

– Wiesz, Rocco, Nora ciągle czeka, że wreszcie zadzwonisz.

– Wiesz, już nie zadzwonię.

– Wiesz, nie rozmawiacie ze sobą od jej urodzin.

– Wiesz, robię to z premedytacją.

– Wiesz, zależy jej na tobie.

– Wiesz, zesłała się z tym architektem Pietro Bucci-cośtam.

Śmiech Anny. Chrapliwy, szyderczy, zaczepny, aż Rocco się kuli.

– Wiesz, jesteś w błędzie. Pietro Bucci Rivolta to moja własność.

Anna wskazuje palcem na siebie, aż zabrzączał srebrny łańcuszek.

– Czemu tak się interesujesz mną i Norą?

– Cierpi przez ciebie.

– Nie mogę posunąć się dalej. Po prostu nie jestem tym, którego potrzebuje.

– A bo ty niby wiesz, czego potrzebuje Nora? Niewiele, Rocco. Ona nie prosi o wiele. Cieszy się z drobiazgów.

Anna zamawia dwa kolejne kieliszki wina.

Potem jeszcze dwa.

– Idziemy?

Ulica. Słabo oświetlona. Brama domu Anny. Niedaleko jego domu.

– Mieszkam tu blisko.

– No to szybko będziesz u siebie.

Anna śmieje się czarnymi błyszczącymi oczyma. Ciągłe pożera go wzrokiem. Ciągłe ta sama bezwzględna kotka.

– W ogóle ci się nie podobam, co?

– Nie. Wcale nie. W sumie fizycznie jesteś całkiem do rzeczy: spiczasty nos, przenikliwe spojrzenie pseudomacho, dość wysoki, szerokie ramiona i dużo włosów. Ale wiesz, z kimś takim jak ty nie wsiadłabym nawet na wyciąg narciarski. Poczekałabym na następne krzeselko.

– Bez obaw, nie jeżdżę na nartach. Spotkamy się na mieście.

– Kto wie... Może nie.

Rzuca się na Annę. Całuje ją. Ona mu pozwala. Sięga ręką za plecy i otwiera bramę. Wchodzą na górę.

Pieprzą się. Czterdzieści pięć minut, może pięćdziesiąt. Dla niego to jeden z życiowych rekordów.

Piersi Anny. Jej rozpuszczone włosy. Umięśnione nogi.

– Ćwiczę pilates.

Krzepkie ramiona.

– Też pilates.

Wycieńczeni, spoceni padają na łóżko.

– Dziewczyno, ja już nie jestem taki młody.

– Ani ja.

– A pilates?

– Nie wystarczy.

– Jesteś bardzo ładna.

– Ty nie.

Śmieją się.

– Wody?

– Wody.

Wstaje. Jędrne pośladki. On myśli: to pewnie też pilates. Ona weszła do kuchni. On się domyśla, bo słyszy, jak otwiera lodówkę. Ona wraca do łóżka.

– Następnym razem mnie zwiążesz?

– Zakuję cię w kajdanki, to moja praca.

Rocco łąpczywie wypija butelkę mineralnej. Ona pokazuje mu swoje obrazy wiszące w całym domu. Kwiaty i pejzaże. Maluje, żeby zapełnić niekończące się nudne popołudnia. On zasypia jak dziecko, kiedy ona prezentuje morski pejzaż z Toskanii.

Ubiera się szybko. Skarpetki, spodnie, koszula, clarksy, marynarka. Miękkim krokiem opuszcza sypialnię i mieszkanie Anny.

Wyszedł w zimny poranek, schłodzony dodatkowo przez padający całą noc deszcz. Słońce jeszcze nie wstało, ale pierwsza poświata zapowiadała ładny dzień. Podniósł wzrok i dostrzegł parę pasących się na niebie chmurek.

Wyjął komórkę, żeby sprawdzić godzinę. Kwadrans po szóstej. Za wcześnie na śniadanie, za późno, żeby kłaść się spać. W kieszeni zabręczały klucze do domu, jakby sugerowały, że przed pójściem do baru na placu Chanoux wypadaloby najpierw wziąć prysznic.

Szedł szybko, niczym kot przemykający wzdłuż murów, przeciął dwie przecznice oddzielające mieszkanie Anny od jego. Wreszcie wrócił do domu.

Jak można się było spodziewać, pustego. Bez Mariny. Nie było jej w łóżku, nie siedziała

w salonie przed telewizorem, oglądając jakieś przedpotopowe wiadomości, nie brała prysznic, nie szykowała śniadania. Tak jakby go wyczuła: zobaczywszy nietkniętą pościel, zrozumiała, że tej nocy nie wrócił do siebie. Po raz pierwszy od długiego czasu spał poza domem i może jej się to wcale nie podobało. Obraziła się i nie chciała się pokazywać. Ze spuszczoną głową przemknęła do łazienki i odkręcił ciepłą wodę. Rozebrał się, wskoczył pod prysznic, wtarł szampon we włosy, potem długo stał pod strumieniem wody. Wyszedł dopiero, kiedy para zamieniła łazienkę w hammam. Przetarł ręką lustro i ukazała mu się jego własna twarz w całej swojej nędzy: worki pod oczami, zaczerwienione powieki, zmarszczki. Wyszczrzył się, żeby obejrzeć zęby.

Wciąż miał nadzieję, że z gęstych oparów wyłoni się Marina. Ale nic z tego. Sięgnął po piankę i zaczął się golić.

O ósmej był w barze na placu – to drugi obowiązkowy etap każdego poranka. Potem na piechotę poszedł do komendy. Nawet nie zauważył, kiedy z nieba zniknęły chmury, odsłaniając czysty błękit. Przemknął chyłkiem do biura. Uniknął posterunkowego Caselli i jego pytań. Prześlizgnął się szybko korytarzem, żeby nie natknąć się na D’Intino i Derutę, których ochrzcił mianem „braci De Rege” na cześć duetu piemonckich komików występujących w latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku, których Walter Chiari i Carlo Campanini przypomnieli w czasach, kiedy mały Rocco po kryjomu u babci oglądał czarno-białą telewizję. Żeby zacząć dzień, musi zapalić, a do tego musi rozsiąść się we własnym biurowym fotelu, przy zamkniętych drzwiach i w ciszy. Absolutnej ciszy.

Wszedł i siadł za biurkiem. Wyciągnął skręta. Trochę przesuszony, ale ujdzie. Wystarczy zaciągnąć się ze trzy razy i już wszystko lepiej się układa. Tak, nadchodzi ocieplenie, a jego czeka tylko spokojny dzień w biurze.

Ktoś zapukał. Rocco wzniósł oczy do nieba. Zgasił skręta w popielnicze.

– Kto tam?

Nikt nie odpowiedział.

– No pytam wyraźnie: kto tam?

Znowu nic. Wstał, otworzył na oścież okno, żeby wywietrzyć zapach konopi.

– Kto tam? – wrzasnął, podchodząc do drzwi.

Dalej bez odpowiedzi. Otworzył. To D’Intino, policjant z Abruzji, czekał pokornie jak pies pod drzwiami.

– D’Intino, czy to takie trudne powiedzieć własne nazwisko?

– Nie, dlaczego?

– Bo od godziny wrzeszczę: kto tam?

– Aha. A to było do mnie?

– A to ty pukales?

– Rozumie się.

– No to kiedy ktoś puka, a zza drzwi ktoś inny woła „kto tam”, to według ciebie do kogo się zwraca?

– Nie wiem...

– Słuchaj, nie chcę sobie psuć dnia, który dobrze się zaczął. Chcę być miły i zrozumieć, co tu nie zagrało. Powtórzymy?

D’Intino przytaknął.

– Zamknę, a ty znów zapukaj.

Tak też zrobił. Zamknął drzwi, odczekał dziesięć sekund. Nic. Nic się nie działo.

– D’Intino, zapukaj! – wrzasnął.

Po dziesięciu sekundach D’Intino wreszcie zapukał.

– Dobrze. Kto tam? – krzyknął Rocco.

Żadnej odpowiedzi.

– Powiedziałem: kto tam?

– Ja.

– Jaki „ja”?

– Ja.

Rocco otworzył drzwi. D’Intino stał tam gdzie wcześniej.

– No więc „ja”, czyli kto?

– Szefie, przecież szef wiedział, że „ja” to ja jestem.

Walnął go trzy razy w plecy otwartą dłonią. Tamten wtulił głowę w ramiona i cicho powiedział:

– Powiedziałem „ja”, bo szef już mnie widział. No i sobie pomyślałem, dlaczego nie...

– Stop! – krzyknął Rocco i dłonią przysłonił usta podwładnego. – Dość już, D’Intino, już wiem, że to ty pukałeś. Czego chcesz?

– Paskudny wypadek na drodze krajowej.

– No i?

– Dwóch zabitych.

– Co z tego?

– Drogówka mówi, że warto, byśmy tam podjechali.

Rocco zakrył twarz dłońmi. Zawołał:

– Pierron! – Nie wyrabiał już z tym idiotą, musiał porozmawiać z kimś o ilorazie inteligencji wyższym od IQ orangutana.

Po dziesięciu sekundach w bocznych drzwiach ukazała się twarz Pierrona, najlepszego policjanta, jakiego miał do dyspozycji.

– Słucham, szefie.

– Co to za historia z tym wypadkiem?

– Na drodze krajowej z Saint-Vincent. Furgonetka. Dwóch zabitych.

– Weź D’Intino i pojedź tam.

– Tak naprawdę to... – zaczął D’Intino, wskazując na klatkę piersiową.

– Czego?

– Szefie, ciągle jeszcze bolą mnie zębra.

Półtora miesiąca wcześniej D’Intino wdał się w bójkę i miał nawet złamany nos. Chwilę potem wpadł do ulicznego wykopu i połamał sobie zębra. Nagranie z monitoringu, na którym widać walkę, jaką stoczył u boku Deruty – sto kilo żywej wagi i godny rywal w walce o tytuł największego idioty w zespole – szybko obiegło komendę i prokuraturę. Stało się kultowe wśród policjantów i sędziów śledczych w całej dolinie. Ilekroć ktoś w biurze miał doła, puszczał sobie kilkuminutowy filmik, na którym obaj nieszczęśnicy próbują aresztować parę dilerów. Prokurator Baldi oglądał go na okrągło, prokurator Messina trzy razy na tydzień wraz z rodziną. Pierron i wiceinspektor Caterina Rispoli czasami odpalali go sobie w biurze paszportowym, które stało się miejscem ich sekretnych schadzek. Do grona fanów dołączył ostatnio komendant Andrea Costa, który na widok perypetii swoich podwładnych śmiał się do łez. Tylko patomorfolog Alberto Fumagalli wydawał się obojętny na komizm tych trzech minut czarno-białego nagrania bez dźwięku. Oglądając je, był smutny, prawie płakał. Ale nie trzeba się tym przejmować. Miał poważne zaburzenia emocjonalne przez stałe obcowanie z trupami, a przede wszystkim wskutek skrywanej bardzo groźnej choroby dwubiegunowej.

– Ale jest przecież drogówka? – zirytował się Rocco. – Wypadki to ich sprawa, nie?

– Zadzwonili do nas sami. Zresztą to nie do końca wypadek, furgonetka sama się rozbiła, nie było innych poszkodowanych, ale coś im nie pasuje i dlatego chcą, żebyśmy się zjawili.

– Niech to szlag – burknął Rocco, zdejmując z wieszaka zielony płaszcz. Nałożył go i zamknął za sobą drzwi. – D’Intino, jeśli nie jesteś zdolny do służby, to po cholere przychodzisz na komendę?

– Zajmuję się papierkami.

– Zajmuje się papierkami – cicho powtórzył Rocco. – Rozumiecie? Zajmuje się papierkami. Chodźmy, Italo. A może ty też masz jakieś schorzenie?

– Nie, nie mam. Ale przypominam, że inspektor Rispoli została w domu, bo ma trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Nie możemy na nią liczyć.

Rocco zmierzył go od stóp do głów.

– I ty też raczej nie możesz na nią liczyć, prawda?

Italo zarumienił się i spuścił wzrok.

Rocco nie dodał nic więcej i ruszył w stronę drzwi. Jeszcze nie całkiem przetrwał romans Itala z Cateriną. Od miesiący miał chętkę na wiceinspektor Rispoli. A kiedy podwładny sprzątnął mu ją sprzed nosa, mocno ucierpiała jego samoocena. Szybkim krokiem zmierzali do wyjścia. Rocco odwrócił się do Itala, rzucając pytanie.

– Specjalnie przysyłasz mi D’Intina?

– Ktoś na dobry humor pali sobie skręta, a ktoś inny podsyła szefowi D’Intina, żeby się dobrze poczuć z rana. – Roześmiał się.

Rocco zdecydował, że już najwyższa pora załatwić z górą przeniesienie D’Intina na jakieś zadupie na południu. Musiał dbać o własne zdrowie.

W maju świat jest piękny. Rozkwitają pierwsze stokrotki, zabarwiając łąki na biało i żółto. Kwiaty na balkonach wylewają się falami kolorów, niczym wyciśnięte z tubek farby. Tak było też w Aości. Rocco spojrzał w niebo.

Wydawało się, że chmury wreszcie poszły sobie w cholerę, gdzieś przezimować, a słońce głąskało góry i doliny, podkreślając piękno tego wspaniałego krajobrazu. Dzięki temu Schiavone miał lepszy humor. Od dawna czekał na takie widoki – konkretnie od końca września poprzedniego roku, kiedy z całym dobytkiem wylądował w komendzie w Aości, karnie przeniesiony z komisariatu przy alei Kolumba w dzielnicy EUR w swoim mieście. Czekają go całe miesiące przenikliwego zimna, śnieżyc, deszczu i mrozu, przez które rozpadło mu się już z dziesięć par clarksów. Jak się dobrze przyjrzeć, to po niebie płynęło jeszcze parę chmurek. Ale były małe i pędziły dalej, co najwyżej na moment zahaczając o szczyty. Nic groźnego.

– Widziałeś? – odezwał się Italo, który poza biurem przechodził z szefem na ty.

– Co?

– Nawet do Aosty przychodzi wiosna. Zawsze ci to mówiłem, trzeba było mi wierzyć.

– To prawda. Już straciłem nadzieję. Wszystkie te kolory... Gdzie one się podziewały do wczoraj?

Italo ruszył z piskiem opon. Rocco pomacał się po kieszeni.

– Kurwa! – zaklął i sięgnął po papierosy podwładnego. Chesterfieldy. – Wiem, że któregoś dnia mnie zaskoczysz i zamiast tego gówna będziesz miał camele!

– Zapomnij.

Rocco zapalił papierosa i oddał paczkę.

– Co byś powiedział, gdybyśmy skoczyli na obiad w góry?

– Dokąd?

– Chciałbym wrócić do Champoluc, do hotelu Petit Charmant. Genialnie gotują.

– Czemu nie? Zobaczymy, jak szybko się uwiniemy.

– Wypadek to drobnostka. Co w tym może być skomplikowanego? Ludzie z tych okolic łatwo robią sobie krzywdę. – Zaciągnął się.

Z okna samochodu służbowego podziwiał naprawdę piękne widoki. Nawet drzewa wyglądały na uśmiechnięte bez tych kilogramów śniegu, które upodabniały je do dziewięćdziesięciolatków przygniecionych starością. Wystrzeliwały prosto w niebo, młode, świeże i dynamiczne.

Przypomniawszy sobie noc spędzoną z Anną. Poczł mrowienie między nogami.

– To naprawdę wiosna! – wygłosił sentencjonalnie i zgasił papierosa.

Dwie opony pękły z powodu całkowitego zużycia, furgonetka marki Fiat rozbiła się na modrzewiach przy wychodzeniu z zakrętu. Jadący nią Carlo Figus i Viorelo Midea zginęli na miejscu. Po ciałach została już tylko zakrwawiona płachta, którą były przykryte. Rocco i Italo podeszli do kolegi z drogówki.

– No więc co tu jest dziwne? – spytał Rocco.

– Nawet nie tyle dziwne, ile poważne – odpowiedział posterunkowy Berruti.

Miał lśniąca białe zęby i lustrzane okulary, wyglądał jak żywcem wyjęty z jakiegoś odcinka *ChiPs* – starego serialu o przygodach dwóch kalifornijskich policjantów patrolujących autostradę na

motocyklach.

– No więc co?

– Kradzione blachy. Nie są z tej furgonetki.

Schiavone przytaknął. Dał znak Berrutiemu, żeby mówił dalej.

– W dowodzie rejestracyjnym jako właściciel wpisany jest Carlo Figus, ten, co siedział za kierownicą, ale tablice rejestracyjne się nie zgadzają.

Dołączył do nich jeszcze jeden policjant z drogówki, nieco otyły, o bystrym wzroku.

– Cześć, Italo! – Znał Pierrona.

– Cześć, Umberto.

– No więc tablice tego pojazdu pochodzą z kradzieży zgłoszonej w Turynie dwudziestego siódmego lutego. Należą do niejakiego Silvestrellego i powinny być przykręcone do mercedesa klasy A, a nie do furgonetki Fiat Scudo. Ta powinna mieć tablice AM 166 TT.

– Domyślam się, że po tablicach AM 166 TT nie ma śladu.

– Żadnego.

– Znowu ten pech – wymamrotał Rocco, wznosząc oczy ku niebu.

– Nie dosłyszałem.

– Mówię, że mam pecha – powtórzył, patrząc tamtemu prosto w oczy. – I to jakiego pecha! Wszystko się za dobrze układało. Prosty wypadek, parę papierów do wypełnienia i z głowy. A tymczasem ci dwaj skurwiele jechali na kradzionych blachach. – Kopnął pierwszy lepszy kamień i odszedł, pozostawiając w lekkim zdumieniu trzech policjantów.

– Zawiadomicie rodziny? – Umberto zwrócił się do Itala.

Rocco, który był ledwie parę metrów dalej, odwrócił się.

– Jasne, że się tym zajmiemy. To nie jest zwykły wypadek drogowy, tylko kradzież, czyli nasza działka.

– Dzięki, jeśli mogę w czymś pomóc... – ucieszył się Umberto.

– Zostańcie tutaj, wypełnijcie wszystkie papiery i więcej się nie pokazujcie. Ja muszę jechać do kostnicy, do Fumagallego, do jasnej cholery.

Klnąc, poszedł w stronę samochodu. Koledzy z drogówki popatrzyli na Itala.

– Zawsze jest taki?

– Nie, dziś jest wyluzowany. Gdyby to było zabójstwo, dopiero byłaby jazda. Trzymajcie się.

Umberto, jesteś mi winien rewanż.

– Kiedy chcesz. Bule czy bilard?

– Bilard.

Nic nie widzę.

Oczy mam ciągle zamknięte?

Otwarte, ale nic nie widzę. Jeszcze śpię? Nie śpię. Wiem, że nie śpię. Kręci mi się w głowie. I to jak! Dudni mi w skroniach. Ciemność powoli się rozjaśnia. Ale niczego nie mogę dostrzec. Coś mam na twarzy? Co to jest? Pajęczyna? Nie, pajęczyna jest ażurowa. Zasłona? Z ciemnej i cuchnącej tkaniny. Czarnej tkaniny. Ohyda. Kiedy zamykam oczy, kręci mi się w głowie. Muszę patrzeć na tę ohydę, mam ją tuż przed twarzą.

Z trudem wlokła swoje myśli, ciągle ociążałe i nabrzmiałe od snu i bólu. Chciała ściągnąć tę szmatę sprzed oczu, ale ręce się nie poruszyły. Były skrępowane.

Nie ruszają się. Nie mogę ruszyć rękami! Nie mogę zdjąć tej szmaty z twarzy, bo nie mogę ruszyć rękami.

Zdobyła się na wysiłek, szarpnęła raz, drugi, ale nadgarstki były unieruchomione. Zaklinałam się w łóżku i wsadziłam głowę w poszewkę? Zaklinałam się? Co mi przychodzi do głowy? Może jeszcze śpię, na dworze jest ciemno, zaraz się obudzę i pójdę na śniadanie.

W skroniach dudniło rytmicznie, jak dzwon na trwogę. Podskórny, ciągły, tępy ból. To musi być noc. Nie słyszę hałasów z ulicy. Ani Dolores, która szykuje śniadanie, ani mamy i taty kręcących się po korytarzu.

To były dźwięki, do których przywykła. Tu panowała głucha cisza.

Siedzę. Na łóżku?

Spróbowała wstać, ale nie była w stanie.

Moje plecy są przyklejone do ściany? Do jakiejś deski?

Spróbowała poruszyć nogami.

Nie mogę nimi ruszyć. Są unieruchomione, tak jak ręce. Paraliż? Jestem sparaliżowana? Nie, palcami mogę ruszać. I stopami też. Ale nogi w kostkach mam skrępowane, tak jak nadgarstki. Co to za koszmar? Zaraz się obudzę. Zaraz się obudzę. Zaraz się obudzę.

Spróbowała się podnieść, ale bezskutecznie.

Co ja mam na głowie? Czy to jakaś szmata? Tak, jakaś szmata. Przez nią widzę... Co to? Ściana. Szara ściana. To nie mój pokój. W moim pokoju ściany są żółte. Gdzie się podziały plakaty Coldplay i Alt-J? Tu wszystko jest szare i brudne. Widzę to. A więc jest dzień. A skoro dzień, to czemu nikt nie przyszedł mnie obudzić?

– Mamo? – krzyknęła. Własny głos ją wystraszył. Spróbowała głośniejsze: – Tato!

Oddychała coraz ciężiej, brakowało powietrza. Ta ohydna szmata odcinała jej powietrze. Za każdym razem, kiedy próbowała wziąć głębszy wdech, wciągała materiał do ust.

– Mamo! Tato! – Bez skutku.

Obudziła się, ale nie w swoim domu. Nie mogła się podnieść, prawie nic nie widziała, dookoła śmierdziało pleśnią. Była sama.

Chiara rozplakała się.

Ostatni znany adres Carla Figusa to ulica Chateland. Rocco posłał tam Scipioniego, żeby przekazał smutną wiadomość, złapał jakiegoś krewnego i doprowadził do kostnicy na okazanie zwłok. Padło na Scipioniego z konieczności, bo inspektor Caterina Rispoli leżała w łóżku z gorączką, a Italo Pierron szukał śladów drugiej ofiary wypadku. Wicekwestorowi pozostał więc tylko Antonio Scipioni, przydzielony do Aosty w grudniu. Niezbyt dobrze go znał, ale nie wyglądał na kretyna jak Deruta i D'Intino albo jakiś Casella. Wiedział, że chłopak ma korzenie sycylijskie i marchijskie, kocha góry, no i wydawał się zawsze przytomny. Nie wygadywał głupot. Rocco miał nadzieję, że kiedyś zaliczy go do wartościowej części stanu osobowego komendy. Jeden człowiek więcej zawsze się przyda.

Siedział pod drzwiami kostnicy, paląc papierosa, kiedy przez wzorki w szybie dostrzegł trudną do pomylenia sylwetkę pochodzącego z Livorno lekarza sądowego Alberta Fumagallego. Alberto wyjrzał przez okno, wykrzywił usta, coś wymamrotał, potem skinął na Rocca. Swoim zwyczajem nie przywitali się.

– Wejdz, jak już skończysz.

– Czekam jeszcze na jednego ze swoich ludzi.

– Którego? Tego, co zawsze rzyga?

– Nie. Tym razem to ktoś inny. Ma przywieźć krewnych na okazanie zwłok.

Alberto spojrzał mu w oczy.

– Chcesz od razu czegoś się dowiedzieć, czy zaczekamy, aż skończysz papieroska?

Rocco zaciągnął się głęboko.

– Gadaj.

– Zginął szczęśliwy.

Rocco podszedł do lekarza.

– Że co?

– Jeden z nich, ten Włoch, zginął szczęśliwy.

– Skąd wiesz? Sam ci powiedział?

– Oczywiście.

– Mów po ludzku. Dziś mam zły dzień i brak mi sił na dyskusje z tobą.

– Jasne. Chcesz wiedzieć, jak mi powiedział? Chodź, pokażę ci.

I znowu będzie musiał oglądać trupy. Zgasił papierosa i poszedł za lekarzem. W sali sekcyjnej unosił się ten sam co zawsze smród zgniłych jajek, zepsutej żywności i stęchłej wody. Na stołach leżały

dwa ciała. Alberto zaczął.

– Dziś oszczędzę ci widoku zwłok. To, co powinno cię zainteresować, zobaczymy pod mikroskopem. – Przyłożył oko, wyregulował ostrość i z uśmiechem ustąpił miejsca wicekwestorowi.

– Co widzisz?

– Bo ja wiem? Jakieś okrągłe rzeczy, trochę białe, a trochę fioletowe. Nie wiem, wygląda jak te plamy w testach psychologicznych.

– To się nazywa test Rorschacha, ale nie ma nic wspólnego z tym, co widzisz. Na szkiełku jest wymaz z penisa tego Włocha.

– Na chuj...?

– Tak, niektórzy nazywają tę część ciała chujem. A wiesz, co dokładnie widzisz?

– Właśnie mi to powiedziałeś, nie?

– Nie. To *Gardnerella vaginalis*.

– Nie wiem, co to, ale sądząc po nazwie, pochodzi z żeńskiego organu płciowego, prawda?

– Świetnie! *Gardnerella* to mikroorganizm, z którym żyje mnóstwo kobiet. Jeśli się jednak namnoży ponad miarę, pojawiają się białawe upławy, takie niezbyt przyjemnie pachnące. No i...

– Wnioski, Alberto. Facet się zabawił tuż przed śmiercią?

– Dokładnie. Zakładając, że zginęli najpóźniej o czwartej, użył sobie niecałą godzinę wcześniej?

– Mnie pytasz?

– Nie, to było stwierdzenie zakończone pytajnikiem. To bardzo elegancki chwyt w rozmowie, bo to tak, jakby powiedzieć: chętnie wysłucham twojej opinii, ale i tak mam rację. A tajemniczą panią, która podarowała biedaczce ostatnie rozkosze seksu, też bym chętnie puknął, ale strzykawką z metronidazolem.

– Jakaś prostytutka według ciebie?

– Jak tak na nich patrzę, to myślę, że tak.

– To znaczy?

– Widziałeś ich gęby? Ci dwaj albo musieli słono za to płacić, albo załatwiali to, że tak powiem, własnoręcznie. Chcesz ich obejrzyć?

– Na dziś wystarczy mi widok *Gardnerelli*.

Scipioni eskortował mężczyznę w trudnym do określenia podeszłym wieku. Wsparty o policjanta szurał drobnymi kroczkami w stronę kostnicy, gapiąc się w jakiś punkt w oddali.

– Szefie, to jest dziadek Carla Figusa. Jest jeszcze matka ofiary, ale nie może opuścić domu, ponieważ z powodu cukrzycy amputowano jej nogi.

– No dobra... – odparł Rocco, rozkładając ramiona.

– To jest pan Adelmo Rosset. Adelmo, to jest wicekwestor Schiavone...

Staruszek ledwo podniósł oczy. Były błękitne i jakby wypełnione lepką cieczą. Nie zmienił wyrazu twarzy, tylko powoli sięgnął do kieszeni, wyciągnął chusteczkę i przetarł usta.

– Niewiele mówi – stwierdził Scipioni.

– Zauważyłem. Ale czy jest w stanie tam wejść?

– Nie wiem. Sądzę, że tak. Mama Carla Figusa, córka Adelma, mówi, że on świetnie się trzyma i wszystko rozumie. Prawda, panie Adelmo?

Jak stuletni zółw staruszek przekręcił głowę na pomarszczonej szyi w stronę Scipionego. Nieznacznie się uśmiechnął, odsłaniając trzy ocalałe zęby. Potem zamknął się w sobie, jak kwiat o zachodzie słońca.

– Co robimy, szefie?

– Idziemy, Fumagalli czeka. – Rocco podał ramię Adelmowi, który wsparty teraz na dwóch policjantach podszedł do szyby dzielącej pomieszczenia. Rocco zastukał trzy razy, aluminiowa żaluzja uniosła się, odsłaniając twarz Fumagallego. Lekarz już przygotował zwłoki, wykonał w stronę Rocca gest, jakby pytał: „to co, mam odsłonić?”, a ten przytaknął, nie spuszczając staruszka z oka. Widział twarz Adelma odbitą w szybie dokładnie w tym miejscu, gdzie po drugiej jej stronie widniała głowa nieboszczyka. Fumagalli odwinął prześcieradło. Twarz Carla Figusa nałożyła się na twarz dziadka.

Adelmo przyglądał się przez kilka sekund. Potem wyciągnął dłoń i oparł palce o szybę. Odwrócił się w stronę policjantów. Wzrok nadal był nieobecny, zanurzony w cieczy, ale z jednego oka wypłynęła łza i szybko wpadła do jednej ze zmarszczek, jakby to było wyschnięte koryto rzeki. Adelmo drżał i patrzył. Nie trzeba było nic więcej. Wicekwesor dał znak lekarzowi, żeby zakrył zwłoki.

– Antonio, odwieź teraz pana Rosseta do domu.

Scipioni pokiwał głową.

– Chodźmy, panie Adelmo.

Staruszek odsunął dłoń od szyby. Odciski palców wyparowały w kilka sekund, wchłonięte przez lodowaty ziąb szyby. Wydawał się zagubiony, jakby go dopiero wybudzono ze złego snu. Złapał ramię Scipioniego i ruszyli powoli korytarzem.

Rocco poczuł, że musi się napić.

Zadzwoił z meldunkiem do prokuratora Baldiego. Ten kazał mu stawić się natychmiast w prokuraturze, ale Rocco wykręcił się pilnymi obowiązkami. Obiecał, że dotrze po południu. Ten cholerny wypadek groził serią straszliwych biurokratycznych upierdliwości. A jedyne, czym chciał się teraz zająć, to kontemplacja kostek lodu, rozpuszczających się powoli w przedobiednim szprycerze, który Ettore przyniósł mu do stolika. Na placu Chanoux panował spokój. Pod lokalną redakcją „Stampy” dwóch strażników miejskich gawędziło z panią wyprowadzającą na spacer pudła. Trzech robotników na podnośniku wymieniało żarówkę w ulicznej latarni. Zamaszystym krokiem do jego stolika zmierzała Nora.

– Ożeż w mordę... – szepnął Rocco.

Szła prosto na niego, nie było wątpliwości. Zdecydowany krok i spojrzenie. Nadzieja, że nagle skręci sobie kostkę, ulotniła się, kiedy Rocco zauważył, że ma na nogach sportowe buty. Pozostawało liczyć na piorun. Ale to raczej mało prawdopodobne, niebo było bezchmurne. Dotarła w końcu do stolika. Złapała krzesło i nie odrywając od niego oczu, w milczeniu usiadła naprzeciw.

– Napijesz się czegoś? – zapytał cichutko.

– Anna? Właśnie z nią?! – ryknęła.

– Kto ci powiedział?

– Aosta to małe miasto.

– Źle cię poinformowali.

– Serio? – Nora zmrużyła oczy.

– Serio.

– Piekarz, u którego obie kupujemy, ma sklep naprzeciwko jej domu. Mówi, że widział, jak wychodzisz od niej o szóstej rano, chyłkiem, jak złodziej. Wystarczy?

Po co kłamać? Po co szukać wykrętów, wysilać się na próżno? I tak Nora prędzej czy później musiałyby się dowiedzieć. Może w końcu sam by jej powiedział.

– No dobrze, Noro. Tak, Anna.

– Moja przyjaciółka... – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

– Przyjaciółka, powiadasz...

– Masz rację, w sumie jestem ci wdzięczna. Jednym posunięciem wyjaśniłeś dwie sprawy. Że nasza relacja dobiegła końca i że nazywanie przyjaźnią tego, co jest między mną a Anną, to lekka przesada.

– Też tak sądzę.

– Nawet nie wiem, czy jestem bardziej wkurzona na ciebie, czy na nią. Co bardziej boli?

Zdradzona miłość czy przyjaźń?

– Mnie się pytasz?

– Nie, myślę na głos. Ale w sumie między nami nie było aż tak wielkiej miłości.

Rocco wziął głęboki wdech. Spojrzał jej w oczy.

– Raczej nie.

– Zrobiłeś to bezmyślnie czy żeby się zemścić?

– Zemścić? Za co?

– Myślałeś, że ja z tym architektem...

– Daj spokój, Noro. Żadna zemsta. Zrobiłem to, bo taką miałem ochotę. Wylądowałem z Anną w łóżku. To mniej więcej ten sam powód, który przekonał twoją przyjaciółkę. Nic ponadto.

– Czy był jakiś mniej wredny sposób, żebyśmy to skończyli? – spytała.

Teraz już jej oczy były łagodne, wielkie, spojrzenie bezradne.

Udało jej się sprawić, że poczuł się jak ostatni gnojek.

– Może tak. Kiedyś potrafiłbym to lepiej załatwić. Kiedyś. Ale mówimy o bardzo dawnych czasach.

– Trudno mi uwierzyć. – Łza, która już od jakiegoś czasu próbowała się uwolnić, spłynęła jej po policzku. Wytarła ją nerwowo.

Dlaczego wszyscy uwzięli się, żeby na siłę wciągać go w wir życia? Dlaczego nie dadzą mu przeżyć źle i samotnie tych lat poprzedzających starość, w pustce, która go otoczyła i której nic już nie będzie w stanie zapelnąć? Myślał tak, patrząc na Norę, której jedyną winą było to, że ich drogi się skrzyżowały.

– Widzisz, Rocco, wiem, zawsze byłeś ze mną szczery. Nigdy nie robiłeś mi zbytnej nadziei, choć ja chciałam ją mieć. Nie możesz mnie za to winić, prawda? Mijały dni, a ja sobie mówiłam: bądź cierpliwa. To jest relacja, która wisi na włosku. Jak ją dociążysz, choćby nieznacznie, to się zerwie. No więc czekałam. A co, może to zabronione? Dopiero dziś, siedząc tu naprzeciwko ciebie przy tym stoliku, zadaję sobie pytanie: na co ja czekałam? Co takiego możesz wyciągnąć ze swojego magicznego kapelusza? Co może mieć w sobie taki facet jak ty, żeby zmusić taką jak ja do czekania? Nic. Poza łóżkiem nic nas nie łączy. Teraz będzie mi źle, na trochę zamknę się w domu, popłaczę sobie. A potem wyjdę, pójdę do fryzjera, może kupię jakiś nowy ciuch i zacznę żyć od nowa. Najlepiej z głową całkowicie uwolnioną od ciebie. Jedno pytanie: czy jest nadzieja, że znów zrobisz jakiś głupi krok i przeniosą cię na jeszcze większe zadupie?

Rocco zastanowił się poważnie.

– Tak, zawsze jest taka nadzieja.

– To będzie piękny dzień. – Wreszcie się uśmiechnęła. – Skończyłeś? – zapytała, chwytając za szklankę ze szprycerem.

Nie zdążył odpowiedzieć. Mieszanka aperolu, prosecco i wody trafiła na jego marynarkę, a dwie kostki lodu wpadły mu za koszulę.

– Miłego dnia – zawołała Nora i energicznym krokiem wyszła z baru przy placu Chanoux.

Rocco wstał. Wyciągnął koszulę ze spodni i wytrząsnął lód na podłogę. Dwa stoliki dalej siedział jakiś samotny klient i gapił się bezmyślnie. Potem uśmiechnął się i wrócił do czytania gazety. Wiadomo, nic tak nie bawi jak cudze nieszczęście.

Ettore już był przy nim.

– Szefie, przynieść następnego?

– Daj spokój, muszę wracać do biura. Miłego obiadu!

W sumie to żadna niespodzianka. Wszystko poszło tak, jak miało pójść. Było przewidywalne. Oczywiście. Ale gdzieś w środku coś mu krwawiło. Miał nadzieję, że to mała, płytka rana i że jeśli zostanie blizna, to taka ledwo widoczna.

Zdążył przekroczyć próg biura i od razu natknął się na Derutę, objuczonego jak zwykle tajemniczymi papierami.

– Szefie, musi mnie szef posłuchać... – I się zaciął.

Węszył intensywnie, jak pies gończy.

– Czego chcesz, Deruta? Mam zły dzień.

– Co się stało? Czuć od pana karmelem?

– Paczka landrynek rozpuściła mi się w kieszeni.

– Ale cały pan mokry!

– No, nie można ci odmówić zmysłu obserwacji. Może spróbuj zatrudnić się w policji. Czy jest coś pilnego, czy tylko chciałeś mi pozawracać dupę na korytarzu?

– Tak, w sprawie tych dwóch, którzy zginęli w wypadku na drodze z Saint-Vincent. Dzwonił Pierron. Musi z panem pilnie porozmawiać.

– Gdzie jest teraz?

– Na obiedzie.

Rocco wszedł do swojego biura, otworzył spis kontaktów, znalazł numer i zadzwonił.

– Halo, chto mófi? – Usłyszał po trzecim dzwonku zakatarzony głos Cateriny Rispoli.

– Cateri, to ja, Schiavone.

– Dzińbry, szefie.

– Jak leci? Masz na nosie klamerkę od bielizny?

– Mam czydzieścisiem gorączki.

– Dobra, zawołaj Itala.

Pauza. Potem w słuchawce rozbrzmiał głos Pierrona.

– Tak?

– Lepiej zdezynfekuj słuchawkę, bo sam złapiesz tę grypę.

– Spokojna głowa, szczerpiłem się.

– Jak chcesz. No więc szukałeś mnie.

– Tak, ale skąd pan wiedział, że będę tutaj... Już dobra, chodzi o tego drugiego z wypadku. Viorelo Midea. Wiadomo tylko, że był zameldowany w Barlad, w Rumunii. Żadnego adresu we Włoszech. Co robimy?

– Wyślemy list do ambasady, napiszemy do krewnych, cholera wie. Coś jeszcze?

– Tak, odkryłem, gdzie pracował.

– No dawaj.

– W pizzerii Posillipo. Znam to miejsce. Niedaleko komendy.

– Musimy tam pójść.

– Teraz?

– Nie, nie fatyguj się specjalnie, poczekaj, sprawdzę kalendarz. Trzynastego lipca jesteś wolny?

– I rozłączył się.

Chiara oddychała z wielkim trudem. Z każdym wdechem worek oblepiał jej twarz. Czoło pokrywał perlisty pot, łzy spływały po policzkach, pozostawiając mokry ślad. Nie ruszała się od wielu godzin. W skroniach czuła wciąż to samo regularne, bezlitosne dudnienie.

Przedtem krzyczała aż do utraty tchu. Ale nikt nie odpowiedział, nikt się nie pojawił. Przez tkaninę widziała dokładnie szarą ścianę, a na niej półki z jakimiś rupieciami. Foliowe torby, zabrudzone pędzle, zardzewiałe pilniki. To musiał być jakiś garaż albo składzik.

Zaczęła sobie przypominać. To był poprzedni wieczór. Wyszła z Maxem, swoim chłopakiem, i Giovanną. Kuzyn Maxa, Alberto, miał dojechać do nich z Turynu. Umówili się w pubie o siódmej. Stamtąd mieli pojechać do Sphere, dyskoteki przy drodze na Cervinię. Chiara wcale nie chciała, wołałaby zostać z Maxem, ale Giovanna szalała za Albertem. Przez cały dzień zawracała jej głowę na sto sposobów, żeby spędziły ten wieczór razem. Jak mi da kosza, to chociaż nie będę sama i ci się wypłacę.

Ale Giovannie nie można było dać kosza. Wiedziała o tym Chiara, wiedział Max i pół Aosty.

Jedynie Giovanna nie zdawała sobie z tego sprawy. Metr siedemdziesiąt, czarne włosy, nie takie kręcone jak u Chiary, która co rano traciła kwadrans, żeby je rozplątać. A do tego zielone oczy i figura, która wywoływała ślinotok u całej męskiej części liceum: trudno było zrozumieć, skąd u niej taka niepewność. Giovanna już tak miała. Sonia, Paola, Giovanna – najładniejsze dziewczyny w szkole były niepewne siebie. Ona nie. Chiara była silna i pewna. Miała wsparcie w rodzinie, ojca i matkę, którzy ją kochali i dużo znaczyli w mieście.

Chiara Berguet była liderką. Wiedziała o tym, koleżanki przybiegały na każde jej skinienie. Kręcone włosy oraz małe oczka wcale nie przeszkadzały jej w licznych podbojach. W liceum wszyscy za nią szaleli. Nie było żadnej imprezy, wycieczki czy zwykłego wypadu na narty, o którym nie zdecydowano by w drugiej ławce w trzecim rzędzie klasy piątej B.

Dojechał Alberto. Przystojny, dwadzieścia dwa lata. Skórzana kurtka, gładkie czarne włosy.

Leciał na Giovannę, nawet ślepiec by się zorientował. Po trzech piwach i paru shotach pojechali do Sphere. Tańczyli i dalej pili na całego.

A potem...

Co się stało? Ile, do cholery, wypiałam? Co najmniej trzy giny z tonikiem. Potem moja twarz przed lustrem w łazience. Rzygam. I to solidnie. Giovanna ćwierka z Albertem pod lampą stroboskopową. Max gada z dwoma kolesiami pod trzydziestkę. Co to za jedni? Dym papierosowy ulatuje ku czarnemu zimnemu niebu bez gwiazd. Już na zewnątrz, przed dyskoteką, palę papierosa, kręci mi się w głowie. Max odwozi mnie do domu. Klucze w zamku. Ciemność. Co się działo ze mną potem? Chiara, spróbuj sobie przypomnieć! Spróbuj! Nic. Ból, tylko ból.

Do bólu głowy dołączyło jeszcze jedno niemiłe odczucie. Pomiędzy nogami. Co to? Wąż? Jadowity wąż, który pełźnie w górę i w dół? Wąż z rozżarzoną skórą? Ściągnijcie mi z głowy ten worek! Rozwiążcie mi ręce. Muszę się dotknąć, podrapać, złapać tego węża. Piecze.

Pizzeria Posillipo była otwarta tylko wieczorem. Kiedy Rocco i Italo zapukali w przeszklone drzwi oblepione logotypami kart kredytowych, z ciemnego wnętrza wyłonił się facet z kolosalnym brzuchem.

Rocco natychmiast sklasyfikował go według reguł swojego prywatnego zwierzyńca, lubił bowiem znajdować podobieństwa fizyczne między ludźmi a zwierzętami. Przed nim stał maskonur zwyczajny, po łacinie *fratercula arctica*. Gruby nos pośrodku twarzy, usteczka prawie zapadnięte między policzkami, szeroko rozstawione małe oczka. Wysoko uniesione brwi nadawały mu wygląd kwestarza proszącego o jałmużnę. W przeciwieństwie jednak do ptaka z północnych mórz facet miał rzadką bródkę.

– Witam! W porze obiadu jesteście zamknięci – zawołał, otwierając.

Wytrzeł dłonie w fartuch zawiązany w pasie.

– Schiavone, policja. Możemy chwilę porozmawiać?

– Jasne. Proszę, proszę – powiedział, przepuszczając policjantów. – Napiją się panowie kapeczkę?

Neapolitański akcent nie brzmiał jak wrodzony. Był raczej pozą na użytek mieszkańców Aosty.

– Nie, dziękujemy.

– To może chociaż kawy?

– Chętnie.

– Proszę, rozgoście się, zaraz wrócę. Nie czujecie słodkawego zapachu, coś jakby cukierki?

Rocco i Italo popatrzyli po sobie. Italo odpowiedział.

– Panu wicekwestorowi w kieszeni rozpuściły się landrynki.

– Aha – odparł facet i zniknął za wahadłowymi drzwiami, które zapewne prowadziły do kuchni.

Rocco i Italo rozgościli się na środku sali.

– Muszę ci to powiedzieć, Rocco. To pachnie bardziej jak miodowe cukierki niż landrynki.

Dziwne, co aperol ma wspólnego z miodem?

– Ironizujesz sobie?

– Nie.

– A właśnie że ironizujesz. To ci nie służy.

– Przysięgam, że nie.

– No to odklej z twarzy ten dumny uśmieszek.

Knajpa urządzona przez jakiegoś drogiego architekta w stylu willi z wybrzeża amalfitańskiego mocno traciła na elegancji z powodu setek zdjęć i plakatów związanych z Neapolem, które właściciel pomieszczał gdzie popadnie, na pewno bez porozumienia z dekoratorem wnętrza. To samo co zwykle: Wezuwiusz, Poliszynel pałaszujący rękoma spaghetti, kilka fotosów z Totò, a przede wszystkim koszulka FC Napoli z mistrzowskiego sezonu 1989/90.

– A propos stosunków z płcią przeciwną, mam nadzieję, że nie pojechałeś przelecieć złożonej gorączką Cateriny?

– No jakże by tak? Rosół jej zawiozłem.

- Z trudem ci wierzę.
- Biedaczka naprawdę źle się czuje. Ostatnia rzecz, na jaką miałyby ochotę, to kochanie.
- Ona może nie, ale ty tak.
- Bardzo proszę. Dwie kawy. Takie jak w kawiarni Gambrinus przy Piazza Trieste e Trento.
- Maskonur postawił tacę na stoliku. Italo wsypywał cukier do filiżanki, a Rocco przyglądał się facetowi.
- Nazywam się Schiavone. A pańska godność?
- Domenico Cuntrera, zwany Mimmo.
- Mimmo, to pański lokal?
- Domenico rozejrzył się z zadowoleniem.
- Powiedzmy, że tak.
- Powiedzmy?
- No, mój i jeszcze jednego kolegi, który pomógł mi tylko na początku z pieniędzmi. Ale w kuchni i na sali liczy się tylko Domenico Cuntrera, zwany Mimmo. – Stuknął się w pierś. – W czym mogę pomóc?
- Skąd pan pochodzi? Tylko niech pan nie mówi, że z Neapolu, bo to nieprawda.
- Facet uśmiechnął się i podrapał po nosie.
- Umie pan przejrzeć człowieka.
- To moja praca.
- Jestem z Kalabrii, z Soverato. Był pan kiedyś?
- Nie. Domyślam się, że tutaj oplaca się udawać neapolitańczyka.
- Trochę tak. Ale jedno jest zgodne z prawdą: kibicuję Napoli od małego kajtka.
- A kogo to obchodzi?
- Rocco upił łyk kawy i odstawił filiżankę, patrząc Domenico w oczy.
- Viorelo Midea.
- Co z nim?
- Pracuje tutaj?
- Tak, trzy razy w tygodniu podaje do stolików. Narozrabiał?
- Nie żyje.
- Domenico wytrzeszczył oczy.
- Nie żyje? Jak to?
- Wypadek – wyjaśnił Italo, kończąc kawę. – Dziś o świcie.
- Ale on przecież prawa jazdy nawet nie miał!
- Ktoś inny prowadził. Niejaki Carlo Figus. Zna pan?
- Carlo Figus? Pierwsze słyszę. Gdzie?
- Na drodze z Saint-Vincent.
- Do burdelu pojechali?
- Nie wiemy, gdzie byli. Ale jechali na kradzionych tablicach.
- Rocco zapalił papierosa.
- Tak naprawdę, to tu... No mamy zakaz palenia.
- Wicekwesor zlekceważył uwagę właściciela pizzerii.
- Od kiedy tu pracował?
- Będzie z rok. Kurde, szkoda gościa.
- Co pan może o nim powiedzieć?
- Niewiele, prawie nic. Wiem, że mieszkał tuż obok, przy ulicy Voison. Z jakimiś innymi kwaterował.
- Żona? Dzieci? Krewni?
- Nie, bez żony, dzieci też nie. Miał jakiegoś krewnego, bo wszystkie pieniądze, co zarobił, posyłał do domu.
- Da mi pan jego adres.
- Ulica Voison, tam, gdzie te szare bloki. Nie pamiętam numeru, ale to jedyny z żółtymi roletami.

Mieszkał na drugim piętrze z takim jednym. Marokańczyk chyba. Nie znam nazwiska. Ahmed coś tam. Wszyscy się nazywają Ahmed. Ale nie dam głowy, że on tam cały czas mieszkał. Ciągłe zmieniał lokale ten Viorelo. Przez dwa miesiące nawet dawałem mu nocleg w kamperze, który stoi w garażu.

– Gówniane życie – zauważył Rocco.

– No tak. Szajs, nie życie.

– Może chociaż pizzę mają dobrą... Czy też jest udawana tak jak Domenico i kawa? – rzucił Rocco do Italo, kiedy wsiadali do samochodu.

– Jest całkiem niezła.

– Czemu ja o to pytam gościa z doliny Aosty?! Co ty, kurde, możesz wiedzieć o robieniu pizzy? Ale patrząc na lokal i na tego suwa na parkingu, wnioskuję, że interes się kręci.

– Nie wiem. Kiedy wpadam, jest zawsze pustawo.

– Może gra w kasynie?

– Dokąd jedziemy? – Italo uciął rozważania.

– Do biura. Muszę coś zjeść.

– O tej porze najwyżej jakąś kanapkę dostaniesz. – Italo wrzucił bieg.

– No właśnie, jeśli czegoś mi brakuje, to miękkich kanapek z trójkątnego chleba tostowego. To byłby idealny dzień na taką przekąskę. Ale musielibyśmy być w Rzymie.

Rany boskie, znów się zaczyna, pomyślał Italo. Co dwa tygodnie musiał wysłuchiwać ciągle tej samej kantaty na nostalgiją za Rzymem i głos męski.

– Trójkąciki z chleba tostowego to poważna rzecz, Italo. Nie ma z tym żartów. Biały, wyłącznie najbielszy chleb. Dozwolone składniki: tuńczyk, karczochy w oleju, pomidory, sałatka z kurczaka, szpinak, mozzarella. Osobiście nie lubię krewetek, serów, a już szczególnie szynki. Według mnie kanapka z szynką powinna skończyć w tosterze. Majonez musi być domowy, lekki, jasnożółty. Ale najważniejsze, i wbij to sobie porządnie do głowy, trójkąciki z chleba tostowego muszą być przechowywane pod wilgotną ściereczką. Jeśli zobaczysz w jakimś barze, że przechowują je pod folią, uciekaj. To nie kanapki, to trupy, gnijące ściervo. Kanapka musi leżeć pod wilgotną ściereczką. Tak głosi artykuł trzeci konstytucji.

– Artykuł trzeci konstytucji. Co ty bredzisz?

– Konstytucji rzymskiej, ma się rozumieć. Chcesz usłyszeć pierwsze dwa? Pierwszy: nie zwracaj ludziom głowy. Drugi: nigdy nie zapuszczaj się samochodem w aleje nad Tybrem w sobotę wieczorem.

– Sam ją napisałeś?

Afrykańczyk nazywał się Zersenay Behrane. Zersenay, a nie Ahmed. Nie był z Maroka, tylko z Erytrei. Blok nie stał przy ulicy Voison. Zgadzały się tylko żółte rolety. Zersenay mówił płynnie po włosku i dzielił mieszkanie z dwoma swoimi krajanami. Viorela Midei nie widział od miesięcy i nie wiedział, gdzie się wyniósł. Ale za to Rocco i Italo dostali posiłek: wspaniałe tsebhi, czyli gulasz wołowy z soczewicą i chlebem z mąki teff. Jedli z jednej miski z pozostałymi lokatorami. Żeby podziękować za gościnę, Rocco posłał Italo po sześciopak piwa. Opuścili blok z żółtymi roletami z pełnymi brzuchami i lekkim szumem w głowach.

– Nie uważasz, że to cudowne, że w środku Alp mogliśmy zjeść jak w Erytrei?

– Prawda, Italo, cudowne.

– Tylko że ja nie wiem, gdzie leży Erytrea.

– Nad Etiopią, pod Sudanem.

– Czy to gdzieś tam jest Szarm el-Szejk?

– Kup se globus i pooglądaj.

– No tośmy narozrabiali.

– Niewątpliwie – odpowiedział Rocco.

– Próbuje od rana dodzwonić się do Nory, ale ma wyłączony telefon. Jeśli czegoś żałuję, to że poświęciłam przyjaźń dla takiej kreatury jak ty.

– Mogę cię prosić o przysługę? Dzwoń do mnie codziennie, bo te twoje komplementy bardzo

dobrze mi robią na samoocenę.

– Myślę, że już nigdy się nie zobaczymy.

– Dobra, chociaż Aosta to małe miasto. Możemy wpaść na siebie przypadkiem, zresztą mieszkamy niedaleko.

– Przysięgam, że będę się odwracać i przechodzić na drugą stronę.

– Tylko uważaj przy przechodzeniu przez jezdnię. Nie chciałbym cię mieć na sumieniu.

– Wiesz co? Spierdalaj.

I rozłączyła się.

Ktoś zapukał.

– Czego? Kto mi dupę zawraca?

Żadnej odpowiedzi. To mógł być tylko D'Intino. Wstał i poszedł otworzyć. Policjant z Abruzji czekał pod drzwiami.

– D'Intino, jeszcze się nie nauczyłeś? Ja wołam, a ty odpowiadasz. Tak się robi, kiedy ktoś puka.

– Sefie, coś takiego przyszło. – Wręczył mu paczkę.

– Coś jeszcze?

D'Intino przysunął nos do jego marynarki.

– Sefie, jakiś słodkawy zapach, co to jest?

– Nie twój interes. No więc?

– To są przedmioty osobiste Viorela Midei. Zegarek, stara komórka, pęk kluczy. Co mamy z tym zrobić?

Rocco odwrócił się w stronę biurka.

– Pierron! – zawołał.

D'Intino rozejrzał się.

– Jest tam – odpowiedział usłużnie.

– Pierroooooon! – Rocco wrzasnął jeszcze głośniejsze.

– Obecny – dało się słyszeć z korytarza. Italo pchnął lekko kolegę i wszedł do pokoju. – D'Intino, czego tak stoisz w drzwiach? Wchodzisz albo wychodzisz. – Potem zwrócił się do Rocca: – Szefer czegoś chciał?

– To jest komórka tego Viorela Midei. Sprawdźmy, do kogo dzwonił. Lista kontaktów i tak dalej.

A klucze wyglądają, jakby były od jakiegoś domu.

– Cholera wie, od jakiego.

W oczach wicekwestora Schiavone pojawił się błysk.

– D'Intino, zawołaj Derutę i natychmiast się meldujecie u mnie.

D'Intino wystrzelił jak z procy.

– Co knujesz? – zapytał Italo.

– Zaraz zobaczysz.

Nie minęły dwie minuty, a bracia De Rege stali na baczność przed wicekwestorem, gotowi na rozkazy.

– A więc, moi drodzy koledzy i partnerzy – zaczął Rocco – wiecie, że niestety pani inspektor Rispoli jest chora.

– Ma gorączkę – sprecyzował D'Intino z odcieniem satysfakcji w głosie. Bracia De Rege jej nienawidzili.

– No dobrze. Jest do wykonania zadanie, które chętnie bym jej powierzył z uwagi na jej niewątpliwe zalety pamięciowe i dedukcyjne. Ale nie mogę.

– Nie może pan – dodał, zupełnie bez sensu, Deruta.

– Zatem zlecę je wam. To trudna i potencjalnie niebezpieczna misja.

Obaj policjanci słuchali w najwyższym skupieniu. Italo oparty o regał smakował całą sytuację, choć jeszcze nie wiedział, do czego to wszystko zmierza. Wicekwestor wyciągnął klucze Viorela.

– Widzicie?

– Klucze – odrzekł niemal zahipnotyzowany D'Intino.

– Trafna obserwacja. Klucze. Należały do Viorela Midei. Potrzebuję, byście ustalili, do jakich drzwi pasują.

Obaj policjanci popatrzyli po sobie.

– Ale jak to mamy zrobić?

– Powiedziałem, że to będzie trudne, karkołomne, prawie niemożliwe. Ale dam wam pewien punkt zaczepienia. Zannotujcie sobie.

Deruta rzucił się do biurka, złapał kartkę, długopis i przysiadł gotowy do zapisywania.

– D’Intino, a ty nie notujesz?

– Ja sobie wszystko zapamiętam.

– No może... – prychnął Rocco z powątpiewaniem, puszczając oko do Itala. – Zaczniecie od domu przy ulicy Kaolak... Tam, gdzie stoją szare bloki. Chodzi o pierwszy, idąc od naszej strony, z żółtymi roletami. Viorelo jeszcze parę miesięcy temu mieszkał na drugim piętrze. Zaczniecie rozpytywać w sąsiedztwie.

– A nie możemy po prostu zapytać mieszkańców tego domu, dokąd się wyprowadził cały ten Viorelo?

– Nie. Jak się dowiem, że zawracaliście głowę moim erytrejskim znajomym, to załatwię wam natychmiastowe przeniesienie tam, gdzie psy dupami szczekają. Jasne?

– Oczywiście – zapewnił Deruta.

– A gdzie te psy... – zaczął D’Intino

– Daj spokój, to daleko – uciszył go Deruta.

– No to idźcie i rozglądajcie się. Bez rzucania się w oczy, podejmujcie próby dopasowania kluczy do zamków. Próbujcie, próbujcie, próbujcie i jeszcze raz próbujcie i wreszcie przynieście mi na tacy mieszkanie Viorela.

D’Intino wybałuszył oczy.

– Jak to: przynieście na tacy?

Deruta się wkurzył.

– Stulże pysk, to tylko takie wyrażenie, pan wicekwesor nie chce, żebyś mu przynosił mieszkanie po kawałku. Przepraszam za niego. – Potem, kręcąc głową, dokończył notatki.

– Zaczynacie od razu. Sprawa jest długa i zawiła. Mogę na was liczyć?

Deruta spojrzał z powagą.

– Oczywiście, szefie. Zwłaszcza że w tym tygodniu nie mam dyżurów w piekarni żony.

– Świetnie, Deruta.

– Znowu będziemy meldować Rispoli? – zapytał na koniec podwładny trochę rozdrażnionym tonem.

– Nie, tym razem raportujecie bezpośrednio do mnie.

Deruta aż spuchł z dumy, D’Intino miał błyszczące szczęściem oczy. Wzięli klucze, zaszalutowali i wyszli.

– Moim zdaniem to się im może udać – skomentował Italo.

– Czemu nie. Jedno jest pewne. Nie będą się tu pałętać i mamy spokój. – Rozdzwonił się telefon.

– No właśnie, spokój. – Podniósł słuchawkę.

– Mówi Costa.

Dzwonił komendant.

– Proszę opowiedzieć, co to za historia z wypadkiem i kradzioną furgonetką.

– To nie furgonetka była kradziona, tylko tablice. Ale to wygląda na głupstwo. Oczywiście podeślę panu na górę dossier – i machnął ręką na Itala, który wzniosł oczy ku niebu – to będzie mógł je pan dokładnie przejrzeć. Pan wybaczy, ale muszę lecieć do... Właśnie mi się wyświetlił komunikat...

– Nie rozumiem.

– Czekają na mnie w bazie firmy od surowców budowlanych, koło której znaleźli furgonetkę.

– Nic nie rozumiem, ale niech pan sobie jedzie. I proszę mnie na bieżąco informować. Ach, zapomniałbym o jednym.

- Słucham.
- Dobry strzał, gratulacje.
- Kogo pan ma na myśli?
- Obaj dobrze wiemy kogo. Piękna kobieta. Pozdrawiam.
- Ostatnie pytanie: pan też chodzi do tego samego piekarza?
- *Exactly!* – I Andrea Costa odłożył słuchawkę.
- A ja myślałem, że w Aoście każdy pilnuje swojego nosa.
- Błąd. Jeden z wielu stereotypów, jakie wy na południu rozpowszechniacie o nas z północy.

W każdym razie, dzięki, że załatwiłeś mi wycieczkę do komendanta.

– Nie, nie, raport niech pisze Casella. Ty teraz zawieszysz komórkę Viorela do działu techniki, żeby wyciągnęli z niej wszystkie numery.

– Dobra. Tylko jedna rzecz. Czemu tak chodzimy wokół sprawy tych dwóch palantów?

– Tablice, mój drogi. Kradzione tablice. Nie jeździsz po Aoście na kradzionych blachach tylko po to, żeby wyskoczyć na ruchanko do Saint-Vincent.

– Ruchanko?

– Potem ci wytłumaczę. Spójrz na to tak: po co ktoś jeździ własnym pojazdem, ale przykręca kradzione tablice? Bo się boi kontroli drogowej? Wątpię. Gdyby go zatrzymali, wszystko by się wydało. Nie. Boi się nagrań z monitoringu drogowego. Dlaczego? Co robi? Coś lewego na pewno. Rozumiesz?

– Tak.

– Kradzież, napad...

– Albo się boi fotoradarów.

– I ryzykuje więzienie, żeby uniknąć dwustu euro mandatu za przekroczenie prędkości?

Numer 92 przy ulicy Chateland, czyli adres zamieszkania Carla Figusa, okazał się zaniedbanym, pięciopiętrowym blokiem z lat osiemdziesiątych. W oczy rzucały się czarne poziome linie na wysokości każdego pietra, przecinające się z pionowymi, które wiodły od dachu ku ziemi. Na pierwszy rzut oka wydawały się uschłymi po zimie gałązkami bluszczu, ale przy bliższym oglądzie okazywało się, że to pęknięcia i głębokie ubytki w tynku. Carlo Figus mieszkał na drugim piętrze. Otworzyła im kobieta na wózku inwalidzkim. Matka. Zszarzała twarz, żółte włosy z odrostami. Nosila okulary w fioletowych oprawkach i stary sweter z Myszka Miki naszytą na sercu. Miała białe drobne dłonie i patrzyła na policjantów zgaszonymi wielkimi oczami zza grubych szkielec.

– Pani wybacz, jesteśmy z policji, można? – zapytał Rocco.

Kobieta skinęła głową i sprawnym ruchem cofnęła wózek, żeby ich przepuścić. Ale nie dało się zrobić więcej niż jednego kroku. Mieszkanie było zagracone. Gazety, torby z ubraniami, poduszki... Wszystkie pokoje niemal aż pod sufit wypełniały śmiecie i szpargały. Meble, jeśli jakieś tam były, pozostawały pod lawiną, która mogła równie dobrze zaraz pochłoniąć lokatorów. Pośród zwałów rzeczy wyrębana była wąska ścieżka, którą kobieta przemieszczała się na wózku. Ruszyła przodem i gestem zaprosiła policjantów, żeby poszli za nią. Italo i Rocco przedzierali się wąskim rowem przez śmietnik, rozglądając się dookoła. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyli, choć przecież jako policjanci widzieli niejedno. W pewnym miejscu pojawiła się głowa i kawałek ramion manekina, wyglądał, jakby tonął i za chwilę na zawsze pochłonie go fala odpadków. Jakies szyby, parę książek, komputer, bębenek, żołnierzyki, papiery, nieprzebrana ilość papierów i gazet.

Korytarz prowadził do salonu. Tam rupiecie piętrzyły się pod ścianami, zostawiając niewielką „wolną” przestrzeń pośrodku, zajmowaną przez dwa fotele obite zielonym sztruksem, stary telewizor stojący na meblu, który kiedyś musiał służyć jako biblioteczka, oraz stolik z filizankami i cukiernicą. Dookoła aż kipiało od gratów, zasłaniały nawet jedyne okno: gazety, dziurawy materac, biegun od fotela, donice, miski, rury, wieszak, talerze, tablica. Dom wypełniał smród pleśni, grzyba i mokrej ziemi. Italo pobladł. Rocco za to wygodnie rozsiadł się w fotelu.

– Napiją się panowie kawy? – Kobieta wreszcie wypowiedziała jakieś słowa. Miała piskliwy głos.

– Nie, dziękujemy. Sądzę, że domyśla się pani powodu naszej wizyty.

Przytaknęła.

– Ojciec wrócił niecałą godzinę temu. Położył się spać. Mam go obudzić?

– W żadnym wypadku.

– Kto zapłaci? – zapytała nagle.

– Kto zapłaci za co?

– Za pogrzeb mojego Carla. Kto zapłaci?

Italo spojrział na Rocca.

– Gmina, proszę pani. Zobacz pani, wszystko załatwimy, prawda Italo?

– Tak – potwierdził policjant.

– A kto mi teraz będzie pomagać?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba było mieć bezczelność posła albo kamienną twarz szulera. Rocco nie był ani jednym, ani drugim, więc nie odpowiedział.

– Carlo coś tam przynosił, kiedy zarabiał. Pracował jako murarz. Ale nie zawsze miał pracę. Czasami. Należy się renta po nim?

– Należy się? – spytał Rocco, patrząc na Itala.

– Tak – znów przytaknął policjant.

– Mam rentę socjalną i zasiłek na ojca, razem osiemset euro. Ale trzeba zapłacić komorne i rachunki, potrzebne są nam lekarstwa, nie mogę żyć bez lekarstw. Popatrzcie... – Podciągnęła kocyk okrywający nogi. A raczej dwa kikuty po nogach. – Bez lekarstw długo nie pociągnę.

– Nie, proszę pani. Ale coś się załatwi, prawda?

– Tak. – Italo jak zaprogramowany odpowiadał monosylabami.

Rocco musiał poprowadzić dalej tę rozmowę, bo od swojego podwładnego, który stał jak zaczarowany z wytrzeszczem oczu, nie mógł oczekiwać wsparcia.

Kobieta okryła się.

– Moje nogi. Kiedyś były piękne, chcecie zobaczyć? – Nie czekając na odpowiedź, odwróciła wózek i podjechała do komody zawalonej stertą zasłon i starych prześcieradeł. Wychyliła się i zaczęła grzebać w tej stercie.

– Ale proszę się nie kłopotać, wierzymy pani – zapewnił Rocco.

– Tak – dodał Italo.

– Wierzymy pani. Porozmawiajmy proszę o Carlu.

– Mam je gdzieś tutaj. – I jakby nie słysząc odpowiedzi, wyjechała z salonu.

Rocco spojrział na Itala.

– Źle się poczułeś?

– Tak.

– Chcesz wyjść?

– Tak.

– To idź i zaczekaj na dole. Widzimy się za dziesięć minut.

– Tak – odparł Italo i nie zmieniając wyrazu twarzy, zrobił w tył zwrot i ruszył prosto do drzwi wejściowych.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł łomot. Potem zaległa cisza.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

Ale nie doczekał się odpowiedzi. Po pewnym czasie Rocco usłyszał trzask zamykanych drzwi, znak, że Italo jeszcze żył i odnalazł drogę na zewnątrz. Matka Carla wróciła wreszcie do salonu. Z pustymi rękoma.

– Nie mogę ich znaleźć. Zdjęcia z liceum. Nie mogę ich znaleźć.

– Proszę się nie martwić. Wszystko w porządku, tak jest dobrze.

Kobieta wybuchła płaczem i ukryła twarz w dłoniach.

– Ale dlaczego? – pytała, łkając. – Dlaczego?

Rocco nie wiedział, do czego odnosi się to pytanie. Czy do Carla, czy do jej życia, do choroby albo może tylko do faktu, że zdjęcia się zapodziały. A może do wszystkiego naraz.

– To ja powinnam umrzeć pierwsza. Tak to jest w życiu. Dzieci umierają po rodzicach. A tymczasem ja nadal żyję. Dlaczego żyję? Mój tata żyje, a mój syn już nie.

Rocco poczuł potrzebę zapalenia papierosa, ale odpuścił. Jedna mała iskra mogła wywołać w tym mieszkaniu epicki pożar.

– Lubiłam Elisę. Dobra była z niej dziewczyna, kochali się z Carlem. Ale odeszła. Carlo nie znalazł już potem żadnej. Pan żonaty?

– Byłem.

– Niedobrze jest się rozstawać. Razem można sobie pomagać. Nie to co bycie samemu. To nie jest świat dla ludzi samotnych, wie pan? Musi pan wrócić do żony.

Rocco pokiwał głową.

– Wyrzucą nas z domu, prawda?

– Dlaczego?

– A kto mi da na komorne? Kto zapłaci za prąd? A kiedy umrze tata, to jak ja sobie poradzę? Pan popatrzy, mam tylko te... – Z kieszeni swetra wyciągnęła pomięte karteczki. – Tylko te.

– Co to?

– Kupony z pizzerii Mimma. Nawet nie mogę tam dojechać na swoim wózku.

Rocco się rozejrzył. Nie wiedział, jaka jest praktyka w takich przypadkach. Może przyjęliby ją do jakiejś placówki? Z opieką lekarską? Nigdy nie zadawał sobie takich pytań.

– Carlo przynosił do domu co najmniej osiemset euro miesięcznie, wie pan? – Przetarła sobie oczy i nos wyświechtaną chustką, którą trzymała w rękawie swetra zjedzonego przez mole. – Carlo był porządny. Malował ściany, znał się na hydraulice. Chce pan zobaczyć jego pokój?

– Nie, nie trzeba. – Wstał. – Muszę iść, ale obiecuję, że przedstawię pani sytuację właściwym osobom. Obiecuję.

– Już pan idzie?

– Muszę iść do pracy.

– Odwiedzi mnie pan jeszcze?

– Tak – obiecał.

Co miał powiedzieć?

– Jeśli mnie pan uprzedzi, posprzątam trochę.

Uśmiechnął się. Wyciągnął rękę na pożegnanie. Ale ona bezwiednie zbliżyła doń głowę. Rocco westchnął i pogłaskał ją po włosach. Spojrzała na niego wciąż wilgotnymi oczami, ujęła jego dłoń i przytuliła ją do swojego policzka.

– Do widzenia panu.

– Do widzenia, pani Figus.

– Nazywam się Rosset. Figus to był mój mąż.

– Do widzenia, pani Rosset.

Uwolniła jego rękę. Odwrócił się i przeciskając się wśród gratów, odnalazł drzwi.

Waż zamienił się w miliardy mrówek. Chiara czuła, jak po niej wędrują.

Mrówki czarne, czerwone, z wielkimi ostrymi żuwaczkami wgryzały się w moją skórę. Mam je w sobie. Chodzą w górę i w dół, biegną z płonącymi zapalkami w czułkach, palą i gryzą. Wody, chcę wody. Potrzebuję wody. Przelykam ślinę z kurzem. Ale nie mogę wymiotować. Jeśli zwymiotuję z głową w tym worku, to już koniec. Co mam zrobić? Boli mnie, strasznie boli. I śmierdzi. Worek śmierdzi błotem, pleśnią i śliną. Moją śliną. Proszę, moje ręce, puśćcie je. Muszę się podrapać, muszę zdjąć ten worek. Boli mnie w środku. Zabierzcie ze mnie te cholerne mrówki. Chcę lodu. Dużo lodu na głowę. Przeszłoby mi od razu. Chcę wstać, bieć, uciec. Wskoczyć do morza. Zanurzyć się. Patrzeć, jak z ust ulatują bąbelki. Zimna woda, która uśmierza wszelki ból. Siedzę pod wodą i patrzę na bąbelki. Brak mi powietrza. Brak powietrza, wracam na powierzchnię. Duszę się. Muszę zdjąć ten worek. Teraz.

Szarpnęła się trzy, cztery razy. Ale bez skutku. Worek nie schodził. Przy każdym gwałtownym ruchu miała wrażenie, że mózg lata jak galareta po jej czaszce. Znow się rozplakała.

Dlaczego? Dlaczego jestem tutaj? Co mi się stało? Co takiego zrobiłam?

Plakała i mówiła. Im więcej mówiła, tym bardziej czuła się sama. Im bardziej czuła się sama, tym więcej plakała.

Jak babcia w trumnie. Z chustką zawiązaną pod brodą. Babciu, co ci jest? Bolać cię zęby? Co za wielki nos i uszy. Teraz cię zamykają, nikt do ciebie już nie mówi, nikt nie pogłaszcze, nikt nie popatrzy, nikt o tobie nie pomyśli. Dokąd poszłaś, babciu?

To było umieranie? Nie wiedziała. Nie myśli się o takich sprawach w wieku niespełna dwudziestu lat.

Umarłam? Nie, nie umarłam. Czuję ból, za tym workiem na twarzy widzę ścianę, jestem związana. Żyję i wszędzie mnie boli, wszędzie mnie piecze. Nie umarłam.

Ale umrzesz, powiedział głos ze środka. Cienki, głuchy głos, bez duszy, bez płci. *Umrzesz związana jak salami*. Umrę. Umrę tu sama. Zagryzła wargi, żeby powstrzymać płacz. To już nie były łzy rozpacz czy strachu. Tylko wielkie płynące samoistnie krople. Sprawiały większy ból, bo wypływały same z siebie, po cichu, ciurkiem jak strumyk.

Chiara umiera. Chiara umiera, mówił wewnętrzny głos. Za sześć dni miały być jej urodziny. Dziewiętnaste.

Carlo Figus żył nędznie. Viorelo Midea pewnie jeszcze gorzej. W furgonetce poza paroma narzędziami nie było nic ciekawego.

– Może się mylę. Uczepiłem się tej sprawy z tablicami, a tymczasem to ty miałaś rację, co, Italo?

– To znaczy? Że bali się mandatu z fotoradaru?

– Może. Może tylko o to chodziło. – Wstał od biurka i zdusił papierosa w popielniczce.

– Dobra, widzimy się jutro. Idziesz do Cateriny?

– Tak, spadła jej trochę gorączka.

– No to niech wraca do pracy – zawołał radośnie Rocco.

– Trochę spadła. Nie jest jeszcze zdrowa.

Wicekwesor sięgnął po płaszcz.

– Trzymaj się.

– Idę z tobą. – Policjant zgasił lampkę przy biurku.

– Czy można? – Scipioni wetknął głowę w uchylone drzwi.

– Mów, Scipioni.

– Nie chciałem przeszkadzać. Ale z techniki przysłali nam to. – Podał im plik kartek.

– Co tu jest?

– Numery z komórki Viorela. To znaczy trzy ostatnie wybrane numery. Inne muszą dopiero wyciągnąć. Facet je skasował.

– A lista kontaktów? Miał tam zapisane jakieś numery?

– Około dziesięciu, same rumuńskie, może pan rzucić okiem.

Rocco spojrział na kartki. Przekazał je Pierronowi.

– Rzuć je, proszę, na moje biurko. Jutro się tym zajmę. Dzięki, Scipioni. Dobrego wieczoru.

– Nawzajem.

Słońce zaszło pośród feerii różowych chmur, co pozwalało się domyślać, że jutro znów powróci w całej wiosennej chwale. Dzień miał się ku końcowi i jedyne, czego pragnął Rocco, to poszłać się po Aościę przed powrotem do domu. Lubił tak robić, kiedy pogoda na to pozwalała. Snuć się bez wyraźnego celu. Oddychać, obserwować przechodniów, psy na smyczach. Kupić papierosy z ulicznego automatu.

Poczuł ochotę, żeby zadzwonić do Seby w Rzymie i zapytać, czy ma coś na widoku. Coś ciekawego, co by pozwoliło zarobić parę groszy. Ale był zbyt zmęczony. Chciał tylko kontemplować kamienice, teatr rzymski, twarze ludzi, niebo, które powoli nabierało fioletowej barwy, góry, które po raz pierwszy, od kiedy mieszkał w Aościę, zdawały się do niego uśmiechać.

– *Dasz radę – mówi Marina.*

Siedzi na kanapie, ma rozłożone pismo z krzyżówkami. To jej nowa pasja. Rozwiązuje krzyżówki, jolki, te bez wskazówek, które słowo gdzie wpisać.

– *Nie, nie dam.*

I to jest najprawdziwsza prawda. Najwyżej umiem łączyć ponumerowane punkty albo zaczerpnąć pola. I czytać dowcipy.

– „Łatwe do zrozumienia”. Na dziesięć liter.

– *J a s n e?*

– *Dziesięć liter!*

– *O c z y w i s t e?*

– *No to naprawdę głupi jesteś. Dziesięć liter. Zaczyna się na p.*

– *Przejrzysty nie, bo jedenaście liter. Kurde, Mari, nie wiem.*

– *Tymczasem porobię hasła poziome. Nie jesz?*

Co mam jeść? Lodówka pusta, słychać echo. W zamrażalniku jedna porcja carbonary.

– *Jest tylko zamrożona carbonara.*

Marina kręci głową i coś pisze.

– *Przystępne! – mówi zniecierpliwiona.*

– *Co?*

– „Łatwe do zrozumienia” to przystępne. Zapiszę sobie w notesie. Ładne słowo. Przystępny.

Co chce mi przez to powiedzieć?

– *Co starasz się mi zasugerować, Marina?*

– *Nic. Tylko tyle, że to łatwe do zrozumienia.*

Może pije do zeszłej nocy, kiedy nie wróciłem do domu. Nie, nie może jej o to chodzić. Ona to wie. To są zwykłe sprawy, dotyczące mnie, stąpającego po ziemi, po podłogach. Nie należę do świata bytów zwiewnych, unoszących się lekko na wietrze.

Oliwa skwierczy na patelni. Wrzucam zawartość mrożonej torebki. Bucha para. A wraz z nią chemiczny zapach sosu. To coś ma się do carbonary jak traktor do ferrari. Umieję robić dobrą carbonarę.

– *Pamiętasz, Mari?*

– *Jakżeby nie.*

– *Nasz pierwszy wieczór. Wmawiałem ci, że jestem mistrzem carbonary.*

Marina śmieje się. Boże, ależ ona ma zęby. Odbija się od nich światło. Jak dobrze popatrzę, to może zobaczę nawet swoje odbicie. Ale tamta carbonara wyszła mi do dupy.

– *Zjadłaś ją z litości, prawda?*

Śmieje się i nic nie mówi. Zawsze tak było. Kiedy Marina się śmieje, nie ma miejsca na nic innego. Tylko na śmiech. I tak jest dobrze. Według mnie, jak ktoś się śmieje, to się śmieje i basta. To w sumie jedyna chwila wolności, jakiej doświadczamy.

Nie ma jej. Nie siedzi na kanapie. Nie siedzi obok mnie, kiedy zjadam tę sztuczną carbonarę. Może jest w łóżku. Albo w łazience. Albo po prostu sobie wyszła. To boli. Nieobecność? Nie. Boli strata, która jest czymś innym niż nieobecność. Strata jest określona. Nieobecność może być mglistym odczuciem, bezcielesnym, głuchym, odnoszącym się do czegoś, czego nie ma, ale nie wiadomo, co to takiego. Ja odczuwam stratę, bo wiem, co straciłem. To gorsze od nieobecności. Bo to, co znałem i co miałem w ręku, tego już nie ma. I nie będzie. To taka różnica jak między Rayem Charlesem a Steviem Wonderem. Stevie nie widzi od urodzenia, Ray stracił wzrok później. Ray wie, co to znaczy widzieć, Stevie nie. Ray doświadczył straty, Stevie nieobecności. Stevie jest w lepszym położeniu niż Ray. Mogę przysiąc, że tak jest.

Od kiedy nic nie piła? Czas przestał płynąć w jednym kierunku. W pomieszczeniu nie było już światła. Ból głowy się wzmógł. Mrówki wędrowały w górę i w dół. Czasami się zatrzymywały, ale zaraz potem wznawiały swój bieg.

Ból nakładał się na ból. Nauczyła się oddychać bardzo powoli, ale całe ciało stało się zeszywniałą masą nakłuwaną szpilkami.

Muszę zasnąć. Jeśli się prześpię, wszystko przejdzie. Przez sen nie będę czuć mrówek, dudnienia w skroniach, pieczenia.

Siusiu. Znowu? Musiała. Próbowwała się powstrzymać, ale nie dawała już rady.

Jak mam to zrobić? Tak bardzo boli. Proszę, zdejmijcie mi z głowy ten worek. Pozwólcie mi oddychać. Dajcie mi wody.

Chciało jej się pić i siusiać naraz. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyła.

Muszę siusiu. Może wszystkie te mrówki się potopią. Może ugaszę to pieczenie. Na pewno tak.

No dawaj, zrób to! Zrób pod siebie – namawia głosik. – Chwilka i po wszystkim.

W ubraniu? Mam to zrobić tak w spodnie? Pobrudzę się cała. Nie dam rady. Nie mogę się zasikać.

Ten koszmar prześladował ją w dzieciństwie prawie każdej nocy. Budziła się przerażona, że zmoczyła łóżko. Ale to były stare dzieje, zamknięta sprawa. Nie przypuszczała, że znów ją to nawiedzi.

No, dawaj, to tylko chwila.

Wstrzymywała się, ale była już u kresu sił. Pęcherz zaraz jej pęknie, musiała popuścić.

A smród? Ten smród mnie zabije.

Zacisnęła usta i popuściła. Poczowała ciepłą strużkę na udach, spływała dalej po nodze, wzdłuż łydki, aż do butów. Znów się rozpląkała.

Narobiła pod siebie, zasikała się! Chiara się zasikała! Głos z niej szydził. Ha ha ha, wstyd, wstyd, ma osiemnaście lat i robi pod siebie!

– Cicho, cicho! – krzyczała przez łyzy. – Cicho.

I co, mamusia cię nie podetrze? A gdzie jest Dolores? Zostawili cię samą?

– Masz być cicho, słyszysz? – krzyknęła, łkając.

Wszystko się lepi, prawda? Lepi się i śmierdzi. Gorzej niż w oborze. Jesteś może krową?

– Daj mi spokój – powiedziała słabym głosem.

Nie chcę cię już słuchać. Idź stąd. Idź sobie. Mrówki nie zniknęły. Ciągle tam są. Jeszcze bardziej mnie piecze. Muszę zasnąć. Jeśli zasnę, zniknie ból i smród, będę mogła oddychać. Kiedy się obudzę, spotkam mamę i tatę.

Albo tego faceta, co cię tu przywiózł.

Kogo?

Sama tu nie dotarłaś.

Trochę wody. Tylko łyczek. Wystarczy łyczek i już będę grzeczna.

Wody? Chcesz wody? Ile byś dała za wodę? Dałabyś mi bilet na Alt-J?

– Cały dom bym ci oddała.

W głowie przestało pulsować, powieki się zamknęły, dziewczyna wpadła w głęboką ciemną dziurę.

Wtorek

Spał już, nareszcie, od jakiejś godzinki, kiedy zaskrzeczał domofon. Podskoczył, aż mu dech zaparło. Rozejrzał się. Siedział w swoim łóżku, w swoim pokoju, w swoim mieszkaniu. Na zewnątrz niebo było atramentowoczarne. Co też go obudziło? Dopiero drugi dzwonek domofonu pozwolił mu zrozumieć.

– Ożeż do kurwy nędzy. – Spojrzał na budzik. Kwadrans po pierwszej. – Kto się tak dobija? Wstał i na bosaka podszedł do drzwi. Poprawiając bokserki, sięgnął po słuchawkę.

– Kto tam?

– Panie wicekwestorze? – Męski głos. – Przepraszam za porę, ale to pilne.

– A kto mówi, do cholery?

– Pietro Bucci Rivolta.

– Kto?

– Pietro Bucci Rivolta. Poznaliśmy się na urodzinach Nory.

No do jasnej cholery! Architekt. Ten, którego podejrzewał, że sypia z Norą, a okazało się, że jest facetem Anny. Czego chce? No nie! Nie zniesie scen zazdrości o pierwszej w nocy.

– Co się stało?

– To coś ważnego... Wiem, że jest późno, nie chciałbym przeszkadzać...

– Już się panu udało przeszkodzić. Zejdę na dół. Proszę dać mi pięć minut.

Wrócił do sypialni i szybko się ubrał.

Rozhulał się wiatr, który odczuwalnie obniżył temperaturę. Ulica była pusta. Pietro Bucci Rivolta chował się w kurtce zapiętej pod szyją. Na głowie miał kaszkiet w kratkę. Kiedy zobaczył Rocca w bramie, podszedł z uśmiechem. Znak, że przychodził w pokojowych zamiarach.

– Bardzo przepraszam – powiedział, wyciągając rękę, którą Rocco uścisnął. – Ale to coś, co spędza nam sen z powiek.

– Nawet mi spędza. Co się dzieje?

– Przede wszystkim zapytam, jak się czuje Nora?

– Dobrze, chyba dobrze.

Pytanie kompletnie zbiło go z pantafelów. Pan architekt zmierzał do celu okreśną drogą. Pytanie, którego się raczej spodziewał, brzmiało: jak się czuje Anna?

– Proszę ją pozdrowić przy okazji. Przyszedłem porozmawiać o czymś bardzo ważnym. Pan jest policjantem, świetnym policjantem, jak mówi Anna... Pamięta pan Annę?

Rocco zrobił minę, jakby szukał w najgłębszych szufladkach pamięci jakiegoś dawno zapomnianego przedmiotu.

– Przyjaciółka Nory, brunetka, tak?

Wstydził się swojej żalostnej gry, ale było mu miło, że Anna uważa go za dobrego policjanta.

– Dokładnie tak. Właśnie Anna poradziła mi, żebym się do pana zwrócił. Proszę wybaczyć porę.

Ale według mnie sprawa jest poważna.

Rocco patrzył na architekta. Czuł się jak ostatnia świnia wobec tego Bogu ducha winnego, dystygowanego faceta.

– Muszę z panem porozmawiać. Czy mogę zaprosić na drinka?

– O tej porze? Jest jeszcze coś czynne w tym mieście?

– Ettore ma otwarte, trwa tam jakiś wieczór kawalerski.

– No dobra.

Długim ziewnięciem pożegnał sen, który już na dobre od niego odpłynął.

– Proszę zaczekać – zatrzymał go architekt.

Odwrócił się, wykonał gest, w zaparkowanym obok mercedesie otworzyły się drzwiczki i wysiadła zeń długowłosa dziewczyna. Z rękoma głęboko w kieszeniach pomiętej kurtki podeszła do nich, stąpając ostrożnie na wysokich obcasach. Uśmiechnęła się.

– Cześć.

– Moja córka Giovanna – przedstawił ją Bucci Rivolta.

– Miło mi – odparł Rocco, uważnie się jej przyglądając.

Oblędnie piękna. Tak piękna, że nie można jej było zaliczyć do żadnej kategorii dziewczyn. Należała do istot wyższego rzędu, niemających nic wspólnego ze śmiertelnikami.

– Zdecydowałem się na tę wizytę z jej powodu.

Ettore przyniósł dwa białe wina dla mężczyzn i coca-colę dla Giovanny. Architekt wybrał stolik najdalej od drzwi. Też należał do stałych klientów, jego pracownia mieściła się przy placu. Być może widział z okna scenę zazdrości, którą urządziła poprzedniego dnia Nora. Rocco jeszcze nie oswoił się z faktem, że istnieje fundamentalna różnica między miastem czterdziestotysięcznym a czteromilionowym.

– No więc, panie Bucci Rivolta...

– Pietro.

– Dobra, Pietro, co się stało?

– Giovanna, opowiedz.

Dziewczyna zachęcona przez ojca wzięła łyk coli, odstawiła szklankę i spojrzała na Rocca szmaragdowymi oczyma. Poprawiła włosy i zaczęła.

– Według mnie coś złego dzieje się z Chiara.

– Kto to Chiara?

– Moja najlepsza przyjaciółka. Wczoraj poszłyśmy do Sphere.

Oczy Rocca były jak dwa znaki zapytania.

– To dyskoteka przy drodze do Cervinii – wyjaśniła Giovanna. – Byłam ja, Chiara, Max, czyli chłopak Chiary, i jego kuzyn Alberto z Turynu.

Rocco dał znać ręką, żeby mówiła dalej.

– To był fajny wieczór. Pod koniec Max odwiózł Chiare, a ja pojechałam z Alberto.

Rocco patrzył na architekta, który z kamienną twarzą słuchał córki.

– Alberto podrzucił mnie do domu i pojechał spać do Maxa.

– Aż dotąd... – zaczął Rocco.

– Nic, w porządku. Ale dziś Chiara nie przyszła do szkoły.

Wzruszył ramionami.

– Bywa. Może jest chora.

– Nie, bo dzisiaj była próbna matura z włoskiego. W tym roku zdajemy maturę. Chiara nie mogła tak po prostu nie przyjść. Też myślałam, że zachorowała.

– Dzwoniłaś do niej?

– Jasne, ma wyłączoną komórkę od wczoraj. Pojechałam do niej do domu, ale tam też jej nie było.

– Jak to?

– Jej matka powiedziała, że jej nie ma. Zapytałam, gdzie w takim razie jest, a ona mi na to, że Chiara pojechała do babci.

– Domyślałam się, że poszłaś też do babci.

– To nie takie proste – wtrącił się architekt. – Jedna babcia Chiary nie żyje, druga mieszka w Mediolanie.

– No to pojechała do Mediolanu, nie widzę tu problemu. – Rocco zaczynał czuć irytację z powodu tej sytuacji.

– Nie dotarła do babci. Dzwoniłam tam – odparła dziewczyna. Dopiła colę i spojrzała na niego.

– Babcia Chiary jest teraz w sanatorium w Abano Terme. Tak mi powiedziała jej gosposia.

– Teraz posłuchaj, jak ja to widzę. – Rocco wychylił do końca swoje wino. – Chiara spędziła uroczy dzień z Maxem i wymyśliła jakąś bajeczkę, bo nie chciała, żeby matka ją nakryła. Odłączyła telefon, by rodzice jej nie wytropili, i dziś rano, to znaczy za parę godzin, spotkasz ją w szkole świeżą i wypoczętą.

– Nie, Max też jej nie widział od tamtego wieczoru.

– Powiedz panu wicekwestorowi o telefonie.

Dziewczyna spojrzała na ojca.

– Chiara ma komórkę, iPhone’a w takim charakterystycznym etui z amerykańską flagą. Kiedy rozmawiałam z jej matką, widziałam ten telefon na komódce w przedpokoju.

Rocco kiwnął głową. Architekt patrzył mu prosto w oczy.

– Wyobraża pan sobie osiemnastoletnią dziewczynę, która pozbywa się komórki na cały dzień?

– Chiara w dyskoteci na pewno miała telefon przy sobie. A więc wróciła do domu. Tylko gdzie jest teraz?

– Myślę, że znam odpowiedź. Sądzę...

– To jeszcze nie wszystko – przerwał mu architekt.

Wyjął z kieszeni dwa kolorowe kartoniki.

– Co to?

Giovanna wyjaśniła:

– Jutro wieczorem w Mediolanie jest koncert Alt-J. Czekamy na niego z Chiarą od miesięcy. Ona nie przepuściłaby takiej okazji za nic w świecie. Wie pan, jak trudno było zdobyć bilety?

– W kółko o tym koncercie gadały. Proszę mi zaufać, coś tu nie gra. Nie wiem co, ale to mi się bardzo nie podoba.

– Według was Chiara zaginęła.

– Chiara zaginęła, a rodzice nic nie mówią – dodał architekt. – Znam Pietra i Giulianę od lat, pracowałem z nimi. Podjechałem do nich pod jakimś pretekstem o wpół do dziesiątej. Pietra nie było, Giuliana się nie pojawiła, pogadałem z gospożą. Na komódce już nie było telefonu Chiary, który widziała Giovanna. Na dodatek w pewnym momencie gospożka nagle się rozplakała. Proszę mi wierzyć, panie Schiavone, coś tu nie gra.

Rocco wstał. Podeszedł do drzwi baru. Rozłożył ramiona.

– Ta rodzina...

– Berguettowie?

– Właśnie. Proszę mi o nich coś więcej opowiedzieć.

– Pietro i Giuliana Berguett mają jedną córkę, Chiarę, i jedną firmę, Edil.ber. Branża budowlana, mówiłem panu, że z nimi współpracowałem. Stawiają domy, mosty, pracowali przy budowie lotniska...

– Fajna robota. Są bogaci? – zapytał Rocco, bo coś mu zaczynało świtać w głowie.

– Całkiem, całkiem.

Owo „całkiem, całkiem” było jak cios w splot słoneczny.

– No to już wszystko wiemy. – Wyjął portfel, zapłacił rachunek. – Która godzina?

– Dochodzi druga.

– A więc zaprotokółujmy – zaczął Rocco uroczystym głosem.

– O godzinie drugiej w pewien majowy wtorek wicekwestor Rocco Schiavone, pełniący służbę w Aoście od dziewięciu długich miesięcy, bierze na barki kolejną upierdliwość dziesiątego stopnia!

Pietro i Giovanna gapili się, nic nie rozumiejąc. W przeciwieństwie do osób pracujących albo mających stały kontakt z wicekwestorem, nie mogli wiedzieć, że prowadził osobisty ranking tego, co nazywał upierdliwościami. Chodziło o różne obowiązki, zadania i codzienne sprawy, które go drażniły albo zamieniały jego życie w piekło. Italo Pierron prowadził nawet ewidencję, którą kiedyś chciał wywiesić w gablocie na komendzie, żeby wszyscy wiedzieli co mówić, a czego nie mówić szefowi. Skala upierdliwości zaczynała się od szóstego stopnia – na pierwszy ogień szli hydraulicy, ekipy remontowe, które nigdy nie zjawiały się o umówionej godzinie, szeregi zer w numerach kont, motocykle bez tłumika, niepiszące długopisy w chwilach, kiedy musiał coś szybko zanotować. Siódmy stopień to: psie kupy na chodniku, finger food na przyjęciach, zakładki, które wypadały z książek. Na ósmym znajdowały się listy z urzędu skarbowego (ale od kiedy wytoczył sprawę sądową skarbowce, stały się jeszcze rzadsze niż kwiat paproci), msze, na które nie chodził od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, zapiaszczone małże w makaronie, korkowe wino i jedzenie obiadu po drugiej. Dziewiąty stopień

był zarezerwowany dla gwałtownych zjawisk atmosferycznych typu burza śnieżna, dla chodzenia na wybory i dla próchnicy. Na najwyższym, dziesiątym stopniu królowała najgorsza upierdliwość, jaką życie mogło mu zesłać: dochodzenie na karku. I w ten majowy wtorek Rocco właśnie zrozumiał, że oto przed nim wyłania się ogromna i nieunikniona upierdliwość dziesiątego stopnia.

Kiedy wychodzili, właśnie się rozpadało.

– Podwieźć pana do domu?

– Do domu? A po co? Już za późno, mleko się rozlało. Proszę mnie podwieźć do pracy.

Wsiadł do mercedesa, architekt ruszył w stronę komendy. Była druga dwanaście nad ranem.

Nocną służbę pełnił Casella. Jak tylko zobaczył, kto wchodzi, uśmiechnął się szeroko i zagaił.

– Szefie, do biura o tej porze? Nie może pan spać?

– Nie. A skoro ja nie śpię, to ktoś jeszcze nie będzie spać. Gdzie są Deruta i D’Intino?

– Nie wiem. Wprawdzie posłał ich pan na miasto, ale według mnie o tej porze są w łózkach.

– Obudź ich i każ im się zbierać!

Rocco nie potrzebował tak naprawdę duetu komików, ale wydał ten rozkaz z czystego pragnienia zemsty.

– Mam ich tu ściągnąć?

– Nie. Powiedz im, że nie dostałem meldunku i że nie czas na odpoczynek. Mają dalej szukać.

– Przekażę – powiedział Casella, podnosząc słuchawkę.

Rocco wpadł do swojego pokoju. Złapał za telefon. Po paru dzwonekach ktoś się odezwał po drugiej stronie.

– Ha... Halo?

– Słyszę, że z głosem już lepiej, pani inspektor Rispoli. Zdjęłaś klamerkę z nosa?

– Szefie, to... To pan?

– Tak, to ja i jest godzina druga dwadzieścia. Przeszła ci gorączka?

– Wczoraj wieczorem, parę godzin temu znaczy, miałam trzydzieści siedem i pół.

– Bierzesz antybiotyki?

– Nie, sok z jeżówki. Stosuję homeopatię i ziołolecznictwo.

– Działa?

– Na mnie tak.

– Ja kiedyś wyleczyłem katar przestępem. Próbowalaś?

– Przepraszam, ale dzwoni pan o drugiej, żeby zapytać, jak się czuję?

– A nawet gdyby?

– Szczerze mówiąc, uznałabym to za troskę ze strony osoby poważnie zaburzonej psychicznie.

– Caterina powoli się budziła.

– Prawda? A jednak nie, nie o to mi chodzi. Szukam Itala. Jest tam u ciebie, prawda?

Słysząc było jakieś szmery, potem niczym z ciemnych głębin morskich doszedł go głos Itala.

– Słucham.

– Musisz przyjechać do biura.

– O drugiej?

– O drugiej. Mamy paskudną sprawę.

– A mogę wiedzieć, co to takiego?

– Niespodzianka.

– Dziesiąty stopień? – zapytał cicho Italo.

– Dziesiątka, w mordę jeża, i to jaka! Nie mamy czasu do stracenia.

– A babcia w Abano Terme?

– Dzwoniłem do hotelu, zameldowała się sama, bez żadnej wnuczki, jak było do przewidzenia.

– Ale co poradzimy teraz o trzeciej?

Rocco zgasił kolejnego papierosa wypalonego podczas tego koszmarne go świtu.

– Mamy alternatywę i od nas zależy, jak zadziałamy. Możemy obudzić prokuratora i poprosić o zgodę na założenie podsłuchów, potem zameldować komendantowi, porozmawiać z rodziną i tym

samym narazić dziewczynę na niebezpieczeństwo, bo zawsze jakiś pismak kręci się po komendzie albo prokuraturze.

– To prawda. Ulubiony sport w prokuraturach to puszczanie w obieg poufnych informacji. – Italo opuścił głowę, jakby się intensywnie namyślał. Potem podniósł ją, ale wzrok nadal miał pełen niepewności. – A drugie wyjście?

– Możemy złożyć wizytę państwu Berguet.

– O tej porze?

– O szóstej.

– A do tej godziny co robimy?

– Mnóstwo rzeczy. Ale potrzebowałbym Cateriny. Ma ciągle gorączkę?

– Jeszcze troszkę. Ale w biurze mogłaby posiedzieć. A D'Intino i Deruta?

– Na razie ich wyciągnąłem z łóżek i wysłałem na miasto.

– Dlaczego?

– Bo ich nienawidzę. Chodź, potrzebuję konia trojańskiego.

– Kogo?

Rocco nie odpowiedział. Złapał już płaszcz i szybkim krokiem wyszedł z biura, zostawiając pozapalane światła. Italo nie pozostało nic innego jak pójść za nim.

Schiavone zaparkował przed otoczoną świerkowym lasem willą z lat dwudziestych, z drewna i kamienia, całą w kwiatach. Aż do pierwszego piętra pokrywały ją glicynie, które za kilka dni miały wystrzelić fioletowym kwieciami. Berguetowie mieli piękną rezydencję. O czwartej nad ranem tonęła jeszcze w mroku. Podeszli do granatowego samochodu.

– Co chcesz zrobić, Rocco?

– Czy to jest Suzuki Jimny Giuliany Berguet?

– Tak wynika z danych w ewidencji pojazdów. Ale po co ci to wiedzieć?

– Zgrabne autko, zbyt jednak drogie, nie lubię go. Bardzo hałasuje i źle się prowadzi po asfalcie.

Za to w terenie zachowuje się świetnie.

– Rocco, ale ja nie przyjechałem, żeby kupić samochód, chcę wiedzieć, co do cholery mamy tu do załatwienia o czwartej rano!

Zamiast odpowiedzieć, Rocco wsunął do zamka w drzwiach ostry metalowy przedmiot. Otworzył i z szelmowskim uśmiechem zwrócił się do Italo.

– Pojedziesz za mną naszym samochodem. – I wsiadł do terenówki Giuliany Berguet.

Po chwili Italo usłyszał, jak nocną ciszę rozdziera ryk silnika. Pokręcił głową przekonany ostatecznie, że Rocco Schiavone minął się z powołaniem.

Po półgodzinnej jeździe drogą numer 26 dotarli do Saint-Nicolas. Rocco zatrzymał się i wysiadł. Złapał kamień i roztrzaskał przednie światła.

– Pocięło go? – zapytał sam siebie czekający w radiowozie Italo.

Rocco dołączył do podwładnego, otrzepując ręce.

– Co żeś zrobił?

– Popatrz, co za sukinsyny. Ukradli wóz i porzucili go po wypadku trzydzieści kilometrów od Aosty. Ale na szczęście twój kolega z drogówki, ten od bilarda, no... Jak się nazywa? Umberto?

– Tak.

– Znalazł go tutaj. Auto wzbudziło jego podejrzenia, bo ewidentnie nosi ślady włamania i demolki. Co za pech!

Italo gapił się, nic nie rozumiejąc.

– Uszkodziłeś go!

– Po pierwsze, jest ubezpieczony, a poza tym na biednego nie trafiło. Myślę, że dadzą radę wykrobać te czterysta euro na naprawę. A teraz zadzwonisz do Umberta i wszystko mu opowiesz. To równy gość, prawda?

– Totalnie.

– No więc umie zachować tajemnicę?

– A ma inne wyjście?

Rocco się zadumał.

– Nie sądzę. Jakby co, zawsze może dostać do pilnowania jakieś skrzyżowanie w Secondigliano czy na równie beznadziejnym zadupiu. Dawaj, zadzwoń do niego, kiedy będziesz prowadził, i wracamy do miasta. Umiesz dzwonić i prowadzić?

– Chyba tak. Mógłbym nawet jeszcze żuć gumę. Ale chyba wciąż nie zrozumiałem, do czego zmierzamy.

– To nasz koń trojański! – Po czym wicekwesor sięgnął do kieszeni Itala, żeby wyjąć papierosy. Skrzywił się, ale i tak zapalił.

O szóstej inspektor Caterina Rispoli weszła do gabinetu Rocca otulona szalem, spod którego wyzierały tylko oczy. Pachniała świeżym powietrzem i maścią eukaliptusową.

Scipioni, z jednodniowym zarostem, stał obok szefa. Italo siedział na krześle przed biurkiem.

– Cześć! – Caterina pozdrowiła ich słabym głosem.

– Wyglądasz jak kobieta z berberyjskich plemion. Siadaj. I wybac, że cię ściągnąłem.

Caterina przesunęła krzesło i usiadła obok Itala. Zmartwione spojrzenie policjanta nie uszło uwagi Rocca. Naprawdę ją kocha, pomyślał.

Zatarł ręce. Świat za oknem wypełniało powoli słabe światło poranka.

– Dobra, skoro już wszyscy jesteśmy, posłuchajcie. Mamy poważną sprawę, o której poza nami nikt nie może wiedzieć. Istnieją uzasadnione podejrzenia, że dziewczyna nazwiskiem Chiara Berguet została porwana.

Scipioni i Rispoli wytrzeszczyli oczy. Caterina nawet zakasłała.

– Oczywiście to nie zostało zgłoszone. Jaki więc mam plan?

– Domyślam się, że nie będziemy uprzedzać ani komendanta, ani prokuratora? – odezwał się Scipioni.

– Świetnie, Antonio. Ale bardzo proszę na przyszłość: jeśli jest coś, czego szczerze nienawidzę, to właśnie pytania retoryczne.

– A czy ja takie zadałem? – dopytywał zmieszany policjant.

– Tak, właśnie zadałeś. W tym zespole pytania retoryczne są niedozwolone. Idźmy dalej. Caterina, potrzebuję wszystkich dostępnych informacji na temat spółki budowlanej Edil.ber należącej do tej rodziny. Obroty, zlecenia, sytuacja finansowa, wszystko.

Caterina przytaknęła.

– Ty, Antonio, będziesz wspierał Caterinę w robocie. Jeśli trzeba komuś złożyć wizytę, najpierw uzgadniasz to ze mną. Ponieważ Caterina jest jeszcze chora, ty potem to wykonasz, jasne?

Scipioni tylko przytaknął. Ciągle jeszcze nie rozumiał historii z pytaniami retorycznymi.

– Ja i Italo zajmiemy się rodziną i mam nadzieję, że się do czegoś dokopujemy.

– A jak ktoś zacznie się dopytywać? – zaniepokoiła się Caterina.

– Wymyślcie coś. Pracujecie dla mnie, szukacie jakichś papierów w sprawie malwersacji...

– Na przykład w sprawie podejrzanych transakcji w wydziale robót publicznych, w ramach operacji „Czerwona nić” prowadzonej przez policję skarbową wśród podmiotów gospodarczych uczestniczących w przetargach na pograniczu szwajcarskim? – Scipioni podsunął historyjkę.

Rocco popatrzył z powagą.

– Tak, ale koniecznie dodaj, że udzielamy tylko pomocy prawnej w zakresie czynności sprawdzających. – I klepnął go serdecznie w ramię. – Zawsze wiedziałem, że można na ciebie liczyć! Zaraz wam zamówię w barze kawę i rogaliki. Pracujecie w moim pokoju. Jeszcze jedna rzecz. Ta szuflada w biurku zamknięta na klucz musi pozostać zamknięta na klucz. Rozumiemy się?

Oboje potwierdzili. Rocco pomacał się po kieszeni i sprawdził, czy jest tam joint, który wyjął z tej właśnie szuflady dziesięć minut wcześniej. Bez niego nie dałby rady na dobre się rozkręcić. Wreszcie wyszedł wraz z Italem z biura.

Czatował długo. Nieruchomy, czujny. Widział, jak wyskakuje z krzaków obok domu. Pokonał dystans jednym susem, ale była szybsza i schowała się w szczelinie, zbyt wąskiej dla niego. Chwilę

jeszcze czekał, ale mu się znudziło i postanowił obejść tę chałupę z zakurzonymi oknami. Zajrzał do środka, może gdzieś tam się schroniła. Ale nie było żadnej myszy. Tylko jakaś dziewczyna na środku pokoju. Spała na krześle przytroczonym do betonowego słupa. Ręce przywiązane do oparcia, czarna głowa bez oczu ani ust. Podrapał się za uchem, pokrzywy poparzyły go podczas zasadzki.

Polizał najpierw lewą, potem prawą łapę. Powęszył. Podniósł się, przeciągnął i ruszył na łąkę, zostawiając za sobą ten stary dom. Dzwonek przy czerwonej obroży dźwięczał przy każdym ruchu. Służył do odstraszenia węży, ale one pojawiają się dopiero latem.

Jego dom był po drugiej stronie pagórka. Nie miał ochoty tam wracać. Szedł spokojnie, depcząc mniszka, gencjanę i koniczynę, omszałe kamienie obrośnięte stokrotkami. Było ich mnóstwo. Zwęszył coś. Szedł tędy lis. Na pewno. Trzeba być czujnym. Na górze wrona zakrakala parę razy. Dotarł na szczyt wzgórza. Widział ogród przy swoim domu i dach z blaszanym kogutkiem. Przed nim przemknęła jaszczurka. Nawet na nią nie spojrzął, kiedy przerażona zniknęła pod kamieniem.

Dżyngis-chan miał ledwo rok. I zawsze pojawiało się coś, co odciągało go od tych czterech bezpiecznych ścian. To na pewno nie była chęć upolowania tej obrzydliwej myszy czy uganiania się za głupimi jaszczurkami. Nie, gdyby nie to dziwne uczucie, złapałby przecież tę mysz z dziesięć razy. To była jakaś senność połączona z pragnieniem. Owego majowego dnia Dżyngis-chan czuł inny zapach. Zapach mięsa i kwiatów, cukru i czegoś dzikiego.

– Dżyngis, gdzie ty się podziewasz? Mama zrobiła ci papu.

Stara postawiła na ziemi miskę. Ale nie miał wcale ochoty jeść. Ten zapach i ucisk tam, tuż pod ogonem nie dawały mu spokoju, musiał się ruszać. Jednym susem przeskoczył płot i pobiegł w stronę drogi.

– Dżyngis, twoje papu!

– Nie widzisz, że to miłość? Puść go. Wróci, jak się wyżyje – odezwał się stary, przekładający jakieś skrzynki w ogrodzie. – Ale mu dobrze. – Popatrzył na rudą plamkę śmigającą daleko wśród traw. Żona spojrzęła na niego i zaśmiała się.

Zjedli śniadanie w barze u Ettore, a Caterinie i Antoniowi posłali dzbanek kawy i cztery rogaliki. Rocco wypalił skręta, Italo papierosa i wreszcie stanęli pod domem Berguetów. Za dwadzieścia siódma. Umberto z drogówki już na nich czekał.

– Świetnie, że jest – ucieszył się Rocco. – Z Umberto wszystko będzie bardziej wiarygodne, nie? – powiedział, wysiadając.

– Tak – odparł Italo. Zostawił otwarte okna w samochodzie, tapicerka przesiąkła zapachem konopi. – Co to za historia z tą twoją kuracją marihuaną?

– Dobrze mi robi. Otwiera połączenia nerwowe, godzi mnie z tym gównianym dniem i daje siłę, żeby przeżyć. Wystarczy?

– Tak.

Zamaszystym krokiem podszedł do Umberta. Uścisnął mu dłoń.

– Wszystko już wiesz?

– Oczywiście, szefie.

– Masz numer telefonu do pani Berguet?

– Tak.

Rocco wręczył mu komórkę i dokumenty samochodu.

– No to zabawmy się w teatrzyk.

Wszyscy trzej ruszyli do domu. Minęła dobra minuta, zanim ktoś podszedł otworzyć. Filipinka w fartuchu w biało-czerwone paski, niewiele ponad metr wzrostu. Popatrzyła srogo na policjantów.

– O co chodzi?

– Czy pani Giuliana Berguet jest w domu?

– Czego chcecie?

– Policja. Musimy z nią porozmawiać.

– Pani telas śpi.

– Ty idź i budź – odparł wesoło Rocco.

– Nie, bo jak śpi, to nie chce, żeby budziś.

Rocco westchnął głęboko.

– Pani imię?

– Mojej pani?

– Nie, pani! – wskazał na nią.

– Dolores.

– Dolores, idź obudzić panią. Nie widzisz, że pan, czyli ja, baldzo baldzo zły?

Filipińska gosposia chwilę się wahała, po czym odsunęła się, by ich przepuścić.

– Zaczekajcie tutaj. – I szurając kłapkami, zniknęła w głębi domu. We wszystkim wyczuwało się rękę architekta wewnątrz. Nawet w zapachu cynamonu, który unosił się w powietrzu. Klasyczny, trochę przyciężki styl, tapiserie, draperie, brokaty, złożone lustra i wielkie perskie dywany. Wariacja na temat hotelu Des Bains na weneckim Lido, ale z pewnym wdziękiem. Na ścianach wisiała cała galeria wczesnodziwnostnowiecznych pejzaży, niektóre tak pociemniały, że prawie nie było widać na nich kolorów i kształtów. Nad przeszklonymi drzwiami do salonu wisiały szesnastowieczne *Narodziny Dzieciątka*, które same były warte tyle, co cała willa.

Rozejrzeli się.

– Całkiem nieźle, co?

– Całkiem, całkiem – odparł Rocco. – Przyciężkie, ale spójne.

– Posadzki z marmuru?

– Weneckiego.

– A to? – Umberto wskazał intarsjowane biurko.

Rocco przyjrzał mu się z bliska.

– To biurko Mazarin, zapewne orzech. Intarsje wyglądają mi na kość słoniową.

– Musi sporo kosztować.

– Znajdziesz już poniżej dwudziestu tysięcy – orzekł zadowolony Rocco, podczas gdy dwaj policjanci przetykali zazdrość.

– Pan się na tym zna? – zapytał Umberto.

– Moja żona uwielbiała takie rzeczy.

– A teraz już ich nie lubi? – zapytał niewinnie kolega z drogówki.

Italo sprzedał mu kuksańca w bok, ten nie zrozumiał z jakiego powodu, ale darował sobie dalsze dociekania.

Gosposia wróciła, łypiąc na policjantów.

– Pani zalas psyjdzie.

– Ślicznie dziękuję, Dolores – odparł Rocco, zanim zniknęła za drzwiami, za którymi pewnie była kuchnia.

– Może nam szef wyjaśnić, dlaczego to robimy? – Italo przy innych policjantach zwracał się do niego w bardziej formalny sposób.

– Rozglądaj się, łap szczegóły, zbieraj wrażenia. Słuchaj. Cała nasza praca polega właśnie na tym.

Od niechcenia podszedł do etażerki stojącej na wprost drzwi wejściowych. Otworzył szufladę. W środku była komórka Chiary Berguet, ta w futerale z amerykańską flagą, kilka monet na srebrnej tacce, pęk kluczy z brelokiem w kształcie litery M, pozłacany przycisk do papieru, kłębek recepturek. Na półce obok bezprzewodowego telefonu leżały poukładane faktury, urzędowe pismo od burmistrza Aosty i notes.

Italo obserwował, jak jego szef gmerał w tych przedmiotach. Wydało mu się, że wyrwał zieloną kartkę z notesu i schował ją do kieszeni.

Rychło w czas, bo w drzwiach salonu zjawiała się Giuliana Berguet. Wysoka i chuda, kręcone włosy, Iniane spodnie i bluzka z długim rękawem. Uśmiechała się, ale pod warstwą dopiero co nałożonego makijażu można było dostrzec worki pod oczami. A oczy miała zgaszone, wystraszone, bezskutecznie udawała pewną siebie, spokojną panią na zamku. Lekko zapadnięte policzki były pozbawione koloru, jeśli nie liczyć sztucznego różu. Na oko nie spała od wielu godzin i mogła w każdej

chwili zemdleć.

– Czym mogę panom służyć?

– Wicekwestor Rocco Schiavone z komendy w Aoście. – Rocco wskazał ręką Umberto, który wręczył mu dowód rejestracyjny. – Czy Suzuki Jimny o numerze DD 343 AF należy do pani?

Potwierdziła.

– Dlaczego pan pyta?

– Nasz kolega z drogówki odnalazł pojazd... Gdzie?

– W Saint-Nicolas, trochę jest poobijany – powiedział Umberto.

– Jak to? – zdziwiła się. – Rzadko go używam, ale... Jeździ nim mój szwagier Marcello i na pewno wczoraj zaparkował pod domem...

– A dziś rano stał w Saint-Nicolas. Mamy pewne podejrzenie... – Rocco pozwolił, żeby zdanie zawisło w ciszy, i uważnie przyglądał się jej twarzy. Przelykała ślinę, lewą ręką ścisnęła prawą tak mocno, że aż zatamowała przepływ krwi.

– Co pan podejrzewa?

– Że samochód został wykorzystany do napadu na pracownię jubilerską w centrum dziś w nocy. Rocco miał wrażenie, że Giuliana odetchnęła.

– Czy mąż jest w domu?

– Nie! – odpowiedziała z szybkością, z jaką dzieci zwykle krzyczą „berek!”.

Jakby specjalnie, żeby jej zaprzeczyć, z drugiego końca przedpokoju wynurzył się mężczyzna.

Rocco, Italo i Umberto odwrócili się w jego stronę.

– Kim są ci panowie?

– Policja – pospieszyła z odpowiedzią Giuliana. – Znaleźli mój samochód w Saint-Nicolas. Podobno ktoś go ukradł dziś w nocy, żeby napaść na jubilera.

– A skąd taki wniosek? – zapytał mężczyzna, patrząc na policjantów. Rocco zrobił krok ku niemu.

– Wicekwestor Rocco Schiavone, komenda w Aoście.

– Miło mi. Marcello Berguet, szwagier pani Giuliany. To znaczy brat męża.

– A, to pan jeździł wczoraj tym samochodem?

– Tak, prawie zawsze to ja go używam. Na pewno zaparkowałem pod domem. W Aoście jest mnóstwo problemów, ale akurat nie z parkowaniem – powiedział z przekąsem. – No więc, dlaczego pan sądzi, że został użyty do napadu?

– Kamera monitoringu zarejestrowała napad. Wjechali w witrynę samochodem należącym do pani Berguet.

– Ale historia. No... My byliśmy tu całą noc. Przysięgam, że zaparkowałem go pod domem.

– Wiem. – Rocco się uśmiechnął. – Nie sądzę, żeby można było państwa podejrzewać o napad na jubilera. Nie sądzę, żeby mieli państwo potrzebę handlowania kradzioną biżuterią.

Oboje zareagowali wymuszonym śmiechem.

Rocco spojrzał na kolegę z drogówki.

– Proszę już nas zostawić, dziękuję za pomoc.

Umberto zgodnie ze scenariuszem zaszalutował, uklonił się pani domu i zniknął za drzwiami.

– No więc, muszę panią prosić o udanie się ze mną na komendę. Jest parę głupich formalności do załatwienia, chodzi niestety o przestępstwo. Mam nadzieję, że nie zabiorę dużo czasu.

– Ale, wie pan, ja właściwie mam...

Giuliana rzuciła spojrzenie szwagrowi, który stał sztywno, jakby połknął kij, nie wiedząc, co robić.

– Nie mogę z wami jechać. Mam zobowiązania. Mogę dojechać do panów później?

– Proszę pani, nie zapraszam pani na koktajl, to naprawdę inna sprawa.

Zagryzła wargi. Popatrzyła na nich.

– Nie mogę teraz. Mam bardzo ważne spotkanie o dziesiątej.

– O tej porze na pewno już skończymy, zapewniam panią – nalegał Rocco.

– Ja muszę zostać w domu, rozumie pan? – I usiadła na kanapie w stylu Ludwika ileś tam, która zaskrzypiała pod jej niewielkim ciężarem.

– A dlaczego? Nie czuje się pani dobrze?

Zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła kręcić głową.

– Nie, wcale nie czuję się dobrze. Wcale się nie czuję! – Był to rozpaczliwy, rozdzierający krzyk, od którego cierpła skóra.

Szwagier podbiegł do niej, żeby ją pocieszyć, ale kobieta w nagłym ataku gniewu podniosła głowę i czerwonymi od płaczu oczyma popatrzyła na Rocca.

– Ja się stąd ruszę tylko z moim adwokatem, do którego zadzwonię i zapytam, czy to normalna procedura. Wpadać do czyjegoś domu o siódmej rano i zabierać go na komendę! Jestem przecież ofiarą tej kradzieży. To mnie ukradli samochód, nie ja ukradłam. Co mam tam robić? Nie, nigdzie nie jadę. Może mnie pan oskarżyć, aresztować, ale ja nie ruszę się teraz z domu.

Rocco, który wyglądał na zadowolonego, dał znak swojemu podwładnemu, żeby wycofał się w stronę drzwi.

– Jak sobie pani życzy. Widzę, że jest pani wycieńczona i rozemocjonowana. Nie chcę dodatkowo utrudniać życia. Czy mogę coś dla pani zrobić?

Zapadła kamienna cisza. Italo czekał w otwartych drzwiach, patrząc na Giulianę, która patrzyła na Marcella, który patrzył na Rocca. Wicekwestor miał wrażenie, że pani Berguet zaraz krzyknie: „Tak, może pan dla mnie dużo zrobić, proszę odnaleźć moją córkę!”. Ale to szwagier się odezwał:

– Dziękuję, ale nie może pan nic zrobić.

Nagle zadzwonił telefon, jego dźwięk niósł się echem po całym domu. Giuliana Berguet podskoczyła jak rażona prądem. Wpatrywała się w szwagra, który zlizywał pot z warg. Rocco niewzruszony obserwował scenę. Przy trzecim dzwonku kobieta wstała, ale on był szybszy. Wziął bezprzewodową słuchawkę i jej wręczył.

– Proszę.

Giuliana złapała za telefon, ale zaraz wyrwał go jej z rąk Marcello. Przy piątym dzwonku wreszcie odebrał, odwrócił się i odszedł w stronę skrytego za przeszklonymi drzwiami salonu.

– Panowie wybaczą – usprawiedliwił się. Ale nim dotarł do salonu, odwrócił się nagle i wrzasnął:

– Nie chcę żadnej nowej oferty taryfy za energię! – I rzucił słuchawkę na fotel. – Ten telemarketing robi się nie do zniesienia, nie sądzicie?

Niebo znów się zachmurzyło. Italo prowadził w milczeniu, Rocco zapalił.

– Tylko mi nie mów, że znów zacznie lać.

– Całkiem możliwe.

Przejechali skrzyżowanie, zostawiając za sobą dom Berguetów. Na poboczu, przy zjeździe na drogę krajową, czekał Umberto na motorze. Rocco uchylił okno.

– Nowa taryfa za energię? – zapytał.

– Nic innego mi do głowy nie przyszło. – I Umberto oddał komórkę wicekwestorowi.

– Dobra, dzięki, bardzo nam pomogłeś.

– Dla dobra sprawy, szefie. Jeśli jeszcze będę potrzebny, proszę dzwonić. A w kwestii samochodu pani Berguet? Mamy się nim zająć?

– Tak, zajmijcie się nim, dzięki.

Umberto odmeldował się, odpalił motor i pałac gumy, z piskiem zniknął za zakrętem.

– Spoko gość, ten Umberto.

– Chodziliśmy razem do liceum.

– Coś razem kombinujecie?

– Nie, tylko grywamy czasem w bilard. Teraz mamy manię zakładów sportowych. On śledzi uważnie puchary piłkarskie, koszykówkę, narciarstwo...

– Wygrywacie?

– Na razie jesteśmy czterysta euro do przodu, nieźle, co?

Rocco się skrzywił.

– Czarno to widzisz? – Italo nie pytał już o zakłady bukmacherskie.
– Wydaje ci się, że to normalna reakcja na telefon? Myślisz, że ona zachowywała się normalnie, kiedy chciałem ją zabrać na komendę? Bardzo czarno to widzę.
– Sądziś, że córkę...
– Na pewno.
– Edil.ber należy w siedemdziesięciu pięciu procentach do Pietra Bergueta, resztę udziałów ma jego brat Marcello, który nie pracuje jednak w spółce, uczy matematyki w liceum przyrodniczym w Aoście. Zajmują się budownictwem, mieszkaniówką, ale mają też duże zlecenia publiczne. Byli w konsorcjum, które wygrało przetargi na lotnisko, zjazdy autostradowe, restrukturyzację fortu w Bart... Ubiegają się o zlecenia od regionu. – Caterina wyliczała wszystkie informacje, jakie udało jej się zebrać w kilka godzin. – Roczny zysk brutto dwanaście milionów, dwadzieścia osób stale zatrudnionych plus szereg wyspecjalizowanych robotników na zleceniach. Murarze, cieśle i tak dalej.
– Czyli dają pracę i pieniądze wielu ludziom – podsumował Antonio Scipioni.
– Ale dokopałam się do paru artykułów z ostatnich miesięcy, nie idzie im tak całkiem gładko – ciągnęła Caterina.
Rocco oderwał się od parapetu. Gapił się na czarne chmury, które gęstniały nad Aostą.
– Co masz na myśli?
– Gazety pisały o kryzysie. Robotnicy wystawiani za bramę, opóźnienia w płatnościach, to co zawsze.
– A potem?
– Potem chyba wszystko się uspokoiło, a w każdym razie niczego więcej nie znalazłam.
– Muszę zamienić parę słów z tym Pietrem. Ktoś ma pomysł, jak to zrobić?
– Może lipne wezwanie, tak jak z żoną? – zaproponowała Caterina, wydmuchując nos w papierową chusteczkę.
– Albo kontrola? – zasugerował Scipioni.
– Kontrola czego? – Rocco nie był przekonany.
– Mam! – krzyknął Italo. – Carlo Figus, robotnik, który zginął w tamtym wypadku. Powiemy, że wedle naszych danych pracował dla niego i że mamy w związku z tym parę pytań.
– Dobra myśl, Italo!
Spojrzał na Caterinę.
– Jeśli pani inspektor nie czuje się na siłach, może wracać do domu.
– Nie, nie, już mi lepiej. Poza tym w domu umieram z nudów. – I posłała wszystkim pierwszy tego dnia uśmiech, który rozświetlił jej twarz.
Nawet sponiewierana przez katar i gorączkę Caterina Rispoli była kobietą z pierwszej ligi. Czowała jak matka i perfidna jak starsza siostra.
– Czy aby nie popełniasz głupstwa?
– Nie, szefie.
– A propos głupot. Godzinę temu odezwali się D’Intino i Deruta – zameldował Scipioni.
– Gdzie się podziali?
– Dostali ode mnie klucz i starają się odkryć, do którego zamka pasuje – wyjaśnił Rocco.
Caterina wybałuszyła oczy.
– Igła w stogu siana?!
– Gorzej. Jeden włos z krowiego ogona w rozjuszonym stadzie – poprawił ją Rocco. – No i co?
– Nic, wie pan, że mnie nienawidzą. Chcieli rozmawiać z panem. Mówią, że dostali polecenie meldować bezpośrednio do pana.
– Posłuszni rozkazom. Dobra, kto by się przejmował braćmi De Rege. Jedziemy, Italo?
– Dokąd?
– Skleroza cię dopadła? Do Edil.ber. – Wstał, sięgnął po płaszcz, wsunął rękę do kieszeni.
– Byłbym zapomniał, Caterina, bawiłaś się w to w szkole? – Wręczył jej karteczkę.
– W co?

– Wiesz, zamazujesz delikatnie ołówkiem całą kartkę, aż ukazuje się napis.
– Jasne, z koleżankami pisałyśmy sekrety na kartce. Potem jak się potarło ołówkiem kartkę, która była pod spodem, udawało się przeczytać wiadomość.

– No właśnie. Sprawdź, czy na tym papierku jest zaszyfrowany jakiś sekret.

Italo rozpoznał zielonkawą kartkę wyrwaną z notesu w domu Berguetów.

Caterina zaczęła zaczerniać papier ołówkiem.

– Coś tam widzę, cyfry, zaraz, jest coś napisane. – Przybliżyła kartkę do oczu. – Deflan, wydaje mi się, że deflan.

– Co to?

– Moment. – Caterina pochyliła się nad komputerem Rocca, wstukała hasło do wyszukiwarki.

– To lekarstwo, na stany zapalne, reumatyczne, nieżyty pokarmowe... Leczenie zaburzeń o charakterze zapalnym.

– No dobra, pewnie to lekarz zalecił pani albo panu domu – skomentował Italo.

– A te cyfry?

– Nic, co by przypominało numer telefonu.

– Pudło, no trudno, jedziemy.

Spółka Edil.ber miała siedzibę nieopodal lotniska, w nowoczesnym budynku pokrytym lustrzanymi szybami. Wielka brama prowadziła na firmowy parking, gdzie Italo zaparkował samochód. Obaj ruszyli w stronę głównego budynku, kiedy Rocco zauważył coś na ogrodzeniu. Biała płachta łopotała na wietrze. Podszedł, rozwinął ją – był to skrawek podartego transparentu. Widać było słowa „Dość...” i „miejsc pracy”, poniżej symbol jednego ze związków zawodowych. Tyle zostało z niedawnego protestu pracowników.

Cofnęli się w stronę budynku i weszli do środka. Na wprost wejścia tablica wskazywała położenie poszczególnych biur. Dyrekcja mieściła się na pierwszym piętrze. Kiedy drzwi windy się otworzyły, stanęli w progu okrągłego holu. Na białych ścianach wisiały projekty i zdjęcia z budów przeprowadzonych przez firmę. Niebieska wykładzina tłumiała odgłos kroków. Kobieta około sześćdziesiątki wyszła im naprzeciw.

– Słucham panów.

– Wicekwesor Schiavone, komenda w Aoście.

Kobieta przelknęła głośno ślinę.

– Kto tu jest szefem?

– Kto?... pan Berguet, Pietro Berguet. Mogę znać powód?

– Nie. Gdzie on teraz jest?

Wskazała na drzwi z jaskrawoczerwoną tabliczką „Zarząd”.

– Zapowie nas pani czy sami mamy wejść?

Ruszyła gwałtownie. Zapukała do drzwi, uchyliła je, wsunęła głowę, coś powiedziała i odwróciła się do policjantów.

– Proszę... – Odsunęła się, by ich przepuścić.

W środku było dwóch mężczyzn. Jeden siedział na białej skórzanej kanapie, drugi stał i nerwowo palił przed wielkim oknem. Rocco postanowił odgadnąć i zwrócił się do tego z papierosem:

– Dzień dobry, Schiavone, wicekwesor z komendy w Aoście.

Czarnowłosa facet spod okna podszedł, usiłując nałożyć maskę uprzejmego uśmiechu. Miał napiętą twarz, podkrążone jasne oczy, poluzowany krawat. Garnitur, choć niewątpliwie dobrej jakości, był strasznie wymięty. W wersji zrelaksowanej i odprasowanej byłby to przystojny mężczyzna. Teraz przypominał raczej wymiętą ścierkę.

– Pietro Berguet – przedstawił się, gasząc papierosa w pełnej już popielniczce. Wyciągnął rękę na powitanie. Miał lepkie od potu dłonie. – To jest pan Cristiano Cerruti, wiceprezes. – Tamten nawet nie wstał z kanapy, tylko lekko się uśmiechnął. Miał wypielęgowaną bródkę, taką, której utrzymanie wymaga godzin pracy, niczym trawnik na korcie wimbledońskim. Jego garnitur też błagał o żelazko.
– Co mogę dla panów zrobić? Żona mówiła, że byli panowie u nas w domu. Ciągłe chodzi o to

skradzione auto?

– Nie, my w policji uprawiamy multitasking, prawda, Pierron?

– Tak jest!

– Niech pan sobie wyobrazi, że ten oto mój podwładny potrafi naraz prowadzić samochód, rozmawiać przez telefon i żuć gumę.

Pietro Berguet spojrział na Rocca jak na kosmitę.

– A ponieważ znamy się na multitaskingu, rozwiązujemy kilka problemów naraz. No więc...

– Wyciągnął rękę. Italo wręczył mu kartkę. – Czy niejaki Carlo Figus jest waszym pracownikiem?

Berguet zamyślił się.

– Chwileczkę, tak z pamięci to panu nie powiem. Mam zadzwonić do kadr?

– Czemu nie.

– Ale dlaczego? – zapytał prezes, sięgając po słuchawkę.

– Miał wypadek i zginął, wczoraj wieczorem na drodze z Saint-Vincent.

Pietro Berguet uniósł brwi.

– Przykro mi. Halo? Fabio, sprawdź, proszę, czy Carlo Figus jest naszym pracownikiem. – Czekał w milczeniu na odpowiedź. – Dzięki, Fabio, dzięki.

Odłożył słuchawkę.

– Tak, pracował u nas od dwa tysiące pierwszego do dwa tysiące trzeciego roku. To straszne, jak to się wydarzyło?

Rocco spojrział na Itala. Nie chciało mu się dalej mówić, scedował ten obowiązek na podwładnego.

– Wszystko z powodu starych opon, które pękły w trakcie jazdy. Furgonetka rozbiła się na drzewach. Zginął na miejscu.

Pietro Berguet kiwał głową.

– Matko Boska...

– Mieliliśmy obowiązek was zawiadomić.

– Ale już tu przecież nie pracuje – wtrącił Cerruti, wciąż z tyłkiem przyspawanym do kanapy.

– Formalnie rzecz biorąc, nas to już nie dotyczy. Proszę przekazać wyrazy ubolewania rodzinie.

– Przepraszam, zapomniałem pana nazwiska.

– Cristiano Cerruti. Może mi pan wyjaśnić, skąd te wszystkie pytania o tego nieszczęśnika?

– Ależ proszę. Ponieważ jechał pojazdem z kradzionymi tablicami rejestracyjnymi i był karany, wszcząłem dochodzenie. Czy muszę prosić pana o pozwolenie?

Cerruti wreszcie wstał, jakby uruchomił się mu wewnętrzny program.

– Ma pan nakaz prokuratorski?

Rocco wybuchnął śmiechem.

– Słyszysz, Italo, jak ta telewizja robi ludziom wodę z mózgu? – Potem skupił wzrok na twarzy Cerrutiego. – Nie potrzebuję żadnych papierów od prokuratora. Widzę, że jest pan dość spięty, panie Cerruti. Z doświadczenia wiem, że dobrze panu zrobi, jak pan siądzie i policzy do dziesięciu.

Potem zwrócił się do prezesa.

– Czy mógłbym zamienić parę słów z tym Fabio z działu kadr?

– Ależ oczywiście. Nazywa się Fabio Limetti – odparł Pietro z wyraźną ulgą na myśl, że obaj policjanci zaraz sobie pójdą. – Proszę, proszę, zaraz zawołam sekretarkę, żeby was zaprowadziła.

Otworzył drzwi.

– Ines! – powiedział, a przysadzista sześćdziesiątka zjawiała się w korytarzu. – Proszę zaprowadzić panów do pokoju Limettiego.

Kobieta wyciągnęła rękę, wskazując kierunek przeciwny w stosunku do windy.

– Proszę, panowie pozwolą za mną.

– Pan zostaje tutaj? – spytał Rocco.

– Tak, w razie potrzeby znajdzie mnie pan tutaj.

– Pana też, panie Cerruti?

- Oczywiście – odparł tamten, znów siadając na kanapie.
- Dobrze. Mam przecucie, że się jeszcze spotkamy – powiedział z całą powagą. Chciał, żeby zabrzmiało to jak pogrożka. I jak pogrożka zabrzmiało.

Fabio okazał się bladym blondynem pod trzydziestkę. Wielkie niebieskie oczy pozbawione brwi nadawały jego twarzy wyraz niewinnego zdumienia. Był spokojny i uczynny. Mówił niemal kobiecym głosem. Wręczył im kopie dokumentów personalnych i paski wypłat Carla Figusa, po czym zostawił ich samych, żeby mogli przejrzeć dokumenty w spokoju.

– Czego szukamy? – spytał Italo.

– Obserwuj parking. Jeśli Berguet wyjdzie, będziemy go śledzić. – Rocco grzebał w papierach.

– No i gdzie się podział ten blondyn? Mam parę pytań do niego.

Jakby na zawołanie Fabio otworzył drzwi, niosąc papierowy kubek.

– Och, panie Fabio, właśnie pana potrzebuję. Widzę, że przelewy wynagrodzeń realizuje bank Cassa di Risparmio della Vallée.

– Oczywiście. Od zawsze korzystamy z tego banku.

– Rozumiem. Ten bank prowadzi główny rachunek spółki?

– Tak, oprócz tego mamy dodatkowy w Banca Nazionale del Lavoro. Szef też ma w nim swoje konto osobiste.

– A pan? Gdzie pan trzyma oszczędności?

– Że co? Przy moich zarobkach to i tak cud, że mi starcza do pierwszego.

Obaj zaśmiali się i zarzucili temat. Italo cały czas pilnował parkingu.

– Ale sprawy mają się lepiej?

Fabio spojrział na wicekwestora. Nie zrozumiał pytania. Rocco wyjaśnił.

– No, mam na myśli Edil.ber. Interes idzie dobrze? Są pieniądze?

– Aha, tak, znacznie lepiej – odparł Fabio, odzyskując swój uśmiech. – Od miesiąca wypłaty znów są regularne. Choć zawsze coś się może zdarzyć, zachwianie płynności, opóźnienia w płatnościach, monity od dostawców. Ale teraz wygląda na to, że wszystko wróciło do normy.

– A więc pensje znów wychodzą w terminie.

– W zeszłym miesiącu tak. Mam nadzieję, że w tym również – odparł Fabio swoim mezzosopranem.

Rocco wstał.

– Dziękuję, bardzo mi pan pomógł. Bardzo.

– Teraz ty z Antoniem będziecie śledzić Bergueta i tego drugiego z bródką.

– Cerrutiego?

– Tak, macie ich nie spuszczać z oka.

Italo wrzucił wyższy bieg i przyspieszył. Na wjeździe do miasta jechali sto na godzinę.

– Podrzucić cię do biura?

– Tak.

– Ale nie zgłaszamy tego prokuratorowi?

– W odpowiedniej chwili. A czas, mój drogi, nie jest naszym sojusznikiem.

Niecałe trzy minuty później służbowy samochód zahamował przed komendą. Rocco wysiadł. Zagrzmiało i zaraz potem lunęło, jakby jakaś gigantyczna ręka odkręciła kurek prysznica.

– Do kurwy nędzy... – Klnąc, schronił się szybko w środku. Przy wejściu ciągle dyżurował Casella. – Nikt cię nie zmienia?

– Potem przyjdzie taki jeden z Neapolu, a ja idę. Zjawili się D'Intino i Deruta, ale żadnych nowości.

– Co im powiedziałaś?

– To, co pan kazał. Że mają dalej szukać bez żadnych przerw.

– Jakież oznaki zmęczenia?

– Zmęczenia? Wyglądali jak te amerykańskie miśki z czarnymi kółkami wokół oczu.

– Szopy pracze?

– Właśnie. Jak szopy, tak mieli podkrążone oczy.

Casella wybuchnął śmiechem, czuł komitywę z wicekwstorem. Ale ten zgasił go natychmiast:

– Casella, co to, kurwa, za śmiechy? Chcesz dołączyć do tamtych?

– Nie, szefie.

– No to żadnych podśmiejek. – I zostawił go tak przy wejściu.

Wchodząc po schodach, spotkał Scipioniego.

– Lecę do Itala, szefie.

– Tak, ale jedźcie w dwa samochody. Musicie być niezależni. Zmieniajcie się i bądźcie w stałym kontakcie ze mną albo z inspektor Rispoli.

– Tak jest. I dziękuję.

– Za co?

– Za zaufanie. Nie lubię siedzieć za biurkiem.

I zniknął z uśmiechem na ustach.

Kiedy Rocco otworzył drzwi swojego biura, nie było tam Cateriny. Skorzystał z tego, by wyjąć z szuflady kolejnego skręta. Potem sięgnął po telefon.

– Czy to pan Bucci Rivolta? Mówi Schiavone z policji...

– Słucham pana.

– Do której szkoły chodzi pana córka?

– Liceum przyrodnicze przy ulicy Cretier. A czemu?

Spałam? Śniłam? Gdzie jestem?

Ciągle tu. Ciągle związana, z workiem na głowie.

Wciągnęła tyle powietrza, ile mogła. Nadal nie oswoiła się ze smrodem tej brudnej, ciemnej tkaniny, którą miała na twarzy. Spróbowała pokręcić trochę szyją. Potylicą dotknęła słupa, przy którym stało krzesło. Zrozumiała już, że to słup. I że jest przywiązana do krzesła.

Jeśli mocniej walniesz w słup, pęknie ci czaszka i będzie po sprawie.

Znowu ten głosik. Ale Chiara nie chciała go słuchać.

A tam, na dole, ciągle boli?

Mniej, na dole mniej bolało. Ciągle czuła jakiś ból, ale raczej jak wspomnienie tego, co było przed zaśnięciem. Ile godzin minęło? Nie wiedziała.

Widzę metalowe regały. I te pordzewiałe rupiecie na nich. Teraz jest trochę więcej światła...

Znów oparła głowę o słup, po czym pozwoliła, by ta opadła do przodu. Twarz otarła się o szorstką tkaninę, worek już nie ruszał się wraz z nią. Kolejna próba. Nic, worek był nieruchomy. Zaczepił się, zahaczył o coś...

Spróbowała znów oprzeć głowę o beton. Potem szybko ją odchyliła. Sztywne, cuchnące płótno nie chciało się odczepić.

O co zahaczyło? O gwóźdź? Jakiś załom? Tak, taaaak!

Pierwsza dobra wiadomość.

Muszę się zsunąć w dół. Jak najbardziej w dół. W ten sposób zdejmę to z siebie, uwolnię się.

Tak, musiała spróbować. To nie było łatwe, ale mogło się udać. Wciągnęła brzuch, ścisnęła ramiona i starała się opuścić klatkę piersiową. Poczowała, jak po twarzy przesuwają się tkanina. Dobry znak. Ciało się ruszało, a worek pozostawał nieruchomy.

Ściągnęła łopatki, wygięła plecy, zyskała parę centymetrów, ale to nie wystarczało.

Jeszcze niżej, muszę zsunąć się niżej.

Przysunęła brodę do mostka, jak najmocniej potrafiła. Zobaczyła srebrną taśmę opasającą jej piersi.

To mnie przykuwa do krzesła! Taśma na piersiach. Jeśli uda mi się przesunąć ją wyżej... Udało się! Jest luźniej, mogę przesunąć się w bok. I trochę niżej. I wreszcie zdejmę z siebie ten cuchnący wór.

Ale nie możesz się teraz spociec.

Znów wrócił ten głosik.

Jeśli się spocisz, to wszystko się będzie kleić i się nie zsunie. Zostaniesz skrępowana!

– Nie pocę się. Nie piję niczego, to się nie pocę – krzyknęła.

A co to ma do rzeczy? Zsikalaś się, więc całkiem możliwe, że się spocisz.

– Spierdalaj!

Nie pocę się...

Miał rację, nie wolno się pocić. Gdyby była spocona, koszulka przykleiłaby się jej do skóry, nie mogłaby się zsunąć i taśma zostałaby na wysokości piersi, przytrzymując ją jak szpilka okaz owada w gablocie entomologa. Musiała cholernie uważać. Ruszać się pomału, bez szarpnięć.

Chce ci się pić, a kiedy za bardzo chce ci się pić, to zasypiasz. A potem umierasz, prawda?

– Nie wpierdalaj się! – wrzasnęła.

Zaczęła znów wdychać stęchłe powietrze, nadymać płuca, starając się jednocześnie zsunąć, potem jednym wydechem wyrzuciła całe powietrze i podciągnęła się z całej siły. Nic z tego, taśma ciągle blokowała piersi.

To nie ma sensu. Nie dasz rady, śmieszna jesteś. Masz małe cycki, ale i tak nie dasz rady.

Spróbowała znowu. Wdech, napełnić płuca, zsunąć się, wypuścić powietrze, podciągnąć się z powrotem. Pociła się.

Głowa. Kręci mi się w głowie.

Ale Chiara nie zatrzymała się. Trzy, cztery razy jeszcze.

Nie dasz rady!

Potem nagle się udało. Srebrna taśma przesunęła się ku ramionom, zatrzymała się nieco poniżej gardła. Udało jej się zyskać parę centymetrów.

– Jazda! – krzyknęła. – Udało mi się, widzisz, dupku?

Wciągnęła powietrze. Teraz cała nadzieja w tym, że worek ciągle o coś zaczepia.

Proszę cię, proszę, proszę...

Mogła poruszać klatką piersiową. Rzuciła się w prawą stronę, kurcząc mięśnie brzucha i osuwając się na bok. Szarpnęła raz, drugi, poczuła ból z lewej strony, ale nie odpuściła. I wreszcie... Powietrze!

Twarz owiał jej podmuch. Jakby ktoś otworzył okno. Oddychała najgłębiej, jak potrafiła, zatrzymując czyste powietrze w płucach. Zakręciło jej się w głowie, ale to nie miało znaczenia, było prawie przyjemnie. Policzki i czoło stawały się chłodniejsze.

Wolna, jestem wolna! Oddycham prawdziwym powietrzem. Jest pyszne!

Worek zwisał gdzieś za jej plecami, zahaczony o jakiś gwóźdź czy występ na słupie. Wyobraziła go sobie jak sflaczała skórę po kurczaku. Wypluła z ust posmak smrodu, który ją dręczył od wielu godzin. Cały ten kurz, którego się nałykała. Wreszcie rozejrzała się. Pomieszczenie o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych. Przed nią metalowe regały z rupieciami. Na lewo umywalka z kapiącym kranem. Miała ochotę rzucić się na ten obleśny kran i zlizać każdą rdzawą kroplę. Na prawo ściana z okienkiem, widać było chmury... Oraz rudego kota, który przyglądał się jej od nie wiadomo kiedy.

– A gdzie jest teraz ten cały Max?

– W czwartej A – odrzekła Giovanna, trzepocząc rzęsami. – A Chiara? Już ją znaleźliście?

Rocco pokręcił głową.

– Nie, ciągle nic. Wracaj do klasy, a ja poproszę dyrektora, żeby umożliwił mi rozmowę z Massimilianem Turrinim.

Odwrócił się w stronę dyrektora, faceta pod sześćdziesiątkę, który z założonymi rękoma stał na progu sekretariatu podczas całej rozmowy z Giovanną.

– Panie Bianchini, muszę zamienić parę słów z uczniem z czwartej A o nazwisku Turrini. Mam wejść na górę czy pan go tu wezwie?

Dyrektor milczał. Odczekał, aż Giovanna wyjdzie z pokoju, potem drobnymi szybkimi krokami podszedł do Rocca.

– Niech pan posłucha, panie Schiavone. Ja bardzo chętnie będę współpracował, ale zdaje sobie pan sprawę, że wszystko opiera się na moim zaufaniu?

Rocco popatrzył na niego. Już zdążył skatalogować dyrektora zgodnie z regułami swojego zwierzyńca. *Sorex araneus*, czyli ryjówka aksamitna. Ogromny, zadarty w górę nos, krótkie szczeciniaste wąsiki, małe czarne oczka za okrągłymi okularami.

– Nie rozumiem, o co chodzi, panie Bianchini.

– Staram się powiedzieć, że tu się odbywają normalne lekcje i nie chciałbym, aby pana obecność wystraszyła uczniów. Jesteśmy pewni, że to wszystko jest konieczne?

– Tak.

– Nie powinienem dostać od pana nakazu podpisanego przez prokuratora?

– Nie.

– Niech pan posłucha, wyrażę się jasno. Max Turrini miał jakiś problemik, wszyscy o tym wiedzą.

– Ale ja nie.

– No cóż, czasem mu się zdarza sprzedawać rzeczy niedozwolone. Jeśli pan w tej sprawie, to ja...

– Nie, ja nie w tej sprawie. Dilerska kariera Maxa Turriniego będzie przedmiotem kolejnej mojej wizyty w tej szkole.

– Ale nalegam. To jest złoty chłopak, jego ojciec jest wybitnym lekarzem, trzeba postępować z najwyższą ostrożnością. To jest młodzieniec trochę...

– Trochę jaki? Diluje narkotykami, no i co z tego? Dziękuję panu, ale naprawdę przychodzę z innego powodu. Będę działał w rękawiczkach.

Dyrektor złapał Rocca za ramię.

– Moim obowiązkiem jest zachowanie dyskrecji, ale także chronienie uczniów.

Rocco spojrział na bladą rączkę, która ścisnęła mu biceps. Dyrektor natychmiast puścił.

– Panie Bianchini, jeśli już o tym mowa, powinien też pan chronić siebie.

Dyrektor zrobił głupią minę.

– Nie rozumiem.

– Lepiej się wytłumaczę. – Wstał z krzesła, przerastał dyrektora o co najmniej trzydzieści centymetrów. – To nie było tak, że rano nie miałem nic do roboty i sobie powiedziałem: Rocco, a może byś wpadł do tego liceum, pogadasz z uczniami i w ten sposób spędzisz poranek.

Bianchini oddychał powoli, wyczuł w policjancie narastającą, agresywną wrogość. Ale był przecież dyrektorem szkoły i byle gliniarz nie będzie mu rozkazywał. Nie pozwoli sobie na to po dwudziestu latach otrzymywania rozkazów od umiłowanej małżonki i jej matki, która miała osiemdziesiąt siedem lat na karku, ale rozpieła ją energia kolarza Fausta Coppiego zdobywającego przełęcz Pordoi.

– Wie pan, co panu powiem?

– Słucham.

– Że jeśli chce pan rozmawiać z Massimilianem Turrinim, wcześniej zyczę sobie...

Rocco przerwał mu nagłym gestem. Bianchini przez chwilę bał się, że wicekwesor zaraz uderzy go w twarz.

– Ile lat ma Massimiliano Turrini, zwany Maxem?

– Dwadzieścia, chyba.

– I ciągle jest w czwartej klasie?

– Dokładnie tak.

– W takim razie nasz Einstein jest pełnoletni. A więc, jeśli pan pozwoli... – Odsunął dyrektora i wyszedł na korytarz.

Ale ryjówka nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

– Nie może pan tak wpadać do szkoły bez nakazu, bez najmniejszego świstka od prokuratora i oczekiwać, że...

Tym razem Rocco obrócił się na pięcie i złapał go za poły marynarki. Patrząc mu w oczy, wysyczał:

– Słuchaj no, dupku, teraz ci powiem coś, o czym byłoby lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział.

Skoro jednak tak się dopraszasz, to się dowiesz. Staram się uratować jedną z twoich uczennic. Chiara Berguet jest w strasznych opałach. Jeśli ta wiadomość zacznie krążyć po mieście, jest całkiem prawdopodobne, że dziewczyna zapłaci za to życiem. No więc, zaczynasz rozumieć czy mam przejść do mocniejszych środków?

– Już pan je stosuje... – wyjąkał Bianchini.

Rocco puścił go, wygładził marynarkę.

– O niczym pan nie wie i niczego ode mnie nie usłyszał. Jeśli uda nam się uratować Chiare, to będzie to w pewnej drobnej części pana zasługa. Ale tylko jak przestanie mi pan zawracać dupę. Jasne?

Bianchini przytaknął.

– No więc mam iść sam do klasy czy pan go tu ściągnie?

– Poślę woźnego. Niech pan zaczeka w sekretariacie. – I uciekł.

Massimiliano Turrini, zwany przez kolegów Maxem, a przez Rocca ochrzczony Einsteinem, kompensował sobie brak zdolności do nauki oszałamiającą urodą. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, anielski blond (o ile anioły są blondynami), czarne jak węgiel oczy. Mięsiste wargi odsłaniały białe, proste zęby. Nos był wydatny, ale nie psuł całości, tylko nadawał tej twarzy aury męskości.

– No więc w tej dyskotecie byliście we czwórkę.

– Tak. Mój kuzyn Alberto z Giovanną, ja i Chiara. Tańczyliśmy i trochę rozrabialiśmy. Chiara wypłała za dużo.

– Skąd wiesz?

– Bo w pewnym momencie zniknęła. Zacząłem jej szukać, rzygała w kiblu. Wyprowadziłem ją na powietrze, dałem papierosa. To się zdarza, nie?

– Jasne.

– A potem nic, panie komisarzu.

– Wicekwestorze. Max, już trzeci raz ci to mówię.

– Tak, przepraszam, wicekwestorze. Potem nic, odwoziłem ją do domu i sobie poszedłem.

Rocco wyjął papierosa i zapalił.

Max wybałuszył oczy.

– Proszę pana, tu nie wolno palić.

– Prawda. A wiesz, czego się jeszcze dowiedziałem? Że w szkołach nie wolno sprzedawać prochów.

Max opuścił wzrok.

– Przestałeś?

Chłopak tylko pokiwał głową.

– Powiedz mi jedną rzecz. Kradniesz leki z gabinetu ojca?

Uśmiechnął się niewinnie i podrapał w blond głowę.

– Czasami tak. Rohypnol, stilnox, różne takie środki na wyluzowanie. Tylko że przysięgam, że już tego nie robię. – Skrzyżował palce wskazujące i ucałował je dwa razy.

– No więc chcę, żebyś się skupił. Kiedy odwoziłeś Chiare, widziałeś, jak wchodzi do domu?

Pomyślał chwilę.

– Nie, wysiadła, podeszła do drzwi, a ja odjechałem.

– To znaczy nie zaczekałeś, aż otworzy?

– Nie, a bo co?

– Bo tak się robi, jak odwozisz dziewczynę do domu. Tatuś cię nie nauczył?

– Nie, mało z tatą gadam.

– Jasne, ograniczasz się do opróżniania mu szafki z lekami. A z mamą?

– Nigdy mi o tym nie mówiła.

– Kurde! – Rocco wstał, żeby wyrzucić niedopałek za okno. Ciągle lało. – Czy to nigdy nie przestanie?

– A wie pan, że rok temu w maju to nawet padał tu śnieg.

– Wiesz, że jeśli to się powtórzy w tym roku, to ja popełnię zaraz jakieś zabójstwo? – I zamknął

okno. – Dobra, wracaj do klasy. Jak ci idzie w tym roku?

– Jak idzie co?

– Mam na myśli naukę.

Max się zamyślił.

– No, jak sobie radzę?... Nieźle. Chyba będę miał poprawki tylko z matmy, fizyki i chemii.

– Co jak na liceum przyrodnicze jest niezłym wynikiem.

– Wie pan, co jest śmieszne? Matematyki uczy mnie właśnie stryjek Chiary.

– Marcello Berguet?

– Jak pan sądzi, mogę prosić Chiarę, żeby się za mną wstawiła? – Po chwili jednak się rozmyślił.

– Ale dlaczego te wszystkie pytania o Chiarę? Giovanna też mnie o nią pytała.

– Kiedy ostatni raz z nią gadałeś?

– W niedzielę wieczorem.

– A potem?

– Dwa razy dzwoniłem, ale ma wyłączony telefon. Napisałem jej wiadomość na Whatsappie, ale nie odpowiedziała. Pan wie coś więcej?

– Podobno jest u babci w Mediolanie.

– Zwariowała? Jej babcia ma alzheimera.

– Może tak. Trzymaj się, Max. I bardzo proszę, żadnych dziwnych handelków na boku.

Chłopak wstał z krzesła.

– Przysięgam. – Otworzył drzwi, ale nie wyszedł. – Czy mam się niepokoić?

– Trochę tak.

Popatrzył na policjanta, zwiesił głowę.

– Coś złego stało się z Chiarą, a pan nie ma odwagi mi powiedzieć. Umarła?

– Nie umarła, bądź spokojny. Zobaczysz, że znów się zjawi.

– Na szczęście. Zadzwoń pan do mnie, jak będzie coś wiadomo?

– Oczywiście. Jakby co, to przekażę twojej sekretarce.

Nie wyczuł ironii.

– Ciągle do niej dzwonię. Może włączy wreszcie komórkę.

I ze swoim dziecinnym uśmiechem zniknął za drzwiami sekretariatu.

Próbowała przywołać rudego kota. Ale ten pogapił się tylko kilka minut, po czym wstał i zniknął, nie zważając na nią.

Koty nie są jak psy.

Głosik miał rację, pies chociaż by zaszczekał i ktoś mógłby go usłyszeć.

Nie chce ci się siku?

Jasne, że mi się chce.

Nawet jeśli nie piła od nie wiadomo jak dawna. Popatrzyła na nogi. Przywiązane do krzesła. Zadarta spódnica, na udach jeszcze ślady moczu, który popłynął wiele godzin temu.

Rajstopy? Dlaczego nie mam rajstop? Przecież je miałam. Nie lubię chodzić bez rajstop.

Fala bólu tam na dole dała o sobie znać. Mniej niż przedtem, ale jednak. Chiara zamknęła oczy.

Poczekala, aż minie.

– Jest tam kto? Halo! Proszę! – krzyczała.

Jeśli mnie wywieźli aż tutaj, to ktoś musi się tu kręcić.

Nie, nie ma nikogo, ale to nikogo.

– Siedź cicho! Myślę.

Porwana. Porwali mnie i wywieźli tutaj. Ale jak kogoś się porywa, to potem dowozi mu się wodę i jedzenie. Choćby nawet w psiej misce, ale nie zostawia się tak bez niczego.

Na ziemi nic nie leżało. Żadnej miski, żadnego pojemnika. Stare drzwi były solidnie zablokowane łańcuchem zaczepionym o hak w murze.

– Jest tam kto?

Według mnie, jak się zjawią, to będzie jeszcze gorzej.

– Gorzej niż teraz?

Tak.

Zresztą i tak zaraz zjawi się ojciec. On wszystko załatwi. Prawda, tato?

Szelest liści na wietrze. Potem nagle szum, zaczęło padać.

Pomyśl tylko, co będzie, jak zaleje tę piwnicę.

– Spierdalaj!

Skończysz utopioną jak jakaś mysz.

Szarpnęła z całych sił ramionami. Ale poza zderzeniem skóry z nadgarstków niczego nie osiągnęła.

– Nie umrę tutaj. O nie, nie umrę tutaj.

Jesteś taka pewna?

Siedziba banku Cassa di Risparmio della Vallée zajmowała całą kamienicę przy ulicy Frutaz. Na parterze mieścił się też jego pierwszy oddział. W przemoczonym płaszczu i z włosami mokrymi od deszczu, który za nic nie chciał ustąpić pachnącemu majowi, Rocco próbował wejść przez obrotowe drzwi. Ale w połowie się zablokowały. Sztucznie brzmiący głos polecił mu zostawić w depozycie klucze i inne metalowe przedmioty. Wykonał polecenie. Zatrzymał tylko komórkę. Ale drzwi znowu się zablokowały. Za szybą ochroniarz dał mu znak ręką, żeby cofnął się do szafki. Rocco wznosił oczy do nieba i zostawił także komórkę. Drzwi jednak stanęły po raz trzeci. Ochroniarz spojrzał groźnie i znowu kazał mu wrócić. Rocco rozłożył ramiona, jakby chciał powiedzieć „nie mam już niczego”, tamten jednak nie dał się przekonać. Głuchy na protest wskazał ręką szafkę. Rocco wsadził rękę do kieszeni i sięgnął po portfel.

Przyłożył policyjną legitymację do szyby i zachęcił gestem strażnika, żeby się zbliżył. Ponieważ w tym dźwiękoszczelnym pudle nie było szans na rozmowę, pokazał palcem na usta i powiedział wyraźnie: „policja-jak-nie-otworzysz-tych-pieprzonych-drzwi-to-mnie-popamiętasz”. I uśmiechnął się. Ochroniarz pokiwał na znak, że rozumiał, nacisnął guzik i drzwi obrotowe wreszcie wypłyły wicekwestora Schiavone do wnętrza banku.

– Co jest, do kurwy nędzy, trzeba się rozebrać, żeby tu wejść?

– Może ma pan jakiś łańcuszek czy coś – próbował usprawiedliwić się tamten.

– Nie mam żadnych łańcuszków.

– Jakaś metalowa płytką w kościach?

– Nie, ale mam stalowe jaja. Może to one dzwoniły?

Strażnik nie odpowiedział.

– Muszę natychmiast widzieć się z dyrektorem.

Facet wskazał na drzwi obok kas.

– Trzeci pokój na końcu.

– Dziękuję.

– Bardzo pana przepraszam, ale wykonuję tylko swoją pracę.

– Nie, to ja przepraszam, też wykonuję swoją.

Odwrócił się w stronę kas, gdzie czekali klienci. Na kanapie siedziała Anna. Rocco spróbował się uśmiechnąć. Zobaczył, że coś pisze na kartce, którą potem mu pokazała: „Zawsze musisz się legitymować?”.

Wyteżył wzrok, przeczytał. Rozłożył ramiona i skierował się w stronę biura.

– Panie Schiavone, jak miło mi pana poznać – powitała go dyrektorka banku, Laura Turrini, z wdziękiem nosząca swoje czterdzieści pięć lat.

– Mam jedno osobiste pytanie: Max Turrini, uczeń czwartej A, to pani syn?

– Rany boskie, co znowu narozrabiał?

– Nic, nic, czysty zbieg okoliczności.

Laura Turrini wypuściła powietrze, które wstrzymała ze zdenerwowania.

– No to całe szczęście. Myśleliśmy z mężem, żeby go posłać gdzieś do szkoły z internatem.

– I w ten sposób od podbierania barbituranów tatusiowi przejdzie do pracy dla kartelu Medellin.

– Niech pan siada. Coś do picia? Wody?

– Nie, dość już mam tej wody, co jest na zewnątrz – i wskazał na okno zalane strugami deszczu.

Uśmiechnęła się i usiadła obok niego. Elegancki kostium w nieokreślonym kolorze między różem a fioletem kontrastował z jej jasną, piegowatą karnacją. Blond włosy nosiły znamiona pracy dobrego fryzjera, naturalny kolor utraciły już dawno temu. Czarne oczy czujnie rozglądały się w każdą stronę. Wysyłały sygnały, kryły się za rzęsami, uśmiechały. Laura Turrini mówiła oczami. W tej chwili miała je utkwione w twarzy wicekwestora.

– A wie pan, że dużo o panu słyszałam? W Aoście mówi się, że jest pan w porządku.

– Podobno.

– Ma pan tylko jedną wadę, nie ma pan u nas konta – roześmiała się.

Miała równie doskonale zęby jak jej syn. Trochę za długo się śmiała, jakby chciała podkreślić doskonałość siekaczy i kłów. Ciekawe, ile razy ćwiczyła to przed lustrem. Głowa lekko odchyłona w tył, uniesiony podbródek, otwarte usta.

– To prawda. Nie mam konta. – Postanowił przejść od razu do rzeczy. – Co mi pani opowie o Edil.ber?

Uśmiech Laury Turrini nagle zgasł.

– Co pan chce wiedzieć?

– Mają tu swój rachunek?

– Powiedzmy, że jesteśmy ich głównym bankiem.

– Linie kredytowe?

– Jasne, zawsze ich wspieraliśmy. Mogę wiedzieć, dlaczego pyta mnie pan o takie sprawy?

– Staramy się zrozumieć, co się wydarzyło parę miesięcy temu, kiedy były te problemy z robotnikami...

Przytaknęła, wygładzając spódnicę na kolanach.

– Tak, mieli opóźnienia w regulowaniu zobowiązań. Spółka czekała na kilka zaległych płatności za swoje faktury, ale potem się wszystko wyprostowało.

– To wy wtedy zasililiście ich gotówką?

Zastanowiła się.

– Tak.

– Wiem, że nie ma pani obowiązku mi odpowiadać. Chciałbym wiedzieć, o jaką sumę tu chodzi.

– Sam pan powiedział: nie mogę udzielić tej informacji.

– Potrzebowałbym nakazu?

– Raczej tak.

Pokiwał głową.

– Ale może mi pani zdradzić, od jak dawna współpracujecie.

– Oczywiście. Od czterech lat.

– Czy Pietro Berguet jest mózgiem firmy?

– Powiedziałabym, że tak. Ale jest też inżynier Cerruti. To dobrze zgrany duet. Cerruti pracuje od niedawna, ale od razu wykazał swoją wartość.

– A brat Pietra?

– Marcello? To nauczyciel. Pracuje w szkole. Uczy mojego syna. W spółce ma tylko udziały. Zasiada w zarządzie, ale nie podejmuje decyzji.

– Dobrze pani zna tę rodzinę.

– A jakże! Znamy się z Giulianą od czasów liceum. Jak pan pewnie wie, nasze dzieci przyjaźnią się ze sobą.

– Proszę mi powiedzieć. Czy na osobistych rachunkach Bergueta były jakieś znaczące ruchy w ostatnich dniach?

– Na to pytanie też nie odpowiem.

– Czy finansowo jest w dobrej kondycji?

– *No comments.*

– Ciągle nic bez nakazu, tak?

- Ciągłe nic bez nakazu, panie Schiavone.
- Ani razu mnie pani nie okłamała?
- Wytrzeszczyła oczy.
- Skąd panu coś takiego przyszło do głowy? – prawie krzyknęła.
- W takim razie dziękuję i przepraszam za najście.

Obydwoje wstali. Rocco miał wrażenie, że zakończenie tego przesłuchania w formie pogawędki przyniosło jej ogromną ulgę.

Nienawidził służbowych samochodów. Zawsze miały zużyte sprzęgło, spod maski dochodziły tajemnicze i niepokojące odgłosy, nie działała zapalniczka, fotele były zapadnięte, a zużyte wycieraczki zostawiały na szybie smugi. Właśnie jechał do komendy odzyskać swój samochód, kiedy pierwsze takty *Ody do radości* z jego komórki przebiły się przez szum deszczu.

- Mów, co jest, Italo.
- Może pan teraz rozmawiać, szefie?
- Szefie, pomyślał Rocco. Znak, że Italo nie był sam.
- Gadaj.
- Może to nic, ale Pietro Berguet właśnie wyszedł z firmy i pojechał do sklepu.
- Rocco włączył kierunkowskaz i stanął na poboczu.
- Może czegoś potrzebował?
- Nie sądzę, to sklep z artykułami dla dzieci. Nazywa się Berbeluszek.
- Co to, kurde, za nazwa?
- A skąd mam wiedzieć, to nie ja go tak nazwałem.
- A co on ma pilnego do załatwienia w sklepie dla dzieci?
- W wieku od zera do dziesięciu lat – dodał Italo.
- Scipioni jest tam z tobą?
- Tak.
- Zostaw go, niech siedzi na ogonie Berguetowi, a ty śledź tego drugiego, jak go zwał?

Cerrutiego.

- W tym deszczu?
- A gdzie twój samochód?
- Mamy jeden samochód na dwóch.
- Noż kurwa. – Rocco walnął w deskę rozdzielczą, zostawiając małe pęknięcie tuż nad radiem.
- Mówiłem wam, że macie być niezależni.
- Szefie, w drugim samochodzie nie było benzyny.
- Nieźle, nieźle. Teraz złapiesz taksówkę, pojedziesz na komendę i każesz sobie dać inne auto.

Za taksówkę ja płacę.

- A kto by tam taksówkami po Aoście jeździł?

Rocco popatrzył za okno, klnąc, na czym świat stoi. Potem coś na ulicy przyciągnęło jego uwagę.

Wysiadł.

- Szefie? Szefie? – Italo spojrzał na Scipioniego. – Rozłączył się.
- Myślę, że wkurzyłeś go z tą taksówką.
- Czy to moja wina?

Nagle otworzyły się tylne drzwi.

- Co za...

Rocco Schiavone wpakował się do środka, przeciągając dłonią po mokrych włosach.

- Szefie!

– W takim razie weź mój samochód – powiedział, wręczając swoje kluczyki. – To ta lancia tuż obok, widzisz?

- To znaczy, że gadaliśmy przez telefon, a byliśmy...

– Dziesięć metrów od siebie. Antonio, ty będziesz jechał za Berguetem. To jest ten sklep?

– Wskazał na budynek za szybą.

– Tak.

Nad witryną widniał napis: „Berbeluszek. Wszystko dla waszych urwisków! Od zera do dziesięciu lat”.

– Ktoś wie, co to jest berbeluszek?

– Może berbeć-maluszek? – ośmielił się zasugerować Scipioni.

– Świetnie, Antonio. Jak na to wpadłeś?

– Od pół godziny gapię się na ten sklep.

– I cholera wie, jak długo tu zostaniesz. Dobra, bierz dupę w troki, Italo.

– A pan? – zapytał Pierron.

– Parasol?

– Leży z tyłu.

Rocco złapał parasolkę i wysiadł.

– Cokolwiek nowego, macie meldować.

– Moment – zawołał Italo.

– Czego?

– Jest benzyna? – zapytał, wskazując na kluczyki lancii.

Rocco wznosił oczy do nieba. Wsadził rękę do portfela, wyjął pięćdziesiąt euro.

– Masz, zatankuj, zachowaj resztę i nie zwracaj mi więcej dupy. – I wyszedł prosto w majowe oberwanie chmury.

Wystarczyło, że wdepnął w dwie porządne kałuże i od kiedy przyjechał do Aosty, miał już z głowy jedenastą parę clarksów.

– Do kurwy nędzy.

Co gorsza, parasol Scipioniego, niewątpliwie o chińskim rodowodzie, nie miał trzech drutów i oklapł z jednej strony jak naleśnik, woda ściekała więc prosto na kołnierz wicekwestora.

– A żeby Bóg i wszyscy święci przekleli to miasto, deszcz, wiatr i ten pierdolony wieczny ziąb!

Komenda znajdowała się sto metrów dalej, musiał tylko przeciąć ulicę. Samochody mknęły aleją Battaglione Aosta, zostawiając za sobą pienne smugi niczym motorówki. Nie było przejścia dla pieszych, ale to nie problem dla osoby pochodzącej z Rzymu. Mieszkańcy stolicy są przyzwyczajeni do przebiegania tuż za zakrętem choćby przez siedem pasów szybkiego ruchu. Z drugiej jednak strony spora część wydatków miasta na opiekę zdrowotną idzie na leczenie osób poszkodowanych w wypadkach drogowych. Samochody – o czym wspominają przewodniki – nie zatrzymują się nawet przed pasami, po których przechodzi dziewięćdziesięcioletni staruszek z balkonikiem.

Rocco bezrefleksyjnie zszedł z chodnika. Samochody zatrąbiły, zamrugały światłami, ale dzięki stołecznej szkole wicekwestor przeszedł bez szwanku, z gracją niczym toreador dotarł do biura. Clarksy wyglądały jak dwie spleśniałe skórki pomarańczy, ale poza tym deszcz nie wyrządził mu innych szkód.

– No wiem, wiem, nic na to nie poradzisz. Ale z drugiej strony... – Furio już powoli wymiękał. Od paru godzin siedział w barze Settembrini przy ulicy o tej samej nazwie w Rzymie i słuchał o sercowych kłopotach Adele. Tematem był Sebastian i związek, który wydawał się właśnie osiągać swój kres. Na próżno Furio usiłował namówić ją do zachowania dystansu, wytłumaczyć, że Seba po prostu taki jest, wydaje się nieuważny, ale kocha ją równie mocno jak pierwszego dnia. Adele była głucha na argumenty. Mówiła, mówiła i mówiła. Furio powoli miał już w dupie dalsze losy tej pary.

Powtarzał jak zdarta płyta: „No wiem, wiem, nic na to nie poradzisz. Ale z drugiej strony...”.

Dochodziła pierwsza. Przykuty do chwiejnego stolika od dziesiątej rano, nappełnił żołądek trzema kawami, sokiem z pomarańczy i wielką muffinką czekoladową. A Adele skąd czerpała swoją energię? Patrzył, jak usta dziewczyny ruszają się, wypowiadają słowa, ale już nie doszukiwał się sensu. Był to już tylko szmer.

– No wiem, wiem, nic na to nie poradzisz. Ale z drugiej strony...

Niech spada, pomyślał Furio. Jeśli chce go rzucić, niech rzuca. W sumie to już od dawna wszyscy tłumaczyli Sebie. On, Brizio, a nawet Rocco: „Słuchaj, jeśli tak dalej będzie, to ona cię rzuci. Nie zwracasz na nią uwagi”. Seba całe dni spędzał przed telewizorem albo w internecie. A Adele? Całkiem

o niej zapominał, chociaż gdyby tylko chciała, miałyby za drzwiami kolejkę facetów chętnych do zastąpienia Seby.

– On jest gorszy od śpiącego niedźwiedzia. Nawet nie zwraca uwagi na to, co ma na talerzu.

Widziałeś, jak przytył?

W rzeczywistości Seba od zawsze był gruby, ale Furio wołał przytakiwać.

– No wiem, wiem, nic na to nie poradzisz. Ale z drugiej strony...

– Próbowалам wzbudzić w nim zazdrość. Trwało dwa dni, potem wróciło do normy.

Nagle przerwała monotony potok swoich lamentów. Złapała Furia za rękę.

– Furio, pomóż mi!

– Pomóc? A jak ci mogę pomóc? – Furio wiedział, że jeśli znajdzie odpowiedź, spotkanie wreszcie dobiegnie końca. Potrzebne było jakieś drastyczne rozwiązanie, coś, co da nadzieję kumpelce i uwolni go od gnicia przy tym stoliku. – Wyjedź – wypalił wreszcie.

– Ale dokąd?

– Do matki, do brata w Brescii. Wyjedź, nie mówiąc mu nic, wyłącz komórkę. Jeśli mnie zapyta, to ja nic nie wiem.

– Brat już dawno nie mieszka w Brescii, wysłali go do Berlina. Do matki nie pojedę, choćbym miała się zabić.

– Masz przyjaciółkę?

– Tak, ale mieszka w Rzymie.

– Nie, to nie może być Rzym, bo cię znajdzie, jak się uprze.

Potem wpadł mu do głowy pomysł, dość szalony, ale powiedział sobie: czemu nie? Mogło zadziałać.

– Pojedź do Rocca.

– Do Aosty?

– No tak, Rocco zgodzi się w to zagrać.

– Furio, ale ja go nie widziałam od miesiący.

– Zadzwon, numer ma ciągle ten sam. Pojedziesz, odpoczniesz. Ja się zajmę Sebą. Będę ci mówił, jak reaguje, czy rwie sobie włosy z głowy, czy też nie. Będziesz mogła spokojnie zdecydować, co dalej. Raz a dobrze.

– A wiesz, że to wcale nie jest głupi pomysł?

– Prawda?

Furio był zadowolony. Znalazł rozwiązanie, Adele odzyskała uśmiech, mógł wreszcie wyjść z baru i dogodzić sponiewieranemu żołądkowi porcją amatriciany u Stelli i Brizia, którzy właśnie świętowali drugą rocznicę ślubu.

Z każdą godziną położenie Chiary Berguet było coraz gorsze. Może już dotarło żądanie okupu, doszło do porozumienia i ruszyły przygotowania do wypłaty. Nie mógł dalej odkładać rozmowy z prokuratorem. Baldi słuchał go przez kwadrans, nawet nie drgnął, wyglądał jak mangusta zafiksowana na kobrze, którą zaraz zagryzie. Albo na odwrót. Kiedy Rocco skończył wyłuszczać sprawę, Baldi wziął głęboki wdech. Zapytał tylko:

– Dlaczego dopiero teraz?

– Bo chciałem się przekonać na sto procent.

– A jeśli jest teraz za późno?

– Nie sędzę.

– Dlaczego pan nie sędzi?

– Zniknęła późnym wieczorem w niedzielę. Dziś zapewne dopiero nawiązali kontakt.

Baldi, nadpobudliwy jak zwykle, wstał, zaczął chodzić po pokoju, ani słowem nie odzywał się do Rocca, wciąż siedzącego przed biurkiem. Ale policjant nie był zaskoczony, zdążył już poznać dziwactwa prokuratora. Zauważył, że na biurku po wielu miesiącach znów pojawiło się zdjęcie żony. Znak, że relacje małżeńskie powróciły na dobrą drogę.

Kiedy Baldi z powrotem usiadł, głośno przeżuwał ciasteczko.

- Chce pan?
- Nie, dziękuję.
- Ohyda, z tego automatu na korytarzu. Jakie podjął pan działania?
- Dwóch moich ludzi śledzi ojca dziewczyny.
- Hm – przytaknął Baldi i ugryzł kolejny kęs ciastka.
- Nie było zgłoszenia. A ja miałbym zarządzić podsłuch bez zgłoszenia?
- To wbrew jakimś przepisom? – spytał Rocco.

Prokurator nie odpowiedział. Zwinął w kulkę papierek po ciastku i rzucił do kosza. Kulka odbiła się od krawędzi i poturlała po podłodze.

- Plastik... Zginiemy zaduszeni, wie pan?

Rocco przytaknął.

– Gdzieś na oceanie jest wyspa wielkości Europy zrobiona cała z plastiku. A tak niewiele trzeba, żeby to zmienić.

Nie było problemu z dziedziny polityki, ochrony środowiska czy obronności, któremu prokurator Baldi nie umiałby zaradzić. Od diet poselskich przez emerytury aż po wydatki na zbrojenia i dług publiczny – na wszystko miał proste i łatwe rozwiązania.

– Wie pan, jak możemy pozbyć się plastiku z naszej planety? Trzeba go wystrzelić na orbitę, daleko w kosmos. Każdy kontynent powinien zbudować rakiety, które zamiast wynosić satelity, już i tak mamy ich w nadmiarze, niech zabierają w kosmos tony plastiku. Cóż by znaczyła taka masa śmieci krążąca po galaktyce? Nic. Kropla w oceanie. A dla nas zbawienie!

- Pomyśl dobry, ale kosztowny – zauważył Rocco.

– Kosztowny? A to dlaczego? Jeśli państwo finansuje budowę raket, to trzeba tylko zapłacić za materiały i paliwo.

- A siła robocza?

– Zagonić do pracy wszystkich obiboków, którzy pierdzą w stołki na państwowej posiadzie. W tej prokuraturze znalazłoby się z dziesięciu.

- Nie byłoby łatwiej po prostu zakazać używania plastikowych opakowań?

– Pomyślę o tym... A wracając do nas: zgadzam się z pańskimi decyzjami. Obserwujmy dalej, bez hałasu. Nie możemy ryzykować.

– Proszę tylko o nakaz, który umożliwi mi prześwietlenie finansów Edil.ber. Nie sądzę, żeby firma była w dobrym stanie. Poza tym chcę zrozumieć, jakie związki mają z Banca della Vallée. Dyrektorem jest...

- Laura Turrini. Dobrze ją znam. Co panu chodzi po głowie?

– Nie wiem. Ale jeśli ktoś miał na karku protesty związków zawodowych z powodu opóźnień w wypłatach, a potem wszystko się jakoś uspokoiło, to znaczy, że ktoś te pieniądze wyłożył.

- A pan chce sprawdzić, czy to był bank.

– Dokładnie tak.

- A skąd przypuszczenie, że to nie były pieniądze z banku?

– Bo już mam swoje lata i nie pierwszy raz widzę taką sytuację. Pan wie, ja wiem, że przedsiębiorcy często potrzebują szybkiej gotówki.

- A pan podejrzewa, że to nie bank wyjął tę gotówkę?

– Dokładnie tak.

– Gazety są pełne takich historii. Ale muszę panu powiedzieć, że tu się pan myli i to bardzo. Turrini jest osobą o nieskazitelnej postawie moralnej, a jej bank to wzór uczciwości. Od lat nie znalazłem niczego, co mogłoby budzić choćby cień podejrzenia.

- Ale jest to jakiś trop, czyż nie?

Prokurator otworzył szufladę, wyjął butelkę wody. Odkręcił, jednym pociągnięciem wypił połowę.

– Ohyda... Tymczasem w banku chciałby pan sprawdzić, czy były ostatnio jakieś duże ruchy finansowe. Jeśli, tak jak pan twierdzi, dziewczyna została porwana, Pietro Berguet będzie musiał coś

wymyślić, żeby zapłacić okup.

Drugim pociągnięciem dokończył wodę, rzucił butelkę do kosza, tym razem celnie.

– Nie sędzę, żeby już zapłacili. Za wcześnie.

– To prawda, Schiavone. A poza tym ludzie mający duże firmy mogą korzystać z pieniędzy z zagranicy, likwidować różne inwestycje, to nie jest tak, że idą do okienka w banku i wyjmują dwa miliony euro.

– Ale porywacze zawsze żądają gotówki, nie przelewu.

– Doprawdy? – zapytał z ironią Baldi. – Trochę czasu minie, zanim uzbiera gotówkę. I może ruszy różne konta we Włoszech albo za granicą. Dobra, zajmę się tymi sprawami. Pan pilnuje rodziny.

Rocco wstał. Baldi go zatrzymał.

– Wie pan, Edil.ber startuje w dużym przetargu na zlecenie od regionu. Musimy działać z najwyższą ostrożnością.

– Dlatego zanim się zgłosiłem, postanowiłem rozeznac się w sytuacji.

– I bardzo dobrze. Kto w komendzie wie o sprawie?

– Ja i paru moich zaufanych ludzi.

– Flip i Flap? – spytał Baldi, myśląc o Derucie i D'Intino.

– Nie, oni nie.

– Jeśli będzie przeciek do prasy, pan za to odpowiada.

Rocco spojrzał mu w oczy.

– Mógłbym powiedzieć to samo. Skąd pewność, że tu w prokuraturze nie kręci się jakiś zbyt gadatliwy dupek?

Baldi wpatrywał się w niego parę sekund.

– Udaję, że nie słyszałem.

– Lepiej, żeby pan to dobrze zapamiętał. Gdybym miał jakiegoś gadułę u siebie, już dzisiaj czytałby pan o tym w gazetach. – Chwycił egzemplarz „Stampy” i podsunął pod nos Baldiemu. – A tu nie ma nic.

Prokurator przytaknął, wziął gazetę.

– Coś tak czuję, że przed nami długa droga razem, pełna sukcesów.

– Nie byłbym taki pewny. Jedyna droga, na której chciałbym się teraz znaleźć, to ta, która prowadzi na jakąś plażę na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie będę mógł wygrzewać kości do końca moich dni.

– Niech mnie pan posłucha. Zamiast myśleć o domku nad morzem, niech pan się skupi na łodzi. Dzięki niej może pan co dzień być na innej plaży.

– Nienawidzę łodzi, fal, smrodu wodorostów. Muszę czuć ziemię pod stopami. A poza tym nie mam nawet patentu sternika.

– Prędzej czy później sprawię sobie dwumasztowiec, zobaczy pan, i wyniosę się stąd raz na zawsze.

– Zostawię panu adres swojej plaży. Tymczasem mógłby mi pan pomóc. Chciałbym trochę się zorientować w interesach pewnego sklepu, nazywa się Berbeluszek.

– Jak się nazywa?

– Berbeluszek – powtórzył Rocco, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– A co to za dzika nazwa?

– Według jednego z moich ludzi powstała z połączenia berbecia i maluszka.

– Ale dlaczego nie berbeciuluszek?

– Może za długie? Poza tym wtedy to „ciul” za bardzo się kojarzy z ciulem...

– Basta, nie sądzi pan, że brniemy w bezsensowne dywagacje językowe, wicekwestorze?

– Podzielim tę opinię.

– A czemu w ogóle interesuje pana ten sklep?

– Bo tam właśnie udał się niedawno Pietro Berguet. W takiej chwili jak ta wydaje mi się dość dziwne, że przedsiębiorca idzie kupować ubranka dla dzieci w wieku od zera do dziesięciu lat. Zwłaszcza

ze jego jedyne dziecko, Chiara, ma lat osiemnaście. Dziwne, prawda?

Baldi chwilę podumał.

– Za godzinę dostanie pan na biurko piękny raport faksem. Tymczasem prokurator Baldi musi zabrać się do pracy. – Wstał i wyciągnął rękę. Rocco nie miał innego wyjścia, jak podać swoją do uścisku.

– Ale przypominam: maksymalna dyskrecja. Stawką jest życie młodej dziewczyny.

– Dopiero co mówiłem panu to samo.

– Chciałem tylko zasugerować, by używał pan metod bardziej stosownych do pana roli.

– Zawsze takich używam.

– Mam inne informacje na ten temat i pan o tym wie.

– Mogę odzyskać swoją rękę?

– Oczywiście. – I wreszcie prokurator ją puścił.

Ile czasu minęło? Ile dni? Gdzieś o tym czytałam, a może to było w telewizji, że można wytrzymać bez picia nawet tydzień. A ja od ilu dni tu jestem? Od dwóch? Trzech? Na dworze znowu szaro. Zapada wieczór.

Usiłowała skupić myśli, żeby zapomnieć o swędzeniu i bólu. Była osłabiona, zeszywniały jej mięśnie, którymi była jeszcze w stanie poruszyć. Zdrętwiały jej pośladki i ręce. Uśpiły się. Krew nie krążyła tak, jak powinna.

Tydzień, maksimum tydzień bez picia. A jeśli jest się przywiązany, to ile można wytrzymać? Sześć dni? Pięć? Rudy kot. Gdzie jest ten kot z dzwonkiem przy obróźnie? Jeśli jest kot z dzwonkiem, to znaczy, że niedaleko jest dom.

Tak, ale cię nie słyszą.

Krzyczała, aż straciła głos, i zaczęła charczeć czerwoną śliną. Na próżno zdarła sobie gardło. Nikt jej nie usłyszał.

A może to był bezpański kot? Bezpańskie koty żyją na ogół w miastach. W takim razie jestem blisko jakiegoś miasta.

A kto ci nagadał takich rzeczy? Koty są wszędzie, nawet na wsi. Skąd wiesz, że jesteś w Aostie? Równie dobrze możesz być gdziekolwiek.

– Gdzie jesteście? Dlaczego nie przychodzicie? Dlaczego?

Gdzie się podział ten, co mnie związał? Dokąd pojechał? Dlaczego nie wraca? Chce mi się pić. I jeść.

Nagle stare drewniane drzwi zadrżały. Serce Chiary zamarło, krew stężała, żołądek ścisnął się do rozmiarów orzeszka. Przyjechali!

Drgnęły jeszcze dwa razy. Spodziewała się, że lada chwila łańcuch się zwolni, drzwi otworzą i jakiś facet, może w kominiarce, wejdzie z jedzeniem i piciem.

O mój Boże! Jeśli wejdą, to zobaczą, że nie mam worka. A jeśli porywacz nie ma kominiarki, to zobaczą jego twarz, a wtedy mnie zabije.

– Mam zamknięte oczy! Mam zamknięte oczy! Nie mam worka na głowie, ale zamknęłam oczy, nic nie widzę, przysięgam – krzyczała resztką głosu, jaka jej pozostała.

Zamarła w oczekiwaniu z zaciśniętymi powiekami. Czekwała na szcęk łańcucha, skrzypnięcie drzwi.

Ale nic się nie wydarzyło. Mijały sekundy. Otworzyła oczy.

– Jest tam kto? Błagam, niech ktoś odpowie!

Prokurator szybko się uwinął. W niecałe pół godziny faks w komendzie wypuścił kartkę pełną informacji o sklepie dla dzieci. Rocco czytał, Italo czekał na krześle. Cateriny nie było już w pokoju, wyszła wcześniej do domu, bo znów dopadła ją gorączka.

– Berbeluszek należy do niejakiego Carla Cutri zamieszkałego w Lugano. Ma współnika z Aosty, nazywa się Michele Diemoz. Chyba będziemy musieli złożyć im wizytę. Która godzina? – Schiavone odłożył kartkę.

– Kwadrans po szóstej.

– No to sprężajmy się.
– Szefie, umieram ze zmęczenia. Pamiętasz, że jesteśmy na nogach od drugiej?
– To jedź do domu i odeślij też Scipioniego. Ciągłe śledzi Bergueta?
– Tak, dzwonił. Wrócił do domu o wpół do szóstej i się stamtąd nie ruszył. Podobnie jak żona i brat. Ja za to jechałem za tym drugim, Cerrutim. Ma audi TT i moim zdaniem zajmuje się głównie wyrywaniem lasek na dyskotekach.

– Co robił?
– Podjechał do notariusza, mam tu adres. – Wyjął kartkę i położył na biurku. – Enrico Maria Charbonnier, przy ulicy Piave, trzy domy dalej od twojego.

– Dobra, zapamiętałem. Idź spać, do sklepu sam podjadę.

– Dzięki. Do jutra?

– O zwykłej godzinie.

– Czyli o dziewiątej?

– Znasz tu w Aoście sklep, który sprzedaje clarksy? Jedyne, jaki znałem, splajtował.

– Skończyły ci się?

Schiavone potwierdził ruchem głowy.

– Jedenaście par?

Ponownie przytaknął.

– Dlaczego nie znajdziesz sobie innych butów?

– A ty dlaczego wpięprzasz się w nie swoje sprawy? No więc jest taki sklep czy nie?

– W każdym razie nie wiem...

– Gdybyś znalazł, to kup mi parę, numer czterdzieści cztery.

– Tak jest.

Rocco wstał.

– Jadę, bo zaraz zamykają. Jakies wieści od braci De Rege?

– D’Intino i Deruty? Zdaje się, że cisza. *Missing in action* – rzucił Italo, wstając.

Rocco bez słowa wyszedł z biura.

Na zewnątrz było już prawie ciemno, ostatnie promienie słońca nieznacznie rozpraszały cień w pomieszczeniu. To wiatr poruszył obdrapanymi drzwiami. Chiara zaczęła trząść się z zimna. Deszcz ani na chwilę nie ustawał i piwniczna wilgoć wnikała w jej ciało. Za parę minut wszystko znów spowija ciemności. A wtedy myśli zaczną meandrować, bez celu i kierunku.

Nie lubię tego. Po ciemku widać rzeczy, które nie istnieją. Widać szare cienie myszy, wielkie pajaki. Ciemność oddycha jak zacząjone cielsko. Zbliża się i oddala. Skrywa się w kącie, potem, kiedy tylko zasną...

Dwanaście godzin mroku. Dwanaście godzin obcowania z majakami, cieniami, koszmarami.

Nie dam rady. Wszystko mnie boli, pulsuje mi w głowie, tam na dole czuję fale bólu. Nogi, ręce, wszystko. Gwoździe? Szczypce? Kleszcze? Ogień? Ostrza? To wszystko czuję na sobie...

Walnij głową o śłup, zemdlejesz i sobie pośpisz. Głosik znów udziela dobrych rad.

Chiara starała się nie słuchać.

Nie trzeba wiele. Walnij raz a dobrze, prześpisz się.

Jeśli szarpnę dłońmi, wreszcie je uwolnię. Pokaleczę sobie skórę, ale będą wolne. Opadam z sił, dlatego nie mogę z tym czekać. Im wcześniej spróbuję, tym lepiej.

Spróbuj z nogami. Nogi są silniejsze.

Nogi?

Tak, nogi.

Tym razem głosik miał rację. Nogi są silniejsze. Zwłaszcza jej nogi. Już w wieku dwunastu lat okrzyknięto ją młodym talentem narciarskim. Miała świetnie rozwinięte mięśnie czworogłowe ud i trójgłowe łydek. Musiała spróbować. Mogło jej się udać.

Gdybym tylko miała trochę wody.

Bla bla bla, zamiast coś zrobić, marudzisz. Gadasz i płaczesz. Śmiało!

Próbowała poruszyć nogami. Były skrępowane na wysokości kostek.

Jeśli to łańcuch, to możesz tak się napinać całe życie, i tak nie pęknie.

– Jeśli to łańcuch? Kretynie, nie dzwoni, więc to nie łańcuch, tylko taśma.

Przymknęła oczy i dalej napierała. Do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Bez rezultatu. Więzy nie puszczały. Starła się podskakiwać na krześle. Kłuło ją boleśnie w pośladkach, bolały ją też mięśnie ud i ramion. Ale nie poddawała się. Ścisnęła nogi, rozsuwała je, pchała do przodu, cofała. Kostki ciągle były przykute do krzesła. Jeszcze kilka kopnięć. Usłyszała nagle trzask, dźwięk przegniłego drewna, które się łamie, krzesło pod nią się załamało. Spadła bokiem, uderzając głową o podłogę. Ostry ból przeszył jej udo.

Krzyknęła z całych sił. Rozprostowała uwolnione wreszcie nogi. Do prawej kostki miała ciągle przyczepiony kawałek krzesła. Z tyłu, w lewe udo, tuż pod pośladkiem, wbił jej się drewniany kolec. Paraliżował ją nieznośny ból.

Co to? Co to? Kawałek drewna? Drzazga? Jest w mojej nodze. Boże, ale to boli. Piecze mnie.

Kawałek złamanej nogi krzesła wbił się prosto w mięsień dwugłowy uda. Ciemna plama krwi ciągle się poszerzała.

Krew? Tyle krwi.

Mięśnie drżały jak galareta. Chiara zacisnęła powieki i w wyobraźni zobaczyła siebie leżącą na boku, ze zranioną, krwawiącą lewą nogą, z prawą nogą zgiętą do tyłu, rękoma wciąż przywiązany do oparcia krzesła, twarzą rozplaszczoną na zimnym betonie. Ból rósł z każdą minutą.

Jeśli będę leżeć nieruchomo, wszystko się uspokoi. Wszystko się uspokoi. Nie ruszę się, to wtedy przejdzie.

Akurat. Nie ruszaj się, to stracisz całą krew i umrzesz.

Przestało padać. Ulice usiane były kałużami gęściej niż pole minowe. Rocco stąpał ostrożnie, żeby nie wpaść do którejś z nich. Rozdzwonił się telefon.

Furio z Rzymu. Rocco się ucieszył.

– Cześć, stary, jak leci?

– Dobrze, Rocco, dobrze. Co słychać?

– Te same upierdliwości co zawsze.

– Słuchaj, zajmę tylko minutkę.

– Gadaj.

– Chodzi o Adele.

– Znów rzuciła Sebę? – zapytał wkurzony Rocco.

– Nie, ale chce to zrobić. On się przy niej zachowuje jak ostatni złamas.

– Zawsze to mówiłem.

– Mamy fajny pomysł. Ona znika z obiegu na jakiś czas, on stanie się zazdrosny i może zacznie jej szukać, a ona będzie miała wreszcie dowód jego miłości.

Rocco się zamyślił.

– To może być dobry pomysł. Ale gdzie się ukryje? Seba ją wszędzie znajdzie.

– Wpadliśmy na coś genialnego.

– No to mów. Tylko szybko, bo mam na głowie paskudną sprawę.

– To proste: przyjedzie do ciebie – odrzekł Furio.

Rocco zatrzymał się nagle.

– Do mnie? Jak to do mnie?

– Seba nigdy nie wpadnie, że przyjechała do ciebie.

– Ale gdzie ja ją ulokuję?

– W domu, co nie?

– Ale byłeś tu u mnie w Aoście? Mam tylko jedno łóżko.

– A kanapy nie masz?

– Tak, ale Adele...

– Spoko, chodzi o parę dni. Potem wróci do Rzymu.

- Według mnie powariowaliście. Ale dobra, niech zadzwoni, jak się zdecyduje.
- Jasne. Powodzenia, muszę lecieć.
- Pamiętaj, że masz tu przyjechać, czekam.
- Jak tylko będzie ładna pora roku, przyjadę. Obiecuję.
- Trzymam cię za słowo. Powodzenia.

Adele w jego domu. Dziwne i szalone. Z dwóch powodów. Po pierwsze, trochę to nie fair wobec Seby. Chociaż tak naprawdę to było dla jego dobra. Po drugie, chodziło o Adele. Przyjaciółka, kobieta Sebastiana – dla Rocca kobieta przyjaciela była jak mężczyzna. Jednak będzie w jego domu, nawet wcześniej rano, zaraz po przebudzeniu... No w sumie będzie musiał uważać na siebie.

A poza tym, co powie Marina? Nigdy się specjalnie nie lubiły. Zgodzi się bez marudzenia? Może lepiej byłoby znaleźć hotel. Z drugiej strony nikt jeszcze nie był w jego nowym domu. I tak powinno zostać.

Skręcił za róg, na końcu ulicy widać było podświetlany szyld Berbeluszka. Zrobiło się już ciemno i gdyby nie sklepowy neon, na pewno wpadłby nogą w wartki strumień, który wzdłuż krawężnika pędził w dół, w stronę centrum. Ostrożnie podszedł do wystawy, zajrzał do środka. W sklepie było pusto. Ostre światło jarzeniówek tworzyło szpitalną atmosferę. Za kasą stała niska, krągła dziewczyna pod trzydziestkę. Wcisnęła klawisze, odrywała paragon, zamykała szufladę i tak w kółko. Zrobiła tak co najmniej sześć razy. Kiedy Rocco wszedł, aż podskoczyła. Spojrzała na niego pobladła i spytała:

- Dobry wieczór, w czym mogę pomóc?
- Szukam śpioszów frotté, takich jak na wystawie.

W sklepie było gorąco jak w szklarni, śmierdziało plastikiem.

- Dobrze, proszę pokazać. – Dziewczyna wyszła zza lady.

Rocco pokazał.

- O te, żółte i zielone.

Śpioszki dla niemowląt miały kosmiczną cenę, ale nic innego mu do głowy nie przyszło.

- Hm – zamyśliła się dziewczyna – ile lat ma dziecko?

- Lat? Ma cztery miesiące.

- Ach tak, prawda. Śpioszki są tylko dla dzieci do pierwszego roku, potem już...

- ...już się nie nadają. Chyba że dziecko ma poważne problemy ze wzrostem – uściślił Rocco.

– No więc powinny być... Chwileczkę, powinny być... – I podeszła do regału wypełnionego pudłami.

Szukała wzrokiem, trzymając palec w ustach. Wspięła się po skrzypiącej drabince. Rocco przygotował się, by ją chwycić, gdyby szczebelki się złamały.

– Nie, tu ich nie ma. Proszę zaczekać... – Podeszła do szafy z szufladami. Zaczęła je gwałtownie otwierać. – Nie, tu też nie. Przepraszam, ale ja tu od niedawna pracuję. Może są na zapleczu?

- Mnie się pani pyta?

- Nie, tak sobie głośno myślę. Momencik.

Otworzyła drzwiczki ukryte między regałami i zniknęła. Rocco podszedł do kasy, szuflada była otwarta. Pusto, ani jednego banknotu. Parę monet i spinaczy. Paragony, które dziewczyna przed chwilą nabiła, leżały poukładane na ladzie. Ostatni opiewał na trzysta dwadzieścia euro. Usłyszał szelest i szybko wrócił na środek sklepu. Dziewczyna wyszła z zaplecza, niosąc pudełko.

- Znalazłam czerwone. Mogą być?

- Mogę zobaczyć?

Położyła pudełko na ladzie, odwinęła bibułkę, wyjęła śpioszki.

- Ile kosztują?

- Chwileczkę, sprawdzę – spojrzała na pudełko, nie znalazła ceny. Podeszła do wystawy, wróciła.

- Siedemdziesiąt euro.

- Ożeż! No dobra, biorę. Chciałem dwie sztuki, ale przy takich cenach...

- Muszą być z dobrego materiału.

- Sądzi pani?

– Tak.

Wyjął z portfela kartę kredytową. Popatrzyła na nią, jakby zobaczyła wielki okaz czarnej wdowy.

– Nie! – krzyknęła wystraszona. – Nie można płacić kartą. Tylko gotówka.

– Nie mam gotówki.

– Ale terminal nam nie działa.

– To co zrobimy?

– Nie wiem.

– Może wrócę jutro?

– Dobrze, może tak być.

– No więc wrócę jutro, proszę mi je odłożyć.

– Oczywiście. – Złożyła śpioszki i schowała do pudełka.

– Radzę pani obniżyć temperaturę, można tu umrzeć z gorąca.

– Ale nie wiem, jak to się robi.

– Musi tu być gdzieś jakiś termostat.

– Mówi pan? Zaraz go poszukam.

Rocco podszedł do zaparowanych z powodu różnicy temperatur drzwi.

– Żegnam, miłego dnia.

– Miłego dnia. Do jutra.

– Do jutra. Jak się pani nazywa?

– Carmelina, dla znajomych Melina.

– Do jutra, Melino.

– Będę na pana czekać.

Droga Melino, pomyślał Rocco, na pewno wrócę, ale nie jutro, tylko znacznie wcześniej.

Do domu. Mokre niebo, niskie chmury, chłód. Przeszedł go dreszcz. Na pewno znowu będzie padać. Sklepy się zamykały, ale zdąży jeszcze kupić pizzę na kolację. Asfalt odbijał kolorowe neony i cienie przechodniów. Szyby kawiarni były zaparowane, tak samo jak te w lokalu z pizzą na wynos. Był już niedaleko, kiedy dostrzegł Annę. Zatrzymał się pośrodku ulicy. Opuścił głowę i cofnął się w cień, pod ścianę, z dala od latarni. Patrzył, jak Anna zmierza prosto do domu. Nie zobaczyła go albo udała, że go nie widzi. Zresztą przez telefon wyraziła się wystarczająco jasno. Poczekał, aż zniknie w bramie, i ruszył do pizzerii. Był zmęczony, bolały go kości. Chciał tylko wrócić do domu i przespać się parę godzin.

Mariny nie ma. Nie widzę jej, nawet w łóżku. Siadam przy stole w salonie, otwieram pudełko z pizzerii. Kawalki wydają mi się zaropiałymi skorupami, z bąblami jak otwarte wrzody. Nie jestem w stanie przełknąć tych wiórow. Zapiekanka z ryżu i mozzarelli jest czarna, chyba ją smażyli w płynie chłodniczym. Cola jest ciepła. Nawet kiedy na dworze jest zimno, cola ma być zimna. Ciepła cola lepi się do podniebienia i odbiera chęć do życia. O ile ktoś takową posiada.

Spać. Umieram ze zmęczenia. Dziwne. Cały dzień myślę o tej dziewczynie, a nie wiem, jak wygląda. Czy jest wysoka, chuda, podobna do matki? A może do ojca? Przyjdę po ciebie jutro, na pewno.

Kurde, co z tą kanapą? Zapadam się w nią. Za miękka.

– No więc pytanie za sto tysięcy euro. Grała z Marilyn Monroe w „Mężczyźni wolą blondynki”.

Nie wie. Ma ze dwadzieścia lat, co ten chłopak może wiedzieć?

– Jane Russell, dupku!

– Lauren Bacall?

Przesrałeś sobie sto tysięcy euro. Zgłaszacie się do teleturniejów, a nie macie opanowanych podstaw? Po cholere to robicie?

Zmieniam program. Nie, znów puszczają stare komedie z lat pięćdziesiątych.

– Kto kończy wieczór przy piwie, żyje długo i szczęśliwie!

Środa

- Zasnąłeś.
- Która... Która godzina?
- Nie wiem. Późno – odpowiada Marina, poprawiając włosy. Jak ona to robi? Zgarnia je od tyłu, potem wygląda to, jakby je jakoś wiązała i one się tak trzymają. Ma jakiś klej na palcach? Jest późno. Na zewnątrz ciemno. W telewizji leci kreskówka.
- Oglądałem film.
- Wiem, ale dawno się już skończył.
- Marina się uśmiecha.
- A ty gdzie byłaś? Czemu nie pójdziesz do łóżka?
- Bo nie mogę. Nie dam rady. Wszystko mnie boli. Plecy, szyja, krzyż, miednica, nawet nogi.
- Pamiętasz, jak na samym początku wracałem do domu, a ty mnie masowałaś?
- Jakżeby nie? W każdy nieszczęsny dzień.
- Nie lubiłaś tego?
- Nie, wcale.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Nie wiem. Wydawałaś się taki szczęśliwy.
- To ja ci zdradzę swój sekret: nienawidziłem tych masaży.
- Śmiejemy się.
- Tylu rzeczy ci nie powiedziałem.
- Na przykład?
- Nie lubiłem cię z krótkimi włosami.
- Co jeszcze?
- Ani w balerinach.
- Nigdy ich nie nosiłam.
- Jednego lata, w Santo Stefano.
- Sam mi je sprezentowałeś.
- To był błąd.
- Czego jeszcze mi nie mówiłeś?
- Przez jakiś czas myślałem, że masz kogoś.
- Ja? Kogo?
- Prosperiego.
- Giorgia? Męża Sereny? Tego chirurga?
- Tak, jego.
- Kochanie, on mi wyciął wyrostek.
- No i co z tego?
- Jak to co z tego? To mąż mojej najlepszej przyjaciółki.
- Właśnie. Klasyczna sytuacja. Zawsze go zapraszałaś na kolację.
- Zawsze go zapraszaliśmy.
- Kibic Lazio do tego. Robiłaś do niego słodkie oczy.
- Kochanie, myśmy się z Giorgiem znali trzydzieści lat. Skończmy już z tą historią. Czego jeszcze nie mówiłeś?
- Że mi ciebie brak, strasznie mi brak.
- Nieprawda. Wiesz, dlaczego tak mówisz? Bo się boisz.
- Ja miałbym się czegoś bać?
- A czego się boję?
- Odczuwasz brak nie mnie, a siebie.
- Mylisz się. Pamiętasz to zdanie? „Pragnienie drugiej osoby jest nieśmiertelne”.

– *Ale jeśli je spełnisz, znika.*

– *A jak je mam wypełnić?*

– *Może już to zrobiłeś.*

Głaszczcie mnie po włosach. Patrzę jej w oczy.

– *Wiesz co, Marina? Chyba mi się wada wzroku zwiększyła o dioptrię.*

– *To nie żadne dioptrie, głuptasie. – I wyciera mi łzę. – Już druga, idź do łóżka.*

– *Nie mogę. Mówiłem ci, że nie mogę.*

Enzo Baiocchi oddychał powoli, gapiąc się w niebieskawy sufit. Nocna lampa wszystko barwiła na niebiesko. Sufit, ręce, paznokcie, szafkę, puste łóżko obok, drzwi, kraty. Nadeszła właściwa godzina. Druga dwadzieścia. Strażnicy przechodzili ostatnio dziesięć minut temu, a śmieciarka miała nadjechać za godzinę. Musiał się zbierać. Przede wszystkim włożył skarpetki i trampki. Zdjął bluzę od piżamy i został tylko w czarnej koszulce. Ucałował złoty krucyfiks, wstał i podszedł do okna. Dziedziniec był pusty. Tylko drzewa ruszały się na wietrze. Kot przebiegł szybko zwirową alejkę i zniknął w gęstych liściach draceny.

Za trzy dni mieli go odesłać na oddział, a wtedy żegnajcie, świeże prześcieradła, lepsze żarcie, koniec z głośną muzyką, którą pielęgniarze puszczały z rana, koniec z gazetami. A przede wszystkim na marne pójdzie praca, jaką wykonał przy trzeciej kracie, licząc od lewej. Dwa tygodnie starannie wydłubywał ją z framugi. Ruszała się jak ząb trzonowy staruszka z paradontozą. Pilnował diety, schudł trzy kilogramy i mieścił się swobodnie między kratami, nawet bez większego wysiłku. Trzymali go na parterze, więc wystarczył skok z półtora metra, żeby znaleźć się na trawniku. Rozejrzał się dookoła. W więziennej izbie chorych było ciemno.

Tylko ta trupia niebieska poświata. Dzięki niej było widać, że reszta pacjentów śpi. W dyżurce za to paliło się światło. Lekarz, pielęgniarz i dwóch strażników grało w wojenną planszówkę *Risiko*. To Frangipane, najmłodszy pielęgniarz, wprowadził ten sposób zabijania nocnej nudy. Enzo podbiegł do muru, starając się nie robić hałasu na zwirowie. Przesuwał się powoli, przytulony do ściany, żeby nie dać się złapać kamerom monitoringu, z dala od strefy rozświetlonej żółtymi latarniami. Centymetr po centymetrze, jak leniwiec na gałęzi, sunął w stronę stalowej, zamkniętej na glucho bramy.

– *Najeżdżam Bliski Wschód z Egiptu siedmioma czołgami...* – to był głos Frangipanego.

– *Blokuję!* – odezwał się strażnik Vito.

Od bramy dzieliło Enza tylko jedno odsłonięte miejsce, dobrze oświetlone, niedające możliwości ukrycia się. Miał nadzieję, że przez chwilę nikt nie będzie kontrolował obrazu z dziedzińca. Na nocnej zmianie było tylko dwóch strażników, na szczęście z powodu oszczędności kolejnych rządów znacznie zredukowano liczebność personelu. To bardzo ułatwiało zadanie. Gdyby obsada była pełna, Enzo nie mógłby nawet pomarzyć o ucieczce. W wieżyczkach byłoby czterech ludzi plus trzech na dziedzińcu. A tak, przy dwóch strażnikach zajętych utrzymaniem Chin czy Jakucji, można było spróbować. Mogło się udać.

– *Jeden, jeden, dwa, kurde, co za pech* – krzyczał Frangipane.

– *Ha ha, zapomnij o Bliskim Wschodzie, palancie. Za to ja atakuję z Afryki Północnej* – odpowiedział Vito.

– *Ocipiałeś, Vito?* – Trzeci głos musiał należeć do dyżurnego lekarza. – *Paolo zajdzie cię od strony Brazylii.*

– *Niech się pan doktor łaskawie nie wpięprza* – mówił Paolo, drugi strażnik, który ewidentnie marzył o ekspansji w Afryce dokonanej po tym, jak Frangipane osłabił tamtą flankę.

Enzo zamknął oczy, zrobił wdech i pomimo sześciu krzyżyków na karku szybkim susem pokonał dystans do bramy. Niebieskie spodnie piżamy i czarna koszulka przemknęły w żółtym świetle dziedzińca. Nikt go nie zobaczył, nikt się nie zorientował. Nikt nie patrzył w ekrany monitoringu.

Enzo przykucnął pod bramą. Dyszał ciężko, ocierał pot. Teraz musiał zaczekać. Niedługo pojawi się śmieciarka, która przyjedzie po szpitalne odpadki. Trzy szare worki już czekały przed dyżurką strażników. Nadchodziła druga najtrudniejsza chwila. Musiał wskoczyć na pakę, skulić się i zaczekać, aż przykryją go worki z odpadkami po siedmiu chorych, pięciu pielęgniarzach, dwóch lekarzach

i czterech strażnikach. Najważniejsze, żeby teraz nie usnąć. Ale co do tego Enzo Baiocchi był spokojny.

Miał tyle adrenaliny, że nie zasnąłby przez całe dni, tygodnie, może nawet miesiące. Na pewno nie zamierzał udać się na spoczynek, zanim nie złoży wizyty temu skurwielowi. Czekał na to pięć długich lat.

O trzeciej nad ranem w komendzie wszystkie światła były pogaszone. Tylko na parterze, z pokoju oficera dyżurnego dochodziły jakieś oznaki życia. Przy drzwiach posterunkowy Miniero, dopiero co przeniesiony z Neapolu, usiłował wypełnić krzyżówkę.

– Dzień dobry!

Głos wicekwestora przywołał go do rzeczywistości. Stał na baczność.

– Szefie, tak wcześnie?

– Tak.

Otulony szczelnie płaszczem wbiegł po schodach do swojego biura, nie zapalając światła. I tak znalazł tę drogę na pamięć. Wszedł do pokoju, podniósł słuchawkę i wystukał numer.

– Słucham?

– Italo! Tu mówi Rocco.

– Ale...

Widział oczyma wyobraźni, jak Pierron błądzi wzrokiem po suficie, usiłując się zorientować, czy ten telefon należy do świata jawy, czy do snu, który dopiero co mu przerwano.

– Która godzina?

– Trzecia!

– Co... Co się stało?

– Stało się, że się ubierasz i migiem jedziesz na komendę. Musimy złożyć wizytę.

– O tej porze?

– Gdzieś pewna dziewczyna została uwięziona, może już nie żyje. Mam ci ciągle przypominać?

– Pierron nie odpowiedział. – Italo, co jest? Znów śpisz?

– Nie, nie, daj mi dziesięć minut.

– I nie przychodź mi tu w mundurze.

Rozłączył się i otworzył swoją szufladę z „poranną świecką modlitwą”, jak nazywał swój obyczaj wypalenia skręta z marihuaną.

W nocy temperatura spada, wiadomo. Ale tej majowej nocy stanowczo przesadzała. Zaciągnął się ostatni raz. Na jego twarzy malował się błogi uśmiech. Rzucił niedopałek na ulicę i zamknął okno. Italo był już niedaleko, więc postanowił wyjść mu naprzeciw.

Zgasił światło i wyszedł z pokoju. W korytarzu błada poświata, którą roztaczał dystrybutor batoników, wydobyła z mroku dwa cienie. Dwie postacie stały nieruchomo pośrodku korytarza z opuszczonymi rękoma. Wyglądały jak dwa potwory z nocnych koszmarów.

– Co jest, kurwa? – wymamrotał Rocco.

To byli Deruta i D’Intino. Straszny wygląd upodabniał ich do kloszardów wyłowionych ze śmierdzącego ścieku. Nie przypominali wcale funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa publicznego.

Ich mundury miały zdecydowanie brązowy odcień. Na białych twarzach pajęczyna smug czarnego błota. D’Intino był przemoczony, zniekształcony kapeć, który kiedyś był mundurową czapką, tkwił ciągle na jego głowie. Deruta miał podartą z przodu koszulę, nogawki przydeptywał butami. Jak dwaj ocaleni z jakiejś katastrofalnej klęski, pod Caporetto czy na froncie wschodnim w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim.

– Co wy mi tu odpierdalacie?

Pierwszy odezwał się Deruta:

– Szukaliśmy domu Viorela Midei.

Rocco musiał się ostro wysilić, żeby przypomnieć sobie, co to za jeden. Deruta to dostrzegł.

– Rumun, ten, co się zabił w wypadku.

Rocco usiłował zamaskować pustkę w głowie.

– Dobra, wiem. No i?

– Znaleźliśmy go! – wykrzyknął radośnie D’Intino.
Potem szybko się odwrócił i wyrzygał za maszyną do kawy.
Kwadrans później w biurze paszportowym Italo i posterunkowy Miniero poili nieszczęśników herbata, podczas gdy Rocco z boku obserwował całą scenę.

– Ciężko było, szefie, naprawdę ciężko – wzdychał Deruta. – Jak cholera.
– Jak wam się udało? – zapytał Italo.
– Musieliśmy pogłówkować.
– I to jest dopiero wielka nowina! – zauważył Rocco.
– Tak to było: zaczęliśmy od bloku tych Etiopczyków.
– Erytrejczyków – poprawił ich.
– No, tych tam. Cały blok żeśmy obesli.
– Wtykaliśmy klucz w każdy zamek – ciągnął D’Intino. – Nigdzie nie pasował.
– A wie pan, jedna taka stara nawet przyłożyła D’Intino torbę, bo nie zauważyła munduru. No to żeśmy poszli do bloku obok, a potem do jeszcze następnego.
– Nic nie pasowało. Można było ocipieć, szefie.
– No i wpadłem na pomysł – zaczął Deruta.
– Tak naprawdę to ja wpadłem – wtrącił D’Intino.
– Co ty gadasz. To ja ci powiedziałem, żeby podjechać do dzielnicy...
– Nie, to ja, a ty żeś nie chciał. Żem cię w końcu namówił.
– Dobra, obaj wpadliście na ten sam pomysł. I co dalej? – przerwał im Rocco.
– Pomyśleliśmy, że skoro facet był bez grosza, to pewnie mieszkał tam, gdzie biedacy.
– Nieźle, nieźle – zauważył Italo, tłumiąc śmiech.
– Prawda, Italo? Świetna dedukcja, kto by pomyślał?
D’Intino uśmiechnął się do szefa.
– Prawda? No to zaczęlim się kręcić po biednych okolicach. Kurde, w Aoście nie znajdziesz takich dużo.
– A co ten dureń potem zrobił? – zapytał Deruta, wskazując na kolegę.
– Nie wiem. Co zrobił?
– Cofał na parkingu i bum! – Uderzył pięścią w otwartą dłoń, żeby podkreślić dramatyzm wydarzenia. – Pierdyknął w ciężarówkę.
– A samochód?
– Skasowany błotnik i lampa – odparł D’Intino ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Nierówno pracuje, z silnika idzie dym.
Rocco wznosił oczy do nieba.
– Ale w tym pechu mieli my farta – ciągnął Deruta.
– Możecie się, kurde, streszczać? – Rocco powoli tracił cierpliwość.
Albo usłyszy coś konkretnego, albo zaczną w nich rzucać ciężkimi szufladami pełnymi akt paszportowych.

– To była ciężarówka Rumunów. Ładowali na nią rzeczy do zawiezienia do domu, do Budapesztu.
– Bukaresztu, Deruta, Bukaresztu!
– Tak, Bukaresztu. Ale niech szef nie przerywa, bo stracę wątek.
– Dobra, już nie przerywam.
– No więc, jak mówiłem, żeśmy mieli z tymi Rumunami stłuczkę. Znaczy D’Intino to zrobił, jego wina. Jak żeśmy się zorientowali, że to Rumuni, tośmy ich spytali, czy nie znają tego Viorela. Jeden z nich się uśmiechnął i odpowiedział, że tak.
– Powiedział nam, gdzie mieszkał. Pojechaliśmy tam.
– A teraz dopiero zaczęła się jazda. Wchodzimy do bloku, wsuwamy klucz w zamek, żeby sprawdzić, czy pasuje, i bum! – Deruta znów uderzył pięścią w dłoń.
– Rzucili się na nas. Czterech ich było. Walili na oślep.

– Ja z D’Intino też waliłem na ślepo, trudno się było połapać kto i co. Niechcący przyładowałem D’Intino w żebra.

– Które już wcześniej mnie bolały.

– Chryste, co za bijatyka. Oberwałem w nos i w ucho.

– A ja w żebra, no ale to był Deruta, i raz w głowę.

– Kto was tłukł? – krzyknął Rocco.

– Ci, co byli w domu. Uciekliśmy na dwór, ale biegli za nami. D’Intino wpadł do rowu.

– Wie szef, takie głębokie rowy przy drodze.

– Ja za to oberwałem czymś w głowę i upadłem. Kiedyśmy wstali, tamci się dopiero zorientowali, żeśmy z policji, i bardzo nas przepraszała.

– Bo wcześniej myśleli, żeśmy złodzieje.

– Złodzieje?

– Tak, złodzieje. Bo w tym mieszkaniu mieszkał Viorelo i czterech takich z Senegalu, jeden w drugiego dwa metry chłopca. No i jak wrócili do domu, razem z kolegą z Tunezji...

– Parę godzin wcześniej...

– Tak, parę godzin wcześniej, to zastali rozwalone mieszkanie. Wszystko im złodzieje rozbebeszyli.

– Ale nie mogli zgłosić, bo żaden nie ma prawa pobytu.

– I wynajmują na lewo.

– Dobra, coś więcej?

– Tak. Zgadnie szef, co było skradzione?

– Co?

– Nic – odrzekł Deruta.

– Jak to nic?

– Nic a nic.

– Ale w takim mieszkaniu chyba nie ma sejfów, biżuterii i takich tam – wtrącił przytomnie Italo.

– Nie. Ale był telewizor, iPod, sprzęt stereo. Nic nietknięte. Powywalali tylko na wierzch wszystko z szuflad i szaf.

– Narobili burdelu i już.

Italo się śmiał, Rocco tymczasem myślał w skupieniu.

– Dziwne. Zawodowy włamywacz nie obrabia mieszkania w takiej dzielnicy. To musiał zrobić jakiś szmaciarz, taki jak oni, ale niczego nie wziął. Dziwne.

– To samo że m pomyślał – wtrącił z dumą D’Intino. – Ja bym chociaż iPoda zgarnął.

– Świetnie. Gdybyśmy byli na wojnie, zgłosiłbym was do orderu. Ale nie ma wojny.

– Kurde... – jęknął D’Intino przez zęby.

– Ale odwaliliście kawał dobrej roboty. Idźcie do domu. Jutro możecie się zgłosić do pracy później.

– O której?

– Później.

– A co mamy zrobić z tymi tam, bez prawa pobytu?

– A co macie zrobić? Nic.

– Nie zatrzymujemy ich?

– Raczej nie.

– A wynajem na lewo?

– Na razie siedźcie cicho. Do domu!

Rocco dał znak Italo i wyszli z biura paszportowego. Deruta uśmiechnął się do D’Intino.

– Dobra robota. – I uściskał koledze rękę.

Stalowa brama zadrżała. Enzo powoli odkleił się od muru. Żółte światło pulsowało na znak, że zaraz skrzydła bramy się rozsuna. Na progu dyżurki pojawił się Paolo, jeden ze strażników. Kiedy wjazd został otwarty, z ciemności wynurzyły się światła śmieciarki, powoli toczącej się na dziedziniec. To była

chwila, na którą czekał Enzo. Błyskawicznie wyszedł z cienia i przemknął za śmieciarką, gdy przekroczyła już bramę. Udało mu się postawić stopę na błotniku nad tablicą rejestracyjną, złapał za burtę i pomimo że pojazd wciąż był w ruchu, podciągnął się i jak ryba wślizgnął do środka, na pakę. Spadł na stertę szarych, śmierdzących worków. Zatkaną nos. Za śmieciarką zamknęła się brama.

Pół godziny czekania. Potem ładowacz rzucił worki, które przeleciały i spadły prosto na ciało Enza. Te szpitalne odpadki śmierdziały śmiercią. Enzo przełykał intensywnie ślinę, ale w końcu nie wytrzymał i wyrzygał resztki kolacji. Poczł, jak śmieciarka rusza. Leżał na wznak na tym ohydny „materacu”, widział, jak nad nim przesuwają się latarnie dziedzińca, mur obwodowy, wieżyczki strażnicze. Śmieciarka nabrała prędkości. Kierowca przyspieszał. Enzo Baiocchi był wolny!

Zaparkowali daleko od sklepu, poszli dalej chodnikiem. Ulica była ciemna, szyldy sklepów pogaszone. Tylko dwie latarnie paliły się w oddali na skrzyżowaniu, ale nie wystarczały. Panował nieprzyjemny chłód.

– Możesz mi wytłumaczyć, po cholere tu przyjechaliśmy?

Rocco nie odpowiedział. Kiedy doszli przed sklep Berbeluszek, rozejrzał się, potem cofnął kilka metrów w stronę żeliwnej furtki i bez trudu ją przeskoczył.

– Dokąd idziesz?

– Chodź!

Rocco wszedł na podwórko małego bloku. Italo, złorzecząc pod nosem na szefa, poszedł w ślad za nim.

Primo Cuaz śledził nocną ramówkę telewizyjną nie z pasji, tylko dlatego, że całe życie, od młodości pracował nocami, a sypiał w dzień. W wieku osiemdziesięciu czterech lat trudno było się przestawić na inny tryb. Zawsze miał z tego powodu problemy. Błada skóra, parę dioptrii w oku oraz absurdalne godziny posiłków. Śniadanie o drugiej po południu, obiad o dziewiętej, kolacja o piątej rano, kiedy tirowcy albo pracownicy pierwszej zmiany – tacy jak jego żona – nalewali sobie pierwszą kawę. Nieraz spotykali się przy stole – ona z rogalikiem, a on nad talerzem makaronu, opowiadając sobie o dniu, co minął, albo o tym, co nadchodzi. Od kiedy przeszedł na emeryturę, całymi nocami kręcił się po domu, podczas gdy Izyda słodko chrapała w małżeńskim łóżu. Próbował zachwiać tę dziwną równowagę i dopasować się do reszty ludzkości za pomocą środków nasennych albo usiłując cały dzień nie zmrużyć oka. Ale nic z tego nie wychodziło. Kładł się o szóstej rano, wstawał o drugiej po południu, punktualnie jak niemiecki budzik. W trakcie jednej z takich samotnych nocy Primo zrobił obliczenia. Spał osiem godzin na dobę, Izyda tyle samo. Czyli w trakcie sześćdziesięciu lat małżeństwa spędzili tak naprawdę razem tylko dwadzieścia. Pozostałe czterdzieści każde z nich przespało osobno.

Żeby się kochać – co przestali robić dopiero siedem lat temu – wykorzystywali krótką strefę pośrednią, kiedy on właśnie wychodził na dyżur w mundurze, a ona dopiero co wracała z pracy. Byli przekonani, że ten właśnie problem logistyczny podtrzymał w nich tak długo wzajemne pożądanie. Widowym jego znakiem była czwórka dzieci. O czwartej rano tej środy, zimnej jak marmurowy nagrobek, Primo wyłączył telewizor, kiedy leciały napisy końcowe westernu *Dyliżans*.

Podszedł do okna pogapić się w niebo. Żadnych gwiazd, tylko chmury. W całym bloku światła były pogaszone. W przedziwny sposób brakujące za dnia dioptrie wracały mu w nocy. Coś się działo na podwórku. Zmrużył oczy. Mógłby przysiąc, że widział dwie skradające się postacie.

Złodzieje, pomyślał. Pięćdziesiąt lat nienagannej służby odezwowało się z rykiem w jego mózgu i kościach. Miał ciągle swój stary pistolet, leżał schowany w pudełku po czekoladkach w stalowym regale. Szybko po niego sięgnął. Parę puszek z pomidorami pospadało z hukiem. Odkładał je na miejsce, kiedy usłyszał żonę, która stojąc na progu, zapytała:

– Co się dzieje?

– Złodzieje na podwórku.

– Co się będziesz wpieprzał. Jesteś na emeryturze.

– Odsuń się, Izyda, daj mi przejść.

– Primo, ja cię bardzo proszę!

Ale stary ochroniarz nie dał sobie wytłumaczyć. Przesunął kobietę i wyszedł z domu. Izyda

ziewnęła i postanowiła wrócić do łóżka.

– A róbże stary, co chcesz – wymamrotała.

Był dorosły i zaszczepiony.

Italo dołączył do swojego szefa przed jednym z parterowych okien.

– Słuchaj, jeśli dobrze obliczyłem, to jest zaplecze sklepu.

– Możliwe. No więc?

– No więc teraz stój i obserwuj.

– Ręce do góry!

Odwrócili się. Postać w cieniu celowała do nich z pistoletu.

– Mam was. Dzwonię na policję.

Rocco się zaśmiał.

– Ale to my jesteśmy z policji, wie pan.

Tamten zrobił krok do przodu, w stronę światła.

– Co wy za jedni?

– Wicekwestor Schiavone, posterunkowy Pierron.

Stary poprawił okulary na nosie.

– Nie wierzę.

– Mogę wsadzić rękę do kieszeni? – zapytał Rocco.

Kiedy starszy przytaknął, wyjął i wręczył mu legitymację, ale stary nie był w stanie nic rozczytać. Wyginał ją tak, żeby padło na nią więcej światła.

– Nic nie widzę... – Wetknął pistolet pod pachę, chwycił dokument oburącz i dopiero znalazł właściwy kąt. – No tak, tak, w porządku. – Oddał dokumenty. – Można wiedzieć, co robicie w nocy na zapleczu tego sklepu?

– Musimy potajemnie dostać się do środka, bo podejrzewamy, że odbywają się tu nielegalne operacje.

– W sklepie dla dzieciaków? – zapytał zdumiony Primo.

– Właśnie tak. A teraz, jeśli pan pozwoli...

– Co pan robi?

– Mówiłem. Muszę się dostać do środka.

Wyjął z kieszeni scyzoryk, wybrał mały pilniczek i zaczął dłubać w okiennicy. Powoli odpadały kolejne wióry.

– A jeśli mają alarm? – spytał Italo.

– Nie mają – zapewnił emerytowany strażnik.

– To oczywiste. Alarm ściąga także policję. A ostatnie, czego oni chcą, to żeby policja im weszła do sklepu – dodał Rocco.

– Ale jacy oni?

– Jest pan policjantem czy nie? Co to za ciągłe pytania do szefa!

Wreszcie odpadł spory kawałek drewna. Rocco wysunął ostrze scyzoryka.

– Trzeba trochę cierpliwości – powiedział, wsuwając je w szparę. – Nic z tego, jest metalowa opaska. Przydałyby się nożyce, mamy je w samochodzie?

– Poczekajcie, zajmę się tym. – Strażnik zostawił policjantów samych.

– Co robimy?

– Czekamy na nożyce, nie?

– Możesz mi wreszcie to wszystko wyjaśnić?

– No więc tu, w tym sklepie nabijają lewe paragony. To znaczy rejestrują sprzedaż bez pokrycia.

– Zgłupieli?

– Nie, wcale nie zgłupieli. Piorą pieniądze. Udają, że osiągają fikcyjne dochody, płacą nawet od nich podatki i dzięki temu wpuszczają na swoje konto czyste pieniądze.

– No popatrz, kto by na to wpadł.

– A jak myślisz? Jezuici?

Izyda słyszała, jak mąż grzebie w składziku przy kuchni.

– Primo, co ty wyrabiasz?

– Nic, idź spać.

Łatwo powiedzieć, kiedy ten dureń wyciągnął stary pistolet, który zresztą Izyda rozbroiła już wiele lat temu, a teraz coś kombinował w kuchni. Wsunęła kapcie i poszła sprawdzić. Primo miał w ręku szczypce, nożyce, pół skrzynki narzędziowej.

– No więc?

– Musimy wyłamać okiennicę.

Nie rozumiała.

– Musimy? Nie poszedłeś przypadkiem aresztować jakichś złodziei?

– Kobieto, nie wtrącaj się, niczego nie pojmiesz.

– A właśnie że tak. Masz mi wszystko opowiedzieć.

– Dobra, ale cicho sza! Jest tam dwóch policjantów, którzy muszą wejść do sklepu dziecięcego, bo podejrzewają, że dochodzi tam do nielegalnych transakcji.

Izyda namyśliła się.

– Ale dlaczego nie zrobią tego za dnia, z nakazem prokuratorskim, tak jak to pokazują w telewizji?

– Bo to tylko telewizja, a nie rzeczywistość.

– Dziwne. Akurat o czwartej nad ranem muszą wyłamywać okiennicę? Nie poprzestawiało ci się w głowie ze starości?

Pełen podejrzeń Primo wyszedł z domu. Stał przed policjantami, dzierżąc w dłoniach szczypce, nożyce, gumowy młotek i świder.

– Dlaczego włamujecie się o czwartej rano, a nie zaczekacie na dzień i wejście z nakazem prokuratorskim?

– Bo prokurator nic nie wie, a faceci prowadzący ten sklep nie mogą się dowiedzieć, że weszliśmy, bo to musi zostać między nami, a poza tym, łaskawy panie, takich ludzi nie złapiesz, mając w garści choćby pięć nakazów. Strzelają, bez pytania, kim jesteś.

– Co to za ludzie? – zapytał stary strażnik cieniutkim głosem.

– Niech pan pomyśli coś najgorszego, to i tak będzie za mało.

– TERRORYŚCI?

– Niewykluczone.

Primo wyciągnął ręce.

– Przyniosłem trochę sprzętu.

– Dzięki, wystarczą same nożyce.

Rocco zabrał się do pracy. Ścisnął parę razy, aż metal szczęknął i okiennica się otworzyła. Teraz trzeba było pokonać okno.

– Łatwizna. Drewniana rama z pojedynczą szybą. Podaj mi kurtkę.

Zdumiony Italo wręczył szefowi okrycie. Rocco owinał sobie kurtkę wokół ręki i jednym ciosem roztrzaskał szybę. Ledwo było słychać brzęk szkła.

– Na pewno był pan zawsze policjantem? – spytał Primo.

– Może w innym życiu nie.

– Wcale bym się nie dziwił.

Stary strażnik porozumiewawczo szturchnął Itala w bok, podczas gdy Rocco starannie wyjmował odłamki z framugi. Wicekwesor oddał podwładnemu kurtkę.

– Uważaj, jak ją będziesz wkładał, mogło zostać trochę szkła. Dobra, idziemy. A tak w ogóle, to nazywam się Rocco. A pan?

– Primo.

– Dzięki, Primo. Niech pan już wraca do domu. Nie ma potrzeby dodawać, że nas pan tu nie widział.

– Nie ma.

Italo oddał mu narzędzia. Staruszek powoli ruszył w stronę mieszkania.

– To była piękna przygoda, dziękuję, Rocco.

– To ja panu dziękuję.

Rocco wsunął rękę w dziurę po wybitej szybie i przekręcił klamkę. Okno się otworzyło.

– Rozejrzyjmy się.

Sklepowy magazyn miał około stu metrów kwadratowych i był pełen pudeł poustawianych w wysokie sterty. Większość miała napisy po chińsku. Świecąc sobie komórkami, przesuwali się wzdłuż tej ściany kartonów. Rocco miał wrażenie, że wrócił do swojego starego garażu. Niespiesznie czytał etykiety, macał pudła, jakby to były owoce na straganie, niemalże beztrąsko gwizdał. Italo za to pozostawał napięty. Wciąż nasłuchiwał obcych odgłosów i pomimo niskiej temperatury, obficie się pocił.

– Czego szukamy? – zapytał szeptem. Jego szef milczał. – Rocco, słuchaj, może zrobimy to za dnia, jestem niespokojny. – I odwrócił się w stronę rozbitego okna.

W ciemnym wnętrzu nagle rozbrzmiała *Oda do radości* Beethovena.

– Co jest, kurwa! – syknął Rocco.

Italo poczuł, jak krew zmroziła mu się w żyłach. Po chwili się opamiętał.

– To twoja komórka, durniu.

Rocco błyskawicznie ją wyjął.

– Słucham?

– Czemu mówisz szeptem?

To była Anna.

– Cześć, Anna, co jest?

– Nie dzwoniłeś do mnie cały dzień. Wydaje ci się to normalne?

– Dopiero co wczoraj posłałaś mnie do diabła, po co miałem dzwonić?

– Nie wiem, może żeby przeprosić?

Rocco rozłożył bezradnie ręce. Italo rozglądał się dookoła jak zwierzę w potrzasku.

– Anna, to nie jest dobra chwila. Jestem w trakcie akcji.

– Taaaak, jasne. A jak się nazywa? Elisabetta? Barbara?

– Kurde, dajże spokój, jutro zadzwonię, przysięgam.

– Zaoszczędź na rachunku. I dobranoc.

Rozłączyła się.

– Kto to był? – Italo prawie krzyczał.

– Koleżanka. Nazwałeś mnie durniem.

Italo spuścił wzrok.

– Przepraszam, wystraszyłem się.

– Żeby mi się to więcej nie powtórzyło! Jestem twoim zwierchnikiem!

– Dobra. Ale mogłeś wcześniej wyłączyć telefon.

– A czym byśmy sobie poświecili?

– Mam latarkę.

– I kto tu jest durniem? Zapal ją.

Za stertą pudeł rozpościerała się pusta przestrzeń. Pośrodku stały stare metalowe biurko, obite skajem krzesło i biurowa lampka. Rocco podszedł do biurka. Miało dwie szuflady. W pierwszej rupiecie i papiery, w drugiej rejestr. Rocco rozsiadł się wygodnie, zapalił lampkę i jak księgowy zaczął kartkować.

– Światło – zachrypiał Italo.

– Spoko. No więc co my tu mamy...

Długa lista nazwisk. Obok każdego liczba. Niektóre podkreślone na czerwono.

– Co to?

– Lista, popatrz. Federico Biamonti... Gressoney. Sto trzydzieści tysięcy. Paride Sassuoli, Pila, osiemdziesiąt pięć tysięcy.

– O co tu chodzi?

Rocco oderwał wzrok od kartek.

– Długi, mój drogi, długi. Umiesz robić zdjęcia?

– Jakie?

– Weź komórkę i sfotografuj mi każdą stronę. Jest ich pięć. – Wstał z krzesła, ustępując mu miejsca. – I postaraj się wyrobić przed świtem.

Italo uaktywnił aparat w komórce i zabrał się do roboty. Rocco dalej się rozglądał. Podeszedł do pudła, otworzył je szczyrykiem. W środku były mniejsze pudełka. Radia samochodowe. Otworzył kolejne. Elektryczne czajniki.

– Skończyłeś?

Italo zrobił ostatnie zdjęcie i odłożył rejestr. Zgasił światło. W tej samej chwili szczęknął zamek.

– Tutaj – przywołał go Rocco.

Italo przemknął szybko.

– Co się dzieje?

– Ktoś idzie.

Zgasili latarkę.

– Las krismas aj gejw ju maj hart – ktoś podśpiewywał, strasznie fałszując.

Jedna po drugiej zapaliły się jarzeniówki pod sufitem. Magazyn wypełnił się światłem jak supermarket w godzinach szczytu. Rocco stęzał w oczekiwaniu ze szczyrykiem w garści.

– Diz jer tu sej ju from jer. – Cień przesuwiał się między regałami. Rocco i Italo przywarli do ściany. – Last krismas aj gejw ju maj hart... – Cień nagle nabrał ciała.

Niski, brodaty mężczyzna. Złapał za pudło, otworzył, sprawdził zawartość, wziął je na ramię, po czym znów zamienił się w cień. Po chwili zgasły światła, zamek znów szczęknął. Rocco i Italo zostali sami w mroku.

– Kurde, mało brakowało.

– No już po wszystkim, możemy iść.

Italo stał pot z czoła i poszedł za szefem. Po omacku dotarli do wyłamanego okna, wyjrzeli na podwórze. Ciemno, żadnego śladu życia. Rocco przeszedł pierwszy. Primo Cuaz pomachał im zza szyby swojego mieszkania na pierwszym piętrze. Odwzajemnili pozdrowienie i sunąc wzdłuż ściany, doszli do furki, przeskoczyli ją i znaleźli się na chodniku. Zdążyli zobaczyć, jak w stronę miasta odjeżdża czerwona alfa romeo.

– Rocco, powiedz wreszcie, gdzieśmy byli?

– W fajnej dziupli. Masz już trochę więcej jasności?

– Piorą pieniądze i sprzedają kradziony towar.

– Tak, robią to profesjonalnie. Nie tylko piorą pieniądze, ale i pożyczają na lichwiarski procent.

Te dwie rzeczy się łączą, i to ściśle.

Kiedy szli do samochodu, Italo szturchnął Rocca.

– Popatrz no tylko.

Rocco podniósł oczy i go zamurowało, jakby ujrzał na dachach Aosty twarz Matki Boskiej.

Padał śnieg.

– Nie do wiary. W maju?

– Zdarza się. Chodź, nie martw się. Jest tak mokro po deszczu, że się nie utrzyma.

Sen, czuwanie, znów sen i czuwanie. Coraz trudniej oddychała. Udało jej się pomacać ręką przytroczoną do kawałka oparcia krzesła podłogę koło zranionej nogi. Była tam kleista kałuża, jak z rozbitego słoika z konfiturą. Krew. Krew wypływająca z rany.

Musisz wstać.

Nie reagowała już na ten głos, nie miała siły. Odpowiadała tylko w myślach. Nie była w stanie wydobyć z siebie choćby najcichszego dźwięku.

A jak mam wstać?

Zaprzyj się kolanem zdrowej nogi o ziemię i podciągnij się.

Niemożliwe. Próbowałam, za bardzo boli. Kręci mi się w głowie i od razu lecę w dół, rozumiesz?
Nie dam rady.

Dasz.

Nie dam rady.

Dasz, idiotko.

Nie.

No to umrzesz. Wiesz, że umrzesz?

Noc powoli ustępowała, blade światło zaczynało wypełniać piwnicę. Chociaż było słabe, pomagało, dodawało otuchy, odświeżało mózg. Popatrzyła na okienko. Padał śnieg.

Nie możesz tak tkwić i czekać. Gaśniesz. Gaśniesz jak świeca. Zaciśnij zęby i spróbuj. Spróbuj!

Powoli nachylała klatkę piersiową i ręce zespolone z krzesłem. Nic nie bolało.

Musiała teraz oprzeć prawe kolano o ziemię i postarać się zgiąć także drugie. Mrowiło ją w całym ciele. Bolały ją zebra, ramiona, miednica i kostki. Zraniona noga była ciężka i bezwładna niczym bryła lodu. Spróbowała poruszać palcami. Parę minut zajęło jej ich obudzenie, ale w końcu poczuła, jak ruszają się w butach. Nie czuła żadnego bólu w udach. Spróbowała napiąć łydkę. Nie bolała. Teraz najtrudniejszy moment. Czworogłowy mięsień uda. Postarała się go bardzo powoli, lekko ściągnąć. Nie czuła bólu. Dobrze. Noga była w miarę sprawna, choć ból mógł się czaić tuż-tuż.

Kolano. Zegnij kolano!

Zrobiła to powoli, milimetr po milimetrze. Ból uderzył jak smagnięcie biczem.

Dalej!

Nie dam rady.

Musisz zgiąć dalej, bez tego nie uda ci się klęknąć. No jazda!

Spróbowała.

Matko Boska, jak boli.

Dalej!

Nierówna walka. Z jednej strony Chiara, z drugiej potwór wbijający ostre kły.

No zegnij to kolano.

Tym razem to nie był ten głosik, co zwykle, tylko głos mężczyzny.

Kurde, Chiara, zegnij je.

Stefano? Jej instruktor narciarski, mistrz i nauczyciel. Był tu gdzieś? Patrzył na nią?

Chiara, chyba mówię wyraźnie: zegnij to kolano, na miłość boską.

– Już, już, zginam – krzyknęła, przesuwając stopę.

Mocniej!

– Ale boli!

Wiem, że boli, ale musisz. No dawaj, dziewczyno, śmiało!

Podciągała nogę, pociła się. Ból nie odpuszczał, ale musiała zgiąć kolano. Musiało jej się udać.

Stefano chciał, żeby to zrobiła.

Świetnie, dawaj dalej!

Ostatni krzyk. Udało się!

Dzielna Chiara, pochwalił ją Stefano.

Dzielna Chiara, powtórzył głosik.

Ciągle ją dręczyły piekące ukłucia bólu, ale to była drobnostka w porównaniu z tym, co przeszła. Wsparta na zdrowej nodze dyszała ciężko i czekała, aż ból osłabnie, żeby podjąć ostatni wysiłek. Podciągnąć się i klęknąć. Ale na razie dała sobie prawo, żeby wypłakać z siebie całe napięcie.

Szary świt, piąta rano, śnieg ciągle padał. Wicekwestor podkreślił ogrzewanie w swoim gabinecie. Palił, zapisując coś w notesie. Kawa z automatu pozostawiła w ustach posmak błota. Zaczynało mu brakować porannych domowych rytuałów kawowych, rogalika w barze i pierwszego skręta, jakiego wypalał na dobry początek dnia wyciągnięty w skórzanym fotelu. Musiał szybko dopaść porywaczy Chiary i odegrać się na nich za te nieprzespane noce. Rozdzwonił się telefon.

O tej godzinie? Komu się chce dzwonić?

- Witam, mówi Baldi.
- Pan też nie może zasnąć?
- Nie, ta sprawa Chiary Berguet zżera mi wszystkie neurony.
- Jakież odkrycia?

– Chyba tak. Niech pan posłucha. Miesiąc temu w Edil.ber doszło do protestów związkowych, bo były opóźnienia w wypłatach i groźba grupowych zwolnień. Wszystkie trzy związki weszły w spór zbiorowy, Berguetowi groziło bankructwo, pozwy i cały ten kram. Tymczasem coś się wydarzyło. Berguet rozwiązał problemy finansowe, zatkał wszystkie dziury w bilansie, Edil.ber odzyskała płynność i stanęła do przetargu w regionie.

- Jak na razie nie widzę...
- Ale ani Cassa della Vallée, ani żaden inny tutejszy bank nie udzielił im kredytu.
- Jest pan pewny?
- Na sto procent. Pytanie brzmi: skąd wytrzasnął forszę?
- Ożeż kurwa... – wymamrotał Rocco.
- Słucham?
- Powiedziałem: ożeż kurwa.

Chwila ciszy.

– Tak, dzielam pana zdanie. – Dopiero wtedy Rocco zorientował się, że prokurator ma zmęczony, zachrypnięty głos. – Ożeż kurwa.

Rozłączył się. W tej samej chwili wszedł Italo z wydrukami zdjęć zrobionymi w sklepie. Rzucił je na biurko. Rocco wstał.

- Muszę zamienić kilka słów z panem Berguetem. – Złapał płaszcz. – Ciągłe pada?
- Nie, przestało. Ale bez obaw, mówię ci, ten śnieg się nie utrzyma.

Utrzymał się, a jakże! Aosta obudziła się pod białą kołdrą. Wychodząc z komendy, Rocco kłął na wszystkie cztery pory roku, na maj, a zwłaszcza na tę ziemię tak omijaną szerokim łukiem przez słońce.

– Zwariować można – skomentował posterunkowy Miniero, dopiero co przeniesiony z Neapolu, gapiąc się w białe zwały zsuwane na pobocza przez miejskie pługi.

Tak nie można, powtarzał sobie Rocco. Nie wolno wystawiać na widok kwiatów, odsłaniać zieleni traw, uwalniać zapachów, jeśli zaraz potem zwija się to wszystko z powrotem, zamyka pod wiekiem chmur. Nie wolno.

Jego volvo na szczęście miało napęd na cztery koła. Odpalił silnik i odjechał.

Samochód Scipioniego stał za zakrętem, naprzeciw willi Berguetów w Porossan. Scipioni zaliczył całą noc obserwacji, pomimo że Rocco zwolnił go do domu.

– Masz, jeszcze ciepłe. – Wsiadając, wręczył mu kawę i torebkę z pączkiem z kremem i kawałkiem strudla.

– Nie może mi tak szef dogadzać, bo urośnie mi brzuch jak u emeryta.

– Czemu nie poszedłeś spać?

– Chciałem sprawdzić, co się dzieje. Nie mogę przestać myśleć o tej dziewczynie. – Odkręcił termos z kawą i nalał do kubka. – Dla pana też?

- Nie, dzięki, już piłem. Fajny, co nie? – Wskazał na śnieg.
- Ja go lubię, już panu mówiłem. Wolę śnieg od morza.

Rocco spojrzał, pozostawiając wypowiedź bez komentarza.

- Genialny ten pączek. – Scipioni zachwycił się po pierwszym kąsie.
- Cały jesteś w cukrze.

Zaśmiał się i znów ugryzł.

– Przez całą noc na parterze paliło się światło.

Wskazał głową na willę. Drzewa w ogrodzie uginały się pod śniegiem. Na asfalcie ledwo widniały ślady opon.

- Parter, więc w salonie.

– Kpiąt tmtn drg... – wybełkotał Antonio.
– Przełknij i powtórz, nic nie rozumiem.
– Koło piątej przyjechał ten z bródką, ten, co jeździ audi TT.
– Cerruti.
– Tak. Siedział godzinę. Wyszedł dziesięć minut temu z plikiem papierów pod pachą.
– Świetna robota, Antonio, spadaj do domu.
– Jak to? Dostałem kawę, już jestem obudzony. – Nagle, jakby zamienił się w wyzła, zaczął węszyć. – Śmierdzi tu moim potem, ale nie czuje pan zapachu trawy?
– Jaaa? Nic nie czuję. – Rocco przybrał swoją najbardziej niewinną minę.
– A jednak. Jak to możliwe?
– Może to żywica topi się od śniegu. Idę do Berguetów. Trzymaj się. – Klepnął policjanta w udo i wysiadł, zostawiając go z resztkami śniadania.
– Rusz dupę, już pora – burknęła głosem zdartym przez czterdzieści papierosów dziennie. Nie usłyszała odpowiedzi. – No już! – Kopnęła w zakurzony materac na podłodze.
Enzo otworzył jedno oko.
– Która godzina?
– Taka godzina, że masz wstać i wypierdalać stąd.
Podciągnął się. Światło wpadające przez przymknięte okiennice ledwo oświetlało pokój. Szyby popękane w paru miejscach pozaklejano taśmą. Tu i ówdzie odklejała się tapeta.
– Masz jakąś kawę?
– Kup se w barze. Ja muszę iść. Kiedy wrócę, ma cię tu nie być. – Odwróciła się. Enzo ledwo dostrzegł znikający w przejściu szlafrok w czerwone kwiaty. Otworzył drugie oko.
– Pięknie dziękuję – krzyknął, ale nie odpowiedziała.
Zdjął z siebie stęchłe przykrycie. Oparł stopy o podłogę, przetarł oczy. Nie było wcale tak łatwo wstać z tego materaca. Przesunął się w stronę krzesła, które robiło za nocny stolik, złapał za nie i wstał. Zakręciło mu się w głowie. Odetchnął głęboko, zczekał, aż mu przejdzie, wyszedł z pokoju. Zajrzał do kuchni. Kobieta płukała brudne musztardówki i szklane talerze.
– Roberta, no weź, nawet kawki Enzo nie zrobisz?
Odłożyła szklankę na plastikowy stojak.
– Słuchaj, kończyłam gimnazjum, więc umiem liczyć. Brakuje trzech lat, żeby cię wypuścili. Skąd i dlaczego żeś się tu zjawił, nie chcę wiedzieć. Nie widziałam cię. Ale noc przeszła i teraz masz spadać.
Uśmiechnął się.
– Ale fajkę dasz?
– Rzuciłam – skłamała.
Otarła ręce o szlafrok. Poprawiła farbowane na blond włosy z czarnymi i siwymi odrostami. Enzo przyjrzał się jej uważnie. Nie wyglądała na swoje trzydzieści dwa lata, tylko na piętnaście więcej.
– Posunęłaś się.
– No naprawdę? Co ty nie powiesz? Może dlatego, że od rana do nocy zapierdalałam, myjąc klatki w blokach albo podcierając staruchom dupy. Może dlatego, że nie mam za co nakarmić dzieciaka i że tylko dzięki babci mam chociaż tę norę do mieszkania.
Rozejrzał się po kuchni. Pożółkłe ze starości laminowane meble, dwa krzesła nie do pary, stary telewizor oparty na skrzynkach.
– Nazywasz to mieszkaniem?
– Jest lepiej niż pod mostem albo w pierdlu.
– Nigdy nie miałaś ambicji!
– Za to ty miałaś aż za dużo. Liczyłeś kiedyś? Według mnie więcej lat spędziłeś za kratami niż na wolności.
– Nie mam się czego wstydzić.
Wzięła ze stołu flamastry i zeszyt, odniosła je na starą komódkę z lustrem w przedpokoju.

– Nie? Nie masz się czego wstydzić? To musi być fajne uczucie. – Wróciła do kuchni, złapała mokrą ścierkę i przetarła stół pokryty ceratą w niebieskie kwiaty. – Dobra, teraz wynoś się z mojego domu i z mojego życia.

– Masz pożyczyć dwadzieścia euro?

Spojrzała na niego z wściekłością.

– Wiesz co, zazdroszczę koleżankom, którym ojciec już umarł. Dlaczego? Bo mogą powspominać i zawsze coś miłego się znajdzie. Umarli mają taką przewagę nad żywymi. Nie mówią, nie oddychają, nie śmierdzą. – Rzuciła szmatę do zlewu, zostawiając ojca z tymi słowami.

Drzwi otworzyła Filipinka. Wielkie worki pod oczami, mętne, zmęczone spojrzenie. Nie poznała Rocca.

– Cześć, Dolores. Schiavone, komenda policji w Aoście.

Przepuściła go, tak jakby się spodziewała, że ten człowiek w dziwnym płaszczu i tak kiedyś wróci.

W domu było zimno. Ta sama cisza i ten sam zapach cynamonu co wczoraj. Pietro wszedł od strony kuchni. Miał wciąż to samo ubranie, albo bardzo podobne. Rozpięta koszula bez krawata, niezgolony zarost.

– Panie... – nie pamiętał nazwiska.

– Schiavone.

– Jasne, tak, tak, przepraszam, wie pan, to są trochę takie dni... Chce pan kawy? Proszę się rozgościć. – Zaprosił gościa do salonu. Rocco przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi pod na oko szesnastowiecznym obrazem przedstawiającym narodziny Chrystusa i wszedł do złotej komnaty. Pozłacane ściany, meble, ramy obrazów i lusterek, sznury od zasłon. Wyglądała jak pocięta na wszystkie strony promieniami słońca. Ale słońca nie było ani w tym domu, ani w żadnym innym w Aoście.

– Nawet wody się pan nie napije?

– Nawet.

Pan domu wskazał na jedną z trzech kanap przed marmurowym kominkiem z ornamentem z kiści winogron.

Rocco zapadł się.

– Proszę wybaczyć, małżonka jeszcze śpi.

– Chciał pan powiedzieć: dopiero się położyła.

Pietro popatrzył z wymuszonym uśmiechem.

– Nie rozumiem.

– Nie zastanawia pana, po co przyszedłem?

– Może chodzi o tę sprawę z wczoraj? Ten martwy robotnik?

– Za dwadzieścia siódma?

Pietro spojrzał na zegar.

– Racja, nie ma jeszcze siódmej. – Przeniósł wzrok na policjanta.

– Berguet, dosyć tego udawania. – Zmiana tonu była jak cios w splot słoneczny. – Rozmawiał pan z Chiarą?

Na dźwięk imienia córki zbladł i opadł na kanapę. Ruchem głowy zaprzeczył, schował twarz w dłoniach, rozplakał się.

Rocco głośno westchnął.

– Nie rozmawiał pan ani razu, od kiedy zniknęła?

– Nie.

Weszła Dolores z tacą. Na widok pana domu skulonego na kanapie stanęła jak wryta. Bezszelestnie zostawiła kawę na stoliku i ulotniła się.

– Kto to był?

Pietro odetchnął, sięgnął po kawę i upił łyk.

– Jeśli wie pan, że moja córka zaginęła, to myślę, że wie pan też, kto za tym stoi.

– Nie bawmy się w kotka i myszkę. Czego chcą?

– Pieniądzy.

– Kłamie pan.

– A według pana, czego mogą chcieć?

– Czegoś innego. Podsumujmy sytuację, tak jak ja ją widzę. Moim zdaniem Edil.ber jest w kiepskim stanie i ma problemy z płynnością. Wiem, że kluczowe znaczenie ma dla pana przetarg w regionie, wiem, w jakim banku zaciąga pan kredyty i że ostatnio to nie oni dali panu środki na wyjście z kłopotów.

– No to sporo się pan dowiedział.

– Prawda? W takim razie powie mi pan teraz, kim jest Carlo Cutrì.

Pietro kiwał głową, wgapiony w marmurowy stół. Do salonu weszła Giuliana. Sztruksowe spodnie i golf. Zapadnięte oczy, które wyplakały wszystkie łzy, straszniej niż na obrazach Muncha.

– Dzień dobry! Znowu ten samochód? – zawołała z wymuszonym entuzjazmem.

Rocco wstał z kanapy, wtedy kobieta dostrzegła spojrzenie męża.

– Giuliana, nie trzeba, pan komisarz wie wszystko.

– Wicekwestor.

– Słucham?

– Jestem wicekwestorem.

Giuliana z cichym jękiem opadła na oparcie fotela, jakby ktoś podciął jej nogi. Teraz wyglądała jak oklapły dmuchany materac pod koniec sezonu.

– No więc, kim jest Carlo Cutrì?

– Nie wiem, nigdy go na oczy nie widziałem. Ze mną rozmawiał zawsze Michele.

– W takim razie niech pan opowie, kim jest Michele Diemoz.

– Miałem z nim kontakt, to facet z tej okolicy.

– Dał panu pieniądze?

– Tak. Zapośredniczył, pomógł mi dostać pożyczkę.

– Ile?

– Najpierw pięćset tysięcy. Potem jeszcze siedemset.

– Oni chcą z powrotem ponad trzy miliony – odezwała się Giuliana ze łzami w oczach.

– Oni, czyli kto?

– Nie znam ich, do jasnej cholery! Już mówiłem: nigdy nie widziałem tych ludzi na oczy.

– Z południa?

– Z Cosenzy – uściśliła Giuliana.

Pomimo że siedziała parę metrów dalej, Rocco miał wrażenie, że czuje, jak przeszły ją dreszcze.

– Czego chcą teraz? Niech pan nie mówi, że pieniądze, bo nie uwierzę.

– Wezmą część udziałów w firmie. Ponad połowę.

– Czyli, jak rozumiem, miałby pan przepisać udziały na...?

– Jeszcze nie wiem. Ktoś zjawi się u notariusza i przejmie kawałek mojej spółki. Która wcześniej należała do mojego ojca. A przedtem do dziadka.

Rocco wstał.

– Nie można do tego dopuścić.

– A co mamy zrobić?

– Dlaczego się pan do nas nie zgłosił?

– I co by to dało? – Pytanie padło zza pleców, zadał je Marcello, który zjawił się w drzwiach salonu. – Niech mi pan powie, wicekwestorze, co by to dało? Jeśli pan chce, mogę od razu odpowiedzieć: nie ujrzelibyśmy już nigdy więcej Chiary. Pana obecność w tym domu nie wróży dobrze mojej bratanicy.

– Założylibyśmy podsłuchy na telefon. Weszlibyśmy do akcji, zakończyli tę historię.

– Weszlibyśmy, akurat! – Pietro podniósł się z kanapy, żeby stanąć twarzą w twarz z wicekwestorem. – A gdzie pan był albo pana koledzy, kiedy wszystkie banki odcięły mi gotówkę? Dostawcy domagali się płatności, a ja miałem pustą kasę i nie wiedziałem, do jakich drzwi zapukać!

– Gdzie ja byłem w tamtej chwili, tego nie wiem, ale wiem, że zwrócił się pan o pomoc do

niewłaściwych osób.

– No dobrze, ale co pan chce zrobić teraz? Mają naszą Chiarę – odezwała się Giuliana.

– Rozmawialiście z nią?

– Jeszcze nie.

– Dzwonili – wtrącił się Marcello, a w salonie zapadła grobowa cisza. – Będziemy rozmawiać z Chiarą po południu.

– Kiedy dzwonił? Gdzie?

– Tu do domu. Pół godziny temu. Męski głos z południowym akcentem.

– No dajcież sobie pomóc. Do pani się zwracam. Założymy podsłuch i...

– Nie! – krzyknęła Giuliana. – Mają moje dziecko. Zdaje pan sobie sprawę? Mogliby jej...

– Znow się rozplakała.

Podszedł do niej mąż.

– Panie Schiavone, mówię jako głowa rodziny. Już postanowiłem. Oddam te udziały, oddam wszystko i wycofam się z biznesu, byle odzyskać Chiarę.

Rocco podszedł do okna. Znowu padał śnieg.

– Nie może się pan wycofać, oni pana potrzebują. Po co im kawałek spółki bez właściwych znajomości, bez pana kompetencji? Nie, pan się z tego nigdy nie wykaraska. To jak ruchome piaski. Dopóki będzie pan potrzebny, będą trzymać pana przy życiu. Zjedzą pana po kawałku i dopiero jak uznają, że mają dosyć, odpuszczą. Ale wtedy będzie pan już jak szmata do podłogi. Rozumie pan? I jeszcze jedno. Może nie wyglądam, ale też mam zasady. Jak mam się zachować wobec takiego przestępstwa? Wrócić do biura jak gdyby nigdy nic?

– Takie są Włochy – orzekł sentencjonalnie Marcello.

– Gównno nie Włochy, panie Berguet – wrzasnął Rocco.

– A co? Uraziłem pana poczucie sprawiedliwości?

– Tak, uraził pan. I do tego proszę dodać, że nie lubię, jak się mnie robi w wała. Staję się wtedy bardzo nerwowy. Na razie nie chodzi mi o sprawiedliwość, ale o to, że ktoś próbuje mnie wykiwać. Nie dam się. Ani przez takich ludzi jak wy, ani przez tych paru zasranych mafiosów. Mam nadzieję, że jasno się wyraziłem.

Długimi krokami ruszył w stronę holu.

– Proszę nie działać pochopnie. Chodzi o życie mojej córki.

– Nigdy nie działałam pochopnie, proszę pani. O jedno tylko was proszę: dajcie znać, jak porozmawiacie z córką. Nie róbcie niczego, zanim nie usłyszycie, że jest żywa i w dobrym stanie. Rozumiemy się?

Pietro Berguet potwierdził.

– Macie zażądać rozmowy z nią. Dopóki to się nie stanie, żadnych ustępstw. Zaufajcie mi, to jedyna droga, żeby odzyskać ją żywą.

– Wie pan co? – Giuliana spojrzała mu prosto w oczy. – Od kiedy pan wszedł do tego domu, poczułam smród. Smród śmierci i nieszczęść.

– Śmierci? A co pani wie o śmierci?

Udało jej się! Zrobiła to. Udręczona bólem, zapłakana, stała na nogach. Wsparta o ścianę, ale na nogach.

Rzuciła się w stronę kapiącego kranu. Każdy krok był jak dźgnięcie sztyletem, ale powoli przyzwyczajała się. Próbowała odkręcić go zębami, ale się nie udało. Zlizywała łapczywie krople spadające co cztery sekundy każda. Woda była żelazista w smaku, ale była wodą.

A co będzie, jak nie jest pitna? – zapytał głosik.

– Gównno mnie to obchodzi.

Ból odpuszczał, tylko kiedy stała nieruchomo przy ścianie z całym ciężarem wspartym na zdrowej nodze. Była w stanie przechylić głowę tak, żeby dostrzec odłamek krzesła wbity w jej mięsień jak nóż w masło. Krew ściekła jej po udzie i łydce aż do buta. Ciemna, zaschnięta strużka. Krwawienie ustało.

Obserwowała okienko w górze. Zakryte do połowy śniegiem. Śnieg! Dobra nasza! Nie jestem daleko od domu, tylko w Aoście w maju może padać śnieg. Jestem blisko domu, blisko domu. Teraz ręce. Muszę uwolnić ręce. Przejrzała rupiecie na regale. Jakieś żelastwo, drewniane skrzynki, ale nic, co pomogłoby w przecięciu plastikowych opasek krępujących nadgarstki. Popatrzyła na stare drewniane drzwi.

Mogę spróbować je wyłamać. Walnę ze dwa, trzy razy i może ustąpią.

Kark sobie skręcisz.

– A wcale nie. Wcale nie.

Lustrowała pomieszczenie. Słup, do którego ją przywiązali, był u dołu nadkruszony. Wystawały z niego pręty zbrojeniowe. Może one do czegoś się przydadzą?

Do czego? Żeby przepiłować plastik? Niemożliwe.

W połowie słupa ciągle zwisał worek, zaczepiony o gwóźdź. Jutowy worek, taki na ziemniaki. Drzwi były o jakieś pięć metrów od umywalki, przy której przystanęła, żeby odetchnąć i zlizać z kranu krople wody. To był jedyny sposób na ocalenie: wyważyć te stare przeżarte przez korniki drzwi.

Muszę tam dotrzeć. Ale bez podpierania ciężaru ciała na zranionej nodze.

Zaczęła powoli przesuwając się w stronę drzwi.

– We wszystkim należy posuwać się krok po kroku do przodu, prawda, Stefano? – odezwała się do swojego instruktora i po raz pierwszy, od kiedy się tu znalazła, zrobiło jej się lżej.

Pomyślała o Maksie. Gdzie jest ten głupek? W domu? Co robi? A mama i tata? Szukają mnie? Ktoś mnie w ogóle szuka? A może o mnie zapomnieli?

Nikt tu się nie zjawi. Nie rozumiesz tego? Nikt.

Rozumiem. Jasne, że rozumiem.

Spojrzała na drzwi. Przygryzła wargi. Policzyła do trzech i odeszła od ściany. Pierwszy skok na zdrowej nodze, ukłucie bólu w lewym udzie.

Zacisnęła pięści, zęby i oczy. Drugi skok. Drugie ukłucie bólu. Nie zniknął, tylko przyczał się w cieniu, jak drapieznik gotowy znów dopaść i ugryźć. Trzeci skok na zdrowej nodze i trzeci raz przesywający ból, nakładający się na poprzednie, potęgujący się do kwadratu.

Metr od ściany, pozbawiona oparcia, musiała iść dalej. Była w połowie drogi. Powrót byłby równie trudny, jak kontynuacja. Znów skoczyła.

Przeszył ją niewyobrażalny ból. Nie wytrzymała, to było ponad siły. Nawet ponad siły hardej Chiary Berguet. Tej, która nigdy się nie poddaje i zawsze wie, jak wyjść z tarapatów, która zawsze ma wokół siebie wianuszek chłopaków. Tej, która ma ręce przywiązane do oparcia krzesła, która załamuje się i upada na ziemię, bo już prawie oślepla od bólu i wszystko wiruje jej przed oczami. Właśnie ona, Chiara, leży teraz na podłodze jakiejś kanciapy w górach powyżej tysiąca metrów i rzyga zielonkawą ciecżą, podczas gdy na zewnątrz ciągle pada śnieg.

– Przyszedł pan po śpioszki? – odezwała się radośnie Melina. Rocco nie odpowiedział. Skierował się prosto do drzwi prowadzących na zaplecze.

– Dokąd pan idzie? Tam nie wolno.

Wszedł do magazynu, który nawiedził poprzedniej nocy. Kluczając wśród pudeł, dotarł do biurka, przy którym siedział facet z bródką.

– Kim pan jest? Co to za najście?

Rocco złapał za pudło, rozerwał je, na ziemię pospadały opakowania z komórkami.

– Michele Diemoz?

– To ja, ale co jest, do kurwy...

– Przepraszam – nadbiegła Melina. – Nie udało mi się go zatrzymać.

– Wicekwestor Schiavone.

– Policja? Świetnie się składa. Właśnie tej nocy mieliśmy włamanie...

– Stul pysk! Jedziemy na komendę.

Michele spojrzał wyzywająco.

– Tak? A niby dlaczego?

– Pokaż mi, gnoju, faktury zakupu i dokumenty transportowe wszystkich tych komórek. I tych zestawów głośnomówiących, które tam widzę. Albo tych czajników.

Michele złapał za komórkę w kieszeni.

– Nigdzie z panem nie jadę.

Rocco dopadł go i wytrącił telefon z ręki.

– Chcę zadzwonić do adwokata i...

Dopiero kiedy głowa odskoczyła mu w stronę ściany jak piłka, zrozumiał, że dostał sierpowego o sile lokomotywy. Ból dotarł do świadomości dwie sekundy później. Rocco był tak szybki, że facet nie ujrzał nawet jego pięści. Potem mężczyzna poczuł, jak policjant chwytą go za kark i z ogromną siłą wlecze w stronę wyjścia. Kręciło mu się w głowie, w prawym oku widział czerwoną plamę.

– Melina, na pomoc! – krzyczał, tak jakby grubaska mogła jakoś zatrzymać ten żywioł.

Dziewczyna stała przestraszona w kącie z rękoma splecionymi przed sobą. Kiedy Schiavone przechodził obok, wlokąc jej szefa, skuliła głowę w ramionach.

Na zewnątrz odzyskał trochę rezon.

– Zostaw mnie pan. Przysięgam, że złożę skargę...

Rocco zamiast odpowiedzi strzelił go otwartą dłonią w kark. Jak sztubaka, który nabroił.

– Morda w kubel, idziemy. – Wepchnął faceta do samochodu.

– To jest porwanie!

– Nie próbuj nawet otwierać, jest blokada.

Michele rzucił się na wicekwestora, drapiąc go po twarzy. Jednym ciosem łokcia w żebra Rocco usadził go i zmusił do gorączkowego łapania powietrza. Potem uderzył jego głową o deskę rozdzielczą. Michele Diemoz stracił przytomność.

– Patrz, co żeś narobił! – odezwał się do nieprzytomnego.

Twarz właściciela sklepu Berbeluszek została wgniecenie w plastiku. Będzie musiał oddać wóz do warsztatu.

Deruta zamknął Diemoza w celi. Rocco czekał na Itala przed komendą. Chodniki i ulice były już zamiecione, ale niebo wyglądało, jakby chciało znów rzygnąć śniegiem. Pierron wyjechał zza rogu, pędząc sto dwadzieścia na godzinę, i wyhamował tuż przed nim, błoto spod kół trysnęło na spodnie Rocca.

– Nie możesz uważać?

– Przepraszam. Ochlapałem cię? Sądząc po butach, raczej tak.

– Mało śpię, mój sówi rytm biologiczny poszedł w cholerę, czuję się skołowany, jakby mnie dopadł jet lag po locie z Tokio, więc raczej jestem nerwowy. – Sięgnął po kopie rejestru dłużników sklepu Berbeluszek, które Italo mu podawał.

– To jest to, o co prosiłeś.

– Super. Kto siedzi w sklepie?

– Scipioni i Casella.

– No to biegnę do prokuratora. Twoje fotki już są niepotrzebne, mamy oryginał. – Pokazał mu rejestr i ruszył w stronę swojego volvo. – Podejdz i sprawdź, czy ten kretyn Deruta pamiętał, żeby zamknąć celę na klucz.

– A potem?

– Czekaj na sygnał ode mnie. A propos, odkryłeś może, gdzie sprzedają clarksy?

– Jeszcze nie.

W przemoczonych butach i z uporczywym bólem w skroniach siedział pod drzwiami prokuratora Baldiego już dziesiątą minutę. Jak zawsze bawił się w odszukiwanie dziwnych wzorów na drewnie. Za każdym razem widział coś innego. Pewnie z powodu zmęczenia tym razem nie widział nic. Może tylko łeb psa, ale pod innym kątem wyglądało to jak armata. Ścisnął w dłoniach rejestr i nerwowo machał prawą stopą.

– Już jestem, drogi Schiavone – usłyszał za plecami. Baldi nadchodził korytarzem, podpisując w locie jakieś papiery, które podsuwał mu asystent. – Co nowego?

Rocco wstał, gdy Baldi, podpisawszy ostatni dokument, odesłał asystenta. Weszli do środka. Schiavone podał mu rejestr.

– Potrzebuję nakaz zatrzymania na nazwisko Michele Diemoz oraz nakaz przeszukania sklepu Berbeluszek, gdzie znalazłem ten rejestr.

– Zaraz, zaraz, żeby dobrze zrozumiał: potrzebuje pan nakazów na coś, co i tak już pan zrobił?

– Tak.

Baldi trzasnął papierami o biurko i wybuchł.

– Do kurwy nędzy, co panu mówiłem? Co mówiłem? Dalej pan działa na własną rękę, czy, jak to się mówi w pewnych bliskich panu kręgach, na rympał!

– Proszę mnie wysłuchać, to ważne.

– Milion razy mówiłem: mam wiedzieć zawczasu, co pan robi.

Kątem oka Rocco zauważył, że zdjęcie żony znów było odwrócone. Życie rodzinne prokuratora nie układało się pomyślnie.

– Proszę mnie wysłuchać. Ten sklep służy do prania brudnych pieniędzy. W tym rejestrze znajdzie pan wszystkich dłużników organizacji z tej okolicy.

Nastrój prokuratora natychmiast się odmienił, jak pogoda po gwałtownej, krótkiej burzy.

– Proszę precyzyjniej.

– Zatrzymałem właściciela, ale tylko pod zarzutem paserstwa. To ważne. Rejestr, jaki panu wręczyłem, to dowód na pranie pieniędzy i lichwiarskie pożyczki, których udzielają te skurwysyny. Ale tę wiedzę zatrzymamy dla siebie. – Baldi wreszcie zaczął czytać listę dłużników.

– Mogłem bez problemów zwinąć tego Diemoza, bo oprócz prowadzenia lichwy miał cały magazyn pełen kradzionej elektroniki.

– Dlaczego mamy ukrywać prawdziwy powód zatrzymania?

– Chodzi teraz o to, żeby mocno kopnąć w ul i wkurzyć pszczoły. Nie mogą się zorientować, że ich dopadliśmy, ale mają się obsrać z nerwów. Kto się obsrywa, ten łatwo przegrywa.

– I śmierdzi – dodał prokurator. – Jaki mamy plan?

– Znaleźć dziewczynę, zanim będzie za późno. Są już umówieni u notariusza na przepisanie udziałów w spółce. Muszę to odwlec o parę dni.

– Jak to pan zrobi?

– Mam pomysł.

– Jeśli zamierza pan zastrzelić notariusza, radzę to jeszcze raz przemyśleć.

– Nie, aż tak daleko się nie posunę.

Prokurator wstał i zaczął przemierzać pokój wielkimi krokami. Był nadpobudliwy i nie umiał usiedzieć na miejscu dłużej niż minutę.

– Rodzice jeszcze nie rozmawiali z dziewczyną. Coś tu nie gra, kapuje pan?

Baldi stanął pośrodku pokoju, poprawił lok i spojrzał mu w oczy.

– Według pana już nie żyje?

– Nie wiem. Ale nie możemy tego wykluczyć.

– Dobra, podpiszę panu te nakazy, ale zamelduje pan komendantowi.

– Jasne, przekonam go, żeby zwołał wielką konferencję prasową poświęconą schwyтaniu szajki paserów. Będzie dumny, opowiadając o udanej akcji policji, a wszyscy dookoła dowiedzą się z gazet i z internetu, że siły bezpieczeństwa wpadły na trop kradzionych towarów.

– Tymczasem nasze skurwysyny...

– ...zaczną trząść portkami, że znaleźliśmy coś więcej niż parę kradzionych komórek.

Prokurator przytaknął.

– Nie podoba mi się pański styl działania i wcale tego nie ukrywam. Ale tym razem przymknę oko. Zrobię to dla Chiary.

– Ile ma lat?

– A bo ja wiem? Ze trzydzieści.

Enzo Baiocchi oglądał berettę kaliber 6,35 milimetra ciągle owiniętą w folię. Numer seryjny był

spiłowany.

– Sporo się napracowała ta dziewczuszka, co?

– Nie wiem. Jeśli mam być szczerzy, nawet nie pamiętam, skąd i dlaczego ją mam – odparł Flavio, drapiąc się po łysej głowie.

Gapił się w okno na piekło ulicznego ruchu w alei Marconiego. Klaksony, pisk hamulców, wycie syren. Kiedy przejeżdżał autobus, trzęsły się szyby.

– Kto chce kawy? – zawołała mama Flavio. Osiemdziesiąt pięć lat na karku i tylko jedno sprawne oko. Flavio spojrział na Enza.

– Nie rozumiem, dlaczego moja stara tak krzyczy. I tak, jeśli jej odpowiesz, to nie usłyszysz.

Enzo wzruszył ramionami.

– No to chcecie tej kawy?

Flavio prychnął i wyszedł z sypialni. Enzo został sam z bronią. Ważył pistolet w dłoniach. Był lekki i poręczny.

– Nie chciałeś tej kawy, prawda? – zapytał Flavio, wracając do pokoju.

– Nie. Z tej spluwy trzeba strzelać z bliska, nie?

– Nie chcę wiedzieć, co z nią będziesz robił. Ale spoko, 6,35 nadaje się do roboty. Możesz schować do kieszeni, nikt nie zauważy.

– Masz coś większego?

– Chcesz dziewiątkę? Jest ciężka, ma cholerny odrzut i nie zmieści ci się do spodni. Spróbuj lepiej z tym gnatem.

Enzo schował berettę do kieszeni džinsów. Mieściła się spokojnie, prawie nie uwierała.

– Wygodna broń, nie ma co gadać. Kiedy ostatnio ktoś z tego strzelał?

– Nie wiem. Raz na jakiś czas czyściłem. Ale lepiej żebyś puknął parę razy w krzakach nad Tybrem.

– Masz do tego amunicję?

– Jasne.

– Ile chcesz?

– Daj dwie stówki i spadaj.

– Kiedy płatność?

– Jak najszybciej.

Enzo popatrzył na kolegę.

– Stary, wczoraj wyszedłem.

– Wiem. – Flavio upychał koszulę w spodniach, co nie było łatwe, bo brzuch wielkości arbuza ciążył mu nad paskiem. – A do tego cię szukają, nie?

Enzo pokiwał głową.

– No i dlatego nie mam kasy.

Flavio wziął głęboki wdech. Kolejny autobus wprawił wszystkie szyby w drzenie.

– Najdalej za tydzień.

– Dobry z ciebie kumpel.

– Chodź, wypijemy kawę. Ale w barze, nie ten syf, co parzy moja matka.

Rozmowa z komendantem była krótka i treściwa. Costa już zwołał konferencję prasową. Niby narzekał, że nie lubi zadawać się z „gazeciarzami”, ale jeśli coś nadawało sens egzystencji tego wysokiego rangą funkcjonariusza państwowego, to smak triumfalnego panowania nad pismakami. Nie przepuszczał żadnej okazji, o ile mógł wystąpić z pozycji niewątpliwej wyższości. Uwielbiał patrzeć, jak wbijają wzrok w jego usta. Na razie jako jedyny znał szczegóły szybkiej akcji swojego zastępcy. Żaden z tych idiotów nie był świadom, że w mieście działał tak duży ośrodek paserski. To on dopiero miał im wszystko opowiedzieć, potem pobiegną do redakcji i przepiszą na swoich komputerach jego własne słowa. Była to dla niego słodka zemsta na tych paskudnych kreaturach, będących jego zdaniem na drabinie ewolucji tylko szczebel wyżej od ameby. Powód był prosty: wiele lat temu żona puściła go kantem dla dziennikarza „Stampy”. Od tamtej pory Costa przeniósł swoją nienawiść na całą kategorię

zawodową, bez względu na wiek, płeć i wyznanie.

– Zgadzam się z panem, Schiavone, trzeba działać dyskretnie, ale zdaje pan sobie sprawę, czego ode mnie oczekuje?

– Proszę tylko o kilka dni zwłoki. Kilka dni.

Notariusz Charbonnier podrapał się za uchem, ciągle pociągając z wygasłej fajki.

– No nie wiem, nie wiem. Co mógłbym im powiedzieć?

– Że ma pan na karku rutynową kontrolę skarbówki.

– Mało wiarygodne. Jest pan absolutnie pewny?

– Dziewczyna została porwana. Uwolnią ją tylko, kiedy Pietro Berguet zrzeknie się udziałów w spółce.

Notariusz odłożył fajkę i nacisnął guzik w telefonie.

– Graziella, proszę mi przynieść akta spółki Edil.ber.

– Oczywiście – odpowiedziała sekretarka przez interkom.

– Wie pan co, Schiavone? Mam prawie siedemdziesiąt lat i jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

Myślałem, że sobie spokojnie dotrwam do emerytury, tymczasem...

– Tymczasem...

– Znam pana. Czytam gazety i wiem, że z pana jest dobry policjant. Ale rozumie pan? Będę musiał uzgodnić to z komendantem i...

– No właśnie proszę, żeby pan tego nie robił. Jak się to wszystko rozniesie, to największe ryzyko ponosi ta dziewczyna. Ma dopiero osiemnaście lat.

Graziella weszła z teczką, położyła ją na biurku notariusza i błyskawicznie zniknęła. Enrico Maria Charbonnier zaczął uważnie studiować zawartość teczki.

– A więc beneficjentem transakcji jest niejaki Ugo Montefoschi, prezes spółki budowlanej Calcestruzzi Varese.

– To tylko słup. Już panu mówiłem, kto za tym całym szajsem stoi.

– Od razu mi się to wydało dziwne, wie pan? Edil.ber miała zły okres, ale teraz, dzięki przetargowi w regionie, przychody powinny się podwoić. Po co w takiej chwili zrzekać się udziałów? Ale ja tylko wykonuję swoją pracę, nawet kiedy coś wydaje mi się niejasne. Pietra Bergueta na oczy tu nie widziałem. Sprawę załatwiał ten facet z wypielęgowaną bródką.

– Cristiano Cerruti?

– Tak, to chyba prawa ręka Bergueta.

– Co jeszcze pan pamięta?

– Pośpiech. Zawsze się koszmarnie spieszył, jakby uciekał przed niebezpieczeństwem. Nie podobało mi się jego zachowanie. Arogancki, obcesowy, rozmawiał ze mną i jednocześnie z kimś przez komórkę. Ciągle ze słuchawką w uchu.

– No to pomoże mi pan?

Enrico Maria Charbonnier sapnął.

– Żąda pan ode mnie czegoś wbrew deontologii mojego zawodu.

– Ja tylko proszę, żeby mi pan zaufał i dał trochę czasu.

Notariusz znów sięgnął po fajkę.

– No nie wiem, nie wiem. Skarbówka, powiada pan?

– Jeśli pan chce, mogę załatwić, żeby policja skarbową naprawdę się u pana zjawiała na kontrolę.

Notariusz wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Fikcyjną kontrolę, oczywiście.

– Ma pan dzieci, Schiavone?

– Nie.

– A ja tak. Trójkę. I dwoje wnucząt. Jedno z nich jest w wieku tej Chiary. Zrobmy tak: nie ma żadnego oficjalnego dochodzenia, ale ja muszę mieć jakąś podkładkę. – I od razu chwycił za słuchawkę.

– Dzień dobry, mówi notariusz Charbonnier. Połączy mnie pani z bratem? Dziękuję, zaczekam.

Nabił fajkę. Rocco nie mógł się doczekać, aż ją wreszcie zapali, bo wtedy mógłby swobodnie,

bez pytania o zgodę, zapalić swojego camela.

– O, się masz Alfredo. Mówi Enrico. Potrzebuję przysługi. Widziałeś moją ostatnią morfologię krwi? Coś nie tak? – potakiwał głową. – Hm, nie lepiej, żebym się w trybie pilnym położył do szpitala na dalsze kontrole? Wiesz, cholernie tego potrzebuję. Mówisz, że choćby i dziś? Racja. Tak ściśle, to co mi jest? Migotanie? Świetnie, doskonale, to na razie, pa.

Rozłączył się i wreszcie zapalił fajkę. Dopiero po trzecim wdechu spojrzął na Rocca, który już wetknął sobie do ust papierosa. Gestem dłoni pozwolił mu zapalić.

– No coś takiego, dziś rano miałem krew w kale!

– Naprawdę?

– Tak, i do tego migotanie zastawek, chociaż łykam codziennie flekainid. Najrozsądniej będzie, jeśli położę się na trzy dni w klinice mojego brata. To świetny kardiolog. W moim wieku wzrasta zagrożenie udarem.

– Lepiej nie żartować z tymi sprawami.

– Dopalę fajkę i poproszę, żeby mnie Graziella podwiozła do szpitala.

– Ja mogę pana podwieźć.

– Nie, proszę się nie kłopotać. Im mniej nas widzą razem, tym lepiej. No żeby diabli ich wzięli, po co nam był taki pasztet.

Kłęby dymu z fajki wypełniały gabinet pachnący szlachetnym drewnem i mchem. Kiedy dym się rozwiął, Rocco spojrzął w poważną twarz notariusza.

– Niech pan się postara przywieźć Chiarę do domu. Żywią, o ile to możliwe.

Rocco uściskał mu dłoń i wyszedł.

Via Tiburtina była jedną z dróg konsularnych, którą w starożytności Rzymianie jeździli do Tivoli, gdzie znajdowały się największe wille patrycjuszów. Dalej prowadziła przez Ostię Aterni do Pescary.

Dziś już nie nosi oznaczenia drogi konsularnej, lecz zwie się krajową, poza tym jej trasa prawie wcale nie uległa zmianie, podobnie jak jakość nawierzchni. Zaczyna się w Rzymie w okolicy dworca Termini, przecina peryferie i dopóki człowiek nie wyjedzie daleko poza obwodnicę, posuwa się nią powoli niczym zapchaną rurą.

Na przykład tak jak Enzo Baiocchi, który jechał nią teraz skradzionym godzinę wcześniej fordem.

Wolał tę drogę od autostrady A24, której współcześni rzymianie używają, żeby szybko dotrzeć do Abruzji. Mniej ruchu, mniejsze ryzyko nadziania się na patrol policji. Samochód okazał się starym rżchem, w dodatku z prawie pustym bakiem. Silnik powyżej trzech tysięcy obrotów zaczynał koszmarnie wyć. Enzo zostawił już daleko w tyle miasto i rozległe osiedla za obwodnicą. Chaos, zgiełk i wielkie bloki stawały się wspomnieniem. Wzdłuż drogi zaczynały się wiejskie widoki. I wreszcie ruch zmalął.

Lampka rezerwy paliła się już od dziesięciu minut. Musiał zatankować. Po prawej mignął mu znak zapowiadający stację za trzysta metrów. Zbiegły więzień uśmiechnął się, wcisnął na głowę czapkę bejsbolową znaną na tylnym siedzeniu i zapalił papierosa. Wrzucił kierunkowskaz i zjechał na stację. Pasowała mu: dookoła żadnych domów, same pola i jakieś rudery na horyzoncie. Żaden inny samochód nie tankował. Zaparkował przed dystrybutorem, podszedł do niego leniwie facet koło siedemdziesiątki.

– Ile?

– Do pełna.

Facet odpiął pistolet i zaczął nalewać benzynę. Enzo wysiadł, rozejrzał się, spojrzął na blaszany barak pełen akcesoriów i olejów. Pusty. To znaczy, że ten stary pracował tu sam.

– Gorąco, nie? – zagadał.

Tamten nie odpowiedział, odwiesił pistolet i podszedł po zapłatę.

– Pięćdziesiąt euro.

Enzo wsadził rękę do kieszeni. Wyjął berettę i kolbą mocno uderzył w skroń starego, który nawet nie jęknąwszy, padł jak worek kartofli. Baiocchi pochylił się nad ciałem, odpiął saszetkę od paska,

otworzył ją, była pełna banknotów. Zadowolony wszedł do samochodu i ruszył dalej w stronę gór.

Z baraku wybiegł kundelek bez obroży, piszcząc, lizał po twarzy swojego pana, ale ten nie dawał znaku życia.

– Chcę wiedzieć, czy się odezwali. Czy rozmawiał pan z córką. – Rocco ścisnął kurczowo słuchawkę, jakby się bał, że wypadnie na podłogę.

Po drugiej stronie Pietro Berguet ciężko dyszał.

– Tylko chwilę. Rozmawiali z moim bratem. Chiara powiedziała jedynie: czuję się dobrze. Potem ktoś zabrał jej telefon i się rozłączył.

– Przynajmniej tyle. Wiemy, że żyje.

– Komisarzu, powtarzam panu...

– Ja też panu powtarzam: jestem wicekwestorem.

– Wicekwestorze, powtarzam panu: załatwmy tę transakcję, odzyskam córkę a potem weźmiemy się do działania, jeśli policja jeszcze będzie mogła mi w coś pomóc.

– Tego pan chce?

– Chcemy tego ja i moja żona. Błagam, niech pan na razie trzyma się z daleka. Błagam na kolanach.

– Dobra, Berguet, zgoda. No więc czekam na pana sygnał, żeby postawić na nogi całą komendę.

– Rozłączył się i spojrzał na Itala. – Rozmawiali, podobno dobrze się czuje. A jak się czuje nasz kochany Diemoz?

– Wierzga i wrzeszczy, że jest niewinny. Dzisiaj go przewożymy do aresztu śledczego.

– Świetnie.

– Działamy dalej. Caterina przyjdzie do pracy?

– Tak, już jedzie.

– Poślij ją, żeby prześwietliła spółkę Calcestruzzi Varese oraz niejakiego Uga Montefoschi.

Porywacze sądzą, że najdalej jutro podpiszą umowę u notariusza. Mamy trzy dni, żeby się w tym wszystkim rozeznąć. Antonio, co jest?

– Przywiozłem tę dziewczynę ze sklepu, Melinę. Płacze i mówi, że o niczym nie wiedziała.

– Puśćcie ją, wie mniej niż D'Intino.

Nie skończył nawet wymawiać nazwiska podwładnego, kiedy ten wsadził głowę w uchylone drzwi.

– Szefie, można na moment?

– Co jest? Nie teraz, D'Intino, nie mam czasu. Jak chcesz iść do domu, to idź.

– Paskudna sprawa. Ale to bardzo.

Rocco wznosił oczy do nieba.

– Można łaskawie wiedzieć, co znowu?

– Znaleźli martwe zewłoki.

– Że co? – Rocco spojrzał na Itala.

– Chyba mu chodzi o trupa, szefie. Znaczy zewłoki.

Policję ściągnęła dozorczyńca Rosa. Weszła do mieszkania Cristiana Cerrutiego, żeby posprzątać, i znalazła go na ziemi w jadalni. Na dywanie wielka czerwona plama, stojący obok szklany stolik rozbity w drobny mak. Wypielęgnowana bródka cała we krwi, dookoła głowy odpryski mózgu. Rosa siedziała na klatce schodowej, blada jak Chrystus na krzyżu, i ocierała oczy spuchnięte od płaczu. Rocco kręcił się po pokojach w oczekiwaniu na drogiego mu, choć gderliwego Fumagallego, przegoniwszy wcześniej Casellę, który zwykł rozsiewać na miejscu zbrodni swoje DNA. Plamy krwi były nawet na ścianie salonu i na olejnym obrazie pędzla Schifano. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że obraz zyskuje dzięki tej czerwonej smudze. Mieszkanie było niewielkie, urządzone z japońskim minimalizmem. Nieliczne cenne meble, piękna, nieskazitelnie czysta kuchnia, żadnego zbędnego bibelotu czy książki. Wyglądało bardziej na wnętrze z katalogu niż mieszkanie. Sypialnia za to była nadzwyczaj obszerna. Cristiano nie spędził tej nocy sam. Na ogromnym łożu leżały wygniecione poduszki, po bokach rozrzucone koce, na prześcieradle widać było jeszcze ślady dwóch ciał. Na komódce leżała para okularów i książka

Krakauera. Po przeciwnej stronie taca z dwiema filiżankami i nadgryzionym herbatnikiem. Także w łazience, która przypominała luksusowy hotel, panował obsesyjny ład, jeśli wykluczyć szczoteczkę opartą o umywalkę i golarkę ze śladami pianki.

Jedyne, co było pewne, to że ta zbrodnia, kolejna, która spadła nagle na Rocca, należała do tej samej historii, tego samego wątku, nie powiększała zatem chaosu w jego życiu. Dosłyszał szmery ze strony salonu. Przyjechał Fumagalli. Tym razem też się nie przywitani. Patomorfolog pochylony nad zwłokami wciągał lateksowe rękawiczki.

– Niezły cios – ocenił, wsuwając palce w otwartą ranę w tylnej części czaszki, z której dobiegł odgłos, jakby ktoś rzucał mięsem o blat. Rocco siłą woli zacisnął żołądek. – Szybki, celny cios.

– Nie mógłbyś sobie darować wtykania palców w rany i wydawania przy tym ohydnych dźwięków?

– I kto tu uczy mnie dobrych manier! Kim był ten biedaczek?

– Cristiano Cerruti, prawa ręka Pietra Bergueta, prezesa Edil.ber.

– A wiesz, dlaczego go tak załatwili?

– Mogę się jedynie domyślać.

– Wetknę mu termometr, sprawdzimy, o której umarł.

Rocco nie chciał asystować przy tej czynności i dalej się rozglądał. Dostrzegł wideodomofon, coś, co kiedyś musiał sobie wreszcie zamontować w domu, oraz drzwi tak opancerzone, jakby to był bank.

Wszystko znajdowało się w doskonałym porządku. Pootwierał kilka drzwiczek w kredensie, talerze, szklanki, serwety, wszystko równiutko poukładane wedle kolorów. Kiedy odwrócił się, zobaczył, jak Fumagalli grzebie w lakierowanej na czerwono chińskiej szafie. Macał i odkładał jakieś metalowe przedmioty.

– Co to?

– Rocco, pomogę ci troszkę, przyda ci się pomoc. Rozwiązałem kwestię narzędzia zbrodni – mówił, studiując z uwagą worek golfowy oparty o ścianę.

– Czemu tak sądzisz?

– Brakuje drivera, czyli kija używanego do pierwszego uderzenia. Żadnemu graczowi nie może zabraknąć go w zestawie.

– Jak wygląda?

Alberto wyciągnął kij.

– Tu na końcu ma ogromną główkę, ale nie jest ciężki. – Z wielką zręcznością zamachnął się kijem w powietrze. – Cios czymś takim w potylicę odsyła cię na tamten świat, nawet jak masz kask.

– A skąd wiesz?

– Kochany, rozmawiasz z graczem drugiej kategorii, który wygrał turnieje w Villa Olona i La Pinetina.

– Szybciej by było, jakbyś powiedział: gram w golfa. Co mnie obchodzi twój ranking?

– Chciałem wzbudzić zawiść.

– Nie czuję zawiści, mam w dupie golfa. To nie jest sport.

– Jak to nie sport? – oburzył się lekarz.

– Łazisz po łące ubrany jak pajac i walisz kijem w piłeczkę.

– W dwa tysiące szesnastym roku golf powrócił na olimpiadę.

– Przypomnij, bo nie pamiętam: razem z grą w bule?

– Zakuta pała z ciebie, Rocco.

– A propos pały. Jak się nazywa ta, której brakuje?

– Driver.

– Driver zapewne spoczywa teraz na dnie rzeki Dory.

– Albo na jakiś śmietniku, skąd mogę wiedzieć? – Powrócił do zwłok. – Tak, rana może pasować. Zabieram chłopaka do siebie. Jeśli powie mi coś więcej, dam znać.

– Jeśli ci powie? No tak, przepraszam. – Zapomniał, że Fumagalli od ciągłego obcowania

z trupami zaczął z nimi rozmawiać i uważać je za byty ożywione.

Italo, który jak zwykle wolał trzymać się z dala od zwłok, nieśmiało zajrzał przez drzwi wejściowe.

– Szefie, Rosa ma coś do przekazania.

– Kto?

– Dozorczyni.

Kobieta ciągle siedziała na schodach i smarkała w mokrą i przypominającą bezkształtną szmatę chustkę.

– Proszę powtórzyć wicekwestorowi to samo, co powiedziała pani mnie.

Wreszcie przestało jej ciec z nosa, podniosła wzrok.

– Widziałam faceta, który wychodził z domu pana Cerrutiego.

– No i?

– Przeszedł przed moimi drzwiami. Mam małe służbowe mieszkanie na parterze, bo pracuję tu w kamienicy i sprzątam u lokatorów. Na przykład u pana Cerrutiego. Dlatego weszłam tam dziś rano... I go znalazłam. No więc byłam w domu z siostrzeńcem, który przyjechał do mnie, bo zgłosił się na konkurs do pracy w urzędzie regionalnym, może Matka Boska się zlituje i znajdzie dla niego posadę. Położyłam go spać w swojej sypialni, chociaż chciał spać na kanapie, biedaczek. Więc śpię na kanapie, dlatego...

– Oszaleję przez panią. No więc co to za osoba wychodziła?

Wydychała nos i znów zaczęła.

– Wie pan, komisarzu, ja zawsze wiedziałam, że Cerruti kogoś ma. Nigdy nie wchodzili razem bramą z ulicy. On otwierał drzwi do garażu podziemnego, a potem wjeżdżali windą na górę. I tak samo w drugą stronę. Przez to nigdy ich nie zobaczyłam.

– Żył dyskretnie, tak?

– Powiem nawet, że bardzo. Ale może to ważne, żeby pan wiedział.

– Tak, ważne. A co do tego faceta rano?

– Widziałam go od tyłu. Postawny, grubawy taki. Ale na pewno nikt stąd.

– Włosy? Długie, krótkie, jasne, ciemne?

– Nie wiem, miał czapkę i czarną kurtkę. Nic więcej nie pamiętam. Może to był morderca?

– zapytała, zniżając głos.

– Albo hydraulik. Nie wiem. Proszę lepiej wytłumaczyć tę historię z garażem.

– Można dostać się do budynku od strony garażu, ale trzeba mieć klucz albo ktoś musi otworzyć drzwi domofonem z góry.

– Wszyscy lokatorzy tam parkują?

– Ale gdzieżby, są tylko trzy miejsca parkingowe. Jedno ma generał, ale on już dawno nie jeździ, drugie wynajmuje pracownia architektów z pierwszego piętra, trzymają tam swoją furgonetkę, trzecie miał pan Cerruti. Korzystał z garażu, ale głównie żeby wpuszczać kochankę.

Rocco skinął na Itala.

– Chodź, obejrzymy sobie ten garaż. Można zjechać windą?

– Tak, niech pan naciśnie guzik z literką „S”.

Weszli do windy.

– Podejrzewasz, że to ona zabiła?

– Zabił, mój drogi. Zabił.

– Facet?

– Znasz kobiety, które z rana się golą?

Nie ruszała się od wielu godzin. Co jakiś czas otwierała oczy, potem je zamykała.

Spadam powoli, z wysokiego piętra. Bardzo wysokiego. Słyszę bicie swojego serca: powolne, miarowe. Zimno, strasznie zimno. To dziwne. Zaraz się przykryję. Jak to? Nie mam kołdry? Dolores, gdzie jest moja kołdra? Chyba zasnęłam przy otwartym oknie. Idiotka. Muszę wstać i je zamknąć. Nic nie słyhać. Ciągłe pada śnieg? Śnieg wygłusza wszystkie dźwięki. Jest tak cicho, kiedy pada. Nie

słysząc kroków. Tylko świst wiatru i szum drzew. Słyszę wiatr, kroki na śniegu. Spadłam, pewnie dlatego jest mi zimno. Spadłam na śnieg. Gdzie byłam? Stefano, byłam na nartach? Chyba upadłam, zjeżdżając ze stoku. Strasznie boli mnie noga. Jest złamana. Stefano, zobacz, złamałam nogę. Dlaczego nie przychodzisz? Nic nie mówisz? Poszedłeś sobie? Zniknęliście wszyscy, tak po prostu. Jestem zmęczona. Zasnę. Prześpię się pięć minut. Tylko pięć minut, potem się obudzę i wstanę. Wstanę, wrócę do domu. Do domu...

Rocco i Italo rozglądali się dookoła. Garaż był niewielki, lokatorzy używali go głównie do składowania rzeczy. Jak mówiła dozorczyń, stała tam furgonetka z napisem „Studio architektury wnętrz” i dwa puste miejsca.

– Czego szukamy?

– Niczego. Musielibyśmy mieć wielkiego farta. Są takie chwile, kiedy cholernie by się przydał. Widzisz? Morderca przeszedł tędy. To znaczy zaparkował, wjechał windą, zrobił swoje, zjechał z powrotem do samochodu.

– Albo motocykla.

– Albo roweru, cholera wie.

Rocco podszedł do automatycznej bramy wychodzącej wprost na ulicę.

– Ale wiesz co... Jeśli wjechał, bo Cristiano otworzył mu z góry, to jak potem mógł się stąd wydostać?

– Może zabrał klucze Cerrutiego?

– Tego nie otwiera się kluczem. Widzisz? – Wskazał dziwny pięciokątny otwór. – Wkładasz coś w rodzaj sztyftu, który zamyka obwód i podnosi bramę.

– W takim razie zabrał ten pipek z domu Cristiana.

Rocco prychnął.

– O co chodzi?

– Muszę znów pójść na górę do mieszkania.

– No wiesz, wjechać windą na trzecie piętro to żaden problem.

– Ta, jasne. I tam spotkam Farinellogo z Turynu, tego króla upierdliwców, który z pewnością będzie się czepiał.

– Skąd wiesz, że już się zjawił?

– Słyszę go.

Italo wzruszył ramionami. Podchodzili do windy, kiedy na coś nadepnął. Obaj stanęli jak wryci, Italo podniósł nogę. Kawałek przezroczystego plastiku.

– A co to?

Rocco podniósł przedmiot.

– Wygląda na plastik, nie szkło.

– Poliwęglan.

– Mów po ludzku.

– Używa się do nadwozi samochodowych.

– Może wreszcie mamy farta.

– Może.

– Kto nam pomoże go rozpoznać?

– Umberto, kolega z drogówki. Wcześniej był mechanikiem. Na pewno zna odpowiedniego człowieka.

– No to jedź do niego, ale już!

– Dopóki winda się nie zjawi, nigdzie nie pojedę.

Po mieszkaniu Cerrutiego kręcili się dwaj policjanci w białych kombinezonach. Ciało leżało wciąż na miejscu, przykryte płachtą.

– Witaj, Schiavone – dobiegł go zza pleców charakterystyczny głos szefa ekipy kryminalistycznej.

– Wal śmiało, Farinè, co żeśmy tym razem nabroili.

– Na razie nie widzę niczego. A ty dlaczego nie pytasz mnie o żonę?

– Ciągłe jesteście razem?

– Tak – odparł z dumą Farinelli, który tego dnia, nie wiedząc czemu, miał świetny humor.

Odwieczna tajemnica: pani Farinelli, kobieta tak piękna, że w Turynie na jej widok stawał ruch uliczny, dzieliła swoje życie z kimś, kto zdaniem Rocca był kwintesencją przeciętności. Średniego wzrostu, łysy, z twarzy podobny do nikogo. A co najgorsze, całkowicie pozbawiony poczucia humoru.

– Ciągłe razem. Czy to cię jakoś niepokoi?

– Mnie nie. Ale nie rozumiem, dlaczego jej to nie niepokoi.

– Szukałeś czegoś?

– Tak, kluczy do domu. Znaleźliście je?

Farinelli przytaknął.

– Cerruti, bo tak się nazywał, prawda? Był bardzo uporządkowanym typem. Lubię takich, ułatwiają mi robotę. Dwa komplety kluczy w pierwszej szufladzie komody w przedpokoju, tej chińskiej, widzisz tam?

– Nie chińskiej, tylko tybetańskiej.

– Nie udawaj, że się znasz.

– Daj spokój, Farinè. Jeśli chodzi o te sprawy, to mnie nie zagniesz. A jak mnie wkurzysz, to ci jeszcze powiem, ile dokładnie kosztuje. Czy w tych kompletach były takie dziwne pipki?

– Jeden jest. Pytałem dozorczyńni, służy do otwierania...

– ...bramy garażowej – dokończył Rocco.

– Widzę, że już się wywiedziałeś. Mówiła mi, że każdy najemca dostał takie dwa.

– Dwa? A gdzie drugi w takim razie? Może wcale nie był taki porządniś z naszego Cerrutiego.

Ale w odróżnieniu od ciebie wiem, gdzie jest.

Farinelli przechylił głowę.

– No to gdzie?

– Jeśli zabójca jest inteligentny, to wywalił go razem z narzędziem zbrodni. Jeśli jest durniem, to ma go ciągle w kieszeni.

– Szkoda.

– Szkoda czego?

– Ten obraz Schifana. Zabryzgany krwią.

Podeszli do ściany.

– Według mnie zyskał na tym.

– Muszę go zabrać do laboratorium. Może to nawet nie jest krew ofiary. Moje motto: nigdy nie zostawiaj bez odpowiedzi żadnej możliwości.

Wciągnął rękawiczki i zdjął obraz. Ich oczom ukazała się wmurowana kasa pancerna.

– Świetnie, Farinelli.

– Widzisz, że opłaca się być skrupulatnym? Otwieramy ją? – Podeszedł z pękiem kluczy.

Żadnych wartościowych rzeczy, same papiery. Rocco był szybszy od kolegi.

– Daj, tylko popatrzę. – Korespondencja bankowa, stany konta, przelewy. – Former Bank z Lugano.

– Szwajcarski bank, no pięknie. I co tam jest napisane?

– Jest napisane, że nasz drogi denat trzyma tam trzy miliony euro.

– Niezły wynik.

– Ale wiesz, co jest ciekawsze? Z tych trzech milionów dwa miliony dziewięćset tysięcy wpłynęły na konto w zeszłym tygodniu.

Farinelli popatrzył poważnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przelew z innego banku w Lugano. To daje do myślenia, prawda?

– I to jak.

Rocco oddał plik papierów koledze, który zaczął je przeglądać.

- Co robimy z prokuratorem?
- Zajmij się nim. Jesteś pilny i poukładany, pan prokurator lubi ludzi pilnych i poukładanych.
- Już wychodził, ale w ostatniej chwili stanął w drzwiach. – Wyjaśnij mi jedną rzecz: dlaczego masz taki dobry humor? Nigdy taki nie byłeś.
- Bo uwielbiam śnieg w maju. Jest dziwny, mięciutki, przypomina mi dzieciństwo.
- Miałeś w ogóle dzieciństwo?
- Jestem wstrząśnięty. Brak mi słów. Co tu się w ogóle dzieje? – wrzeszczał Pietro Berguet.
- Ktoś z firmy zadzwonił z wiadomością. Giuliana była załamana, leżała jak porzucony koc na jednej ze złoconych kanap.
- Co teraz? Kto to zrobił? Jak to możliwe?
- Prezes Edil.ber chodził w kółko po wielkim salonie.
- Co ja teraz pocznę? Straciłem przyjaciela, w biurze będzie pełno policji, a oni ciągle nie uwolnili Chiary. A co gorsza, notariusz Charbonnier trafił do szpitala. – Popatrzył na żonę. – Co teraz?
- Kiedy wreszcie usiadł, Rocco zabrał głos.
- Proszę dać mi numer komórki Cristiana. Być może łączył się z tego telefonu z zabójcą. To ważne, żebym mógł jak najszybciej zdobyć billingi.
- Tak, oczywiście. – Pietro wstał i poszedł w stronę holu.
- Oni to zrobili? – spytała cicho Giuliana.
- Nie wiem. Tak jak nie wiem, skąd i dlaczego Cerruti miał banku w Lugano konto z trzema milionami euro.
- Giuliana rozdziawiła usta.
- Trzy miliony?
- Tak dobrze zarabiał u was w firmie?
- Pietro, który wrócił do salonu z kartką, odpowiedział.
- Miał naprawdę niezłą pensję... Ale trzy miliony?!
- Z tego, co wiecie, odziedziczył coś ostatnio, wygrał? Stało się coś, co by tłumaczyło taką sumę?
- Nie, absolutnie nie. Cerruti żył sam, miał tylko ciotkę w Marchii, ale nie sądzę... Nie, raczej wykluczam.
- Sprawa robi się coraz bardziej tajemnicza, nie sądzicie? Panie Berguet, zwracam się do pana z całym spokojem i gotowością do wysłuchania, na jakie mnie stać. Kto panu doradził, żeby zgłosić się do tych ludzi w sprawie pieniędzy? Kto panu dał kontakt do Diemoza?
- Pietro zagryzł wargi.
- Na początku to sam bank mi powiedział, żebym sobie poszukał kogoś, kto będzie w stanie mi pomóc. Ale potem konkretnie, sugestia... Nie pamiętam. Pewnego wieczora siedzieliśmy w biurze...
- My, czyli kto?
- Ja i Cristiano. I pojawił się ten Diemoz. Staralem się zrozumieć, co to za jeden, Cristiano zasięgał informacji. Wyglądał na przyzwoitego człowieka, z dobrymi kontaktami w Szwajcarii. Tak, to Cristiano sprawdził, że Diemoz jest godny zaufania. A teraz mi pan mówi...
- Że hodował pan zmię na swoim łonie.
- Pietro ukrył twarz w dłoniach. Giuliana patrzyła spod lekko przymkniętych oczu, były głębokie i groźne.
- Jeśli ten skurwiol, świeć Panie nad jego duszą, działał z nimi, to po co go zabili?
- Jeszcze nie wiem. Nie znam motywu. Może chciał z tym skończyć i zamierzał się do nas zgłosić. Albo...
- Albo? – Giuliana prawie krzyczała.
- Albo to całkiem inna historia i w ogóle nie chodzi o tych z południa. Prywatna sprawa, powiedzmy, że ten, kto zabił Cristiana, może być bardzo bliską mu osobą i między nimi coś się nie ułożyło. A propos tych z południa: odezwali się?
- Giuliana i Pietro popatrzyli po sobie.
- Nie, już nie.

– Zrobią to, żeby się na nowo umówić do notariusza. Skoro Charbonnier trafił do szpitala, musimy zacząć załatwiać wszystko od nowa.

– A moja Chiara? Sama, samiutka, w rękach jakichś... – Giuliana znów uderzyła w szloch.

Mąż podał jej chusteczkę i wyciągnął rękę z kartką do wicekwestora.

– To jest ten numer, o który pan prosił. Cristiano używał tego telefonu do spraw służbowych.

– Dziękuję. Co macie zamiar teraz robić?

Oboje bladzi, złączeni w bezradnym uścisku, spojrzeli na niego. Odpowiedział Pietro.

– Nie wiemy. Czekamy na instrukcje. Cristiano załatwiał notariusza... Nie mam pojęcia, co robić.

– A Chiara?

– Już panu mówiliśmy. Marcello słyszał ją przez sekundę. Wydawało mu się, że jest w dobrym stanie. Nie martwiłbym się o to.

– A ja tak. Jaką macie pewność, że to była ona? Żadnej.

– No więc na co mamy czekać? Na kawałek ucha? – wyrwało się Giulianie.

W tej chwili rozdzwonił się telefon. Berguetowie stężeli, jakby im ktoś wbił w plecy lodowy sztylet. Rocco uniósł rękę.

– Uwaga, powoli! Zachowajcie spokój. Jest tu drugi telefon?

Pietro wskazał na aparat stojący na komódce w stylu Ludwika ileś tam.

– Dobra. Niech pan weźmie bezprzewodową słuchawkę, a ja tamten telefon. Jeśli włączymy je w tej samej chwili, nie zorientują się.

Pietro poszedł po słuchawkę. Dzwonki roznosiły się groźnym echem po domu. Wszyscy patrzyli po sobie oczyma pełnymi desperacji, oczyma, które nie zamykały się od kilku dni.

– Na moje cztery podnosimy – zakomenderował Rocco. – Trzy... Cztery!

– Kto mówi? – odezwał się pierwszy Pietro.

– Co wy tam, kurwa, odstawiacie, co? – odpowiedział daleki, zduszony głos.

– To wy?

– Kto ściągnął policję do twojego biura?

– Zabito pana Cerrutiego.

Giuliana podeszła do męża.

– Chcę usłyszeć swoją córkę!

– Nie zawracaj dupy, stara.

Rocco rozpoznał akcent. Bez cienia wątpliwości Kalabria.

– Żeście ją raz słyszeli. Notariusza wywieźli do szpitala. Będzie nowy. Powiemy który.

– Dlaczego załatwiliście Cristiana...

– Nie pierdol, gównu nas ten palant obchodzi. Zadzwoń najdalej jutro. Berguet, tylko bez głupot. Piśniesz słówko policji i dziewczucha zdechnie.

Klik. Rozłączyli się. Pietro odłożył słuchawkę. Giuliana stała przed nim w oczekiwaniu na wieści jak piesek łaszący się o ciastko.

– Mówił, że zadzwoni w sprawie nowego notariusza. Jutro.

Giuliana wróciła na kanapę, Pietro oparł się o ścianę.

Nie żegnając się, wicekwestor wyszedł z ich domu.

– A co to znów za historia? – wrzeszczał do słuchawki Costa.

Schiavone jechał na komendę i próbował uspokoić zwierzchnika.

– Szefie, zajechaliśmy na miejsce i znaleźliśmy zwłoki Cristiana Cerrutiego.

– Zwołałem konferencję prasową w sprawie szajki paserów, teraz dziennikarze będą mnie pytali o to zabójstwo. A ja nic nie wiem!

– Niech mi pan wierzy, niewiele teraz wiemy. Niech pan im tylko powie, że śledczy wykonują swoje zadania. Śledczy, czyli konkretnie ja.

– Oni chcą więcej, nie mogę stać całkiem bez amunicji, w samych gaciach pod ostrzałem tych gazeciarzy.

– Podesłę panu Pierrona, wszystko opowie, będzie miał pan amunicję. Pierron pracuje ze mną

ramię w ramię, wie wszystko.

– Pan też mi tu zaraz przyjedzie!

Wszystko, tylko nie to, pomyślał Rocco. Konferencje prasowe zajmowały w jego prywatnej skali upierdliwości dziewięty stopień.

– Nie dam rady, szefie.

– Chętnie się dowiem dlaczego. Tylko żadnych bajeczek. Tym razem chcę prawdy.

Może nadeszła chwila, żeby komendant poznał prawdę. Nie można już było dłużej jej ukrywać.

– Jestem w drodze na komendę, za dziesięć minut będę u pana w gabinecie.

– Nie ma mnie tam, jestem w terenie. Teraz niech mi pan powie.

Rocco opowiedział wszystko, nie pomijając żadnego szczegółu... Z wyjątkiem układu z prokuratorem Baldim, układu z notariuszem Charbonnierem, układu z rodziną Berguetów oraz dziwnego przeszukania w sklepie Berbeluszek.

– O, w mordę, co za burdel! – westchnął na koniec Costa.

– Podzielał zdanie, szefie. Proszę, ani słowa prasie, stawką jest życie osiemnastolatki.

– Za kogo mnie pan bierze, Schiavone? Za jednego z pańskiej ekipy Flipa i Flapa? Proszę łaskawie pamiętać, że jestem pana zwierzchnikiem i miał pan obowiązek, powtarzam: obowiązek, informowania mnie o sprawie.

– Od dwóch dni nie śpię, tylko się nią zajmuję. Zapewniam, że nie było moim zamiarem ukrywanie czegokolwiek.

– Gra pan ze mną czy przeciwko mnie?

– Zawsze z panem. Tylko wydawało mi się przedwcześnie, żeby pana alarmować i poddawać tej samej presji, której doświadczam, zanim sprawy się rozjaśnią.

– Niech pan pamięta, że moim klubem jest Genoa. Jestem więc przyzwyczajony do bycia pod ciągłą presją. Proszę zachować sobie takie rzewne kawałki dla jednej z kochanek... – I nagle zmienił ton: – A propos, już gratulowałem udanych łowów?

– Tak, już pan gratulował. Wiem, że dowiedział się pan od piekarza.

– To niech pan sobie takie rzewne kawałki wciska Annie. Ja chcę słyszeć wszystko jasno i po kolei. To już się więcej nie wydarzy, rozumiemy się?

– Rozumiemy się.

– I żeby było jasne: jakby się udało upolować niedźwiedzia, to skórę dzielimy na pół.

– Zrozumiałem metaforę.

– A teraz przez pana muszę taki wstrząśnięty stawić czoło tej pismaczej sforze.

– Niech pan się nie przejmuję. Proszę pamiętać o klubie. Da pan radę!

– To ma być ironia?

– W życiu bym sobie na to nie pozwolił.

– A właśnie że tak. Nie rozumiem, co mnie powstrzymuje, żeby załatwić panu karne przeniesienie.

– Teraz to pan ironizuje. Bo wie pan, że nie marzę o niczym innym.

– Dobrej pracy, Schiavone.

Dojechał na komendę. Z czarnego nieba znów zaczęły spadać na miasto płatki. Popatrzył na chodnik, który wkrótce miał zamienić się w ciasto z białym lukrem.

Caterina Rispoli i Antonio Scipioni siedzieli w jego gabinecie.

– Caterina, jak się masz?

Czerwony nos, podkrążone oczy, twarz osoby niewyspanej.

– Co mam powiedzieć... Za każdym razem, kiedy wyjdę z domu, jest mi gorzej.

– Jak się czujesz w moim pokoju?

– Świetnie. Jest ciepło i przytulnie.

– Zamówić coś dla ciebie?

– Nie, dzięki, już wzięłam sobie herbatę.

– Antonio – Rocco podał Scipioniemu kartkę – to jest numer komórki ofiary. Sprawdź, czy da

się szybko uzyskać billingi ostatnich połączeń.

– A nie mamy komórki? Znaczący tego fizycznego przedmiotu?

– Gdybyśmy mieli, to sam bym sprawdził, nie?

– No tak. Wie pan, to nie takie proste z billingami. Zwykle dają nam plik w formacie csv albo xls, a potem sami musimy to przeczesać SQL-em albo skonwertować. Mijamy nadzieję, że mają chociaż apts2000.

Rocco popatrzył na niego cielecymi oczyma.

– Za cholere nie rozumiem.

– Powiem prościej. Operatorzy komórkowi przysyłają nam pliki pełne śmieci. Trudno jest z nich wydłubać numery. Trwa to parę dni.

– Parę dni? Nie mam paru dni.

– Postaram się.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Pracowałem wcześniej w Telecom Italia. – I z niewinnym uśmiechem wyszedł na korytarz.

– A ja się tymczasem dowiedziałam tego i owego – zaczęła Caterina. – Calcestruzzi Varese to mała firma, która nie wystawiła faktury od paru miesięcy. Ugo Montefoschi ma osiemdziesiąt cztery lata, mieszka w Villa Sant'Agnese w Brembate.

Rocco pokiwał głową.

– To słup. Nasz człowiek nazywa się Carlo Cutri.

– Tak, domyślałam się. Mieszka w Lugano w Szwajcarii i ponoć prowadzi sklep z narzędziami.

– Skurwiel jeden, ale to wykombinował – wysyczał Rocco, patrząc przez okno. – Rozumiesz, jak to jest pomyślane?

– Nie.

– Najpierw przenoszą własność części Edil.ber na tego Montefoschi. Potem on drugim aktem przenosi własność na firmę ze Szwajcarii. A Cutri nigdy tu się nie zjawi. Albo dopiero kiedy wszystko będzie domknięte.

– Ale ma tu jakichś współników.

– Tak, tych, co porwali Chiare i którzy dzwonią do Berguetów. Według mnie pośrednikiem z tym całym syfem był Cristiano Cerruti.

– Cerruti?

– Jestem przekonany. Tak jak jestem przekonany, że chciał sypać, ale ktoś go na zawsze uciszył.

– Kto? – zapytała Caterina, po czym zamknęła oczy, żeby nie kichnąć.

– Idź do domu, a po drodze wstąp do apteki. Nie chcę cię mieć na sumieniu.

– Dziękuję, już nie daję rady. – Wstała, zachwiała się, Rocco podbiegł, żeby ją podtrzymać.

– Mam cię odprowadzić na dół?

– Jeśli będzie pan tak blisko, złapie pan grypę.

Spojrzeni sobie w oczy. Przez chwilę tak dłużyli, że oboje się zmieszali.

– No to na razie, Caterina.

– Na razie, szefie.

Wyszła z jego biura. Dopiero wtedy poczuł, jak zmęczenie niczym ciężka zbroja spada na jego ramiona. W ostatnich dniach udało mu się w sumie przespać siedem godzin. W całej tej sprawie było nadal mnóstwo niewiadomych, a on czuł, że jego mózg nie pracuje na dość wysokich obrotach. Musiał się porządnie wyspać.

Na zewnątrz było ciemno. Przynajmniej śnieg przestał padać. Chodniki i drzewa zrobiły się białe jak na Boże Narodzenie. Miał już gasić lampę, kiedy rozdzwonił się telefon na biurku. Klnąc pod nosem, cofnął się i podniósł słuchawkę.

– To ja, twój ulubiony lekarz sądowy.

– Mam usiąść?

– Nie, tylko na moment. A zatem nasz golfista już mi zdradził, o której zginął.

– No dawaj.

– Najpóźniej o wpół do dziewiątej. Ani minuty później. Chcesz, żebym wytłumaczył, jak mi to powiedział?

– Daj spokój, zaraz zaczniesz opowiadać o temperaturze. I tak nie zrozumiem. Ufam twojej sztuce.

– Nie tylko o temperaturze. Także o śniadaniu. Nawet nie zaczął go trawić. Chcesz wiedzieć, co było w żołądku?

– Nie. Wpół do dziewiątej, powiadasz?

– Najpóźniej.

– Jesteś skarbem, Alberto. Dobranoc.

– Nie kładę się spać przed siódmą. Mam co robić wieczorem.

– A dokąd się wybierasz?

– Na jogę.

– Ćwiczysz te wygibasy, po których muszą wołać pogotowie, żeby cię rozplątać?

– Na starość ja będę gibki i ze zdrowymi stawami, a ty nawet nie będziesz mógł się pochylić, żeby podnieść klucze z podłogi. Wtedy pogadamy.

– Nie przejmuj się, ja się nie zestarzeję.

– Zgorzkniały i samotny. Jak prawdziwy policjant.

– Spierdalaj.

– Nawzajem, Rocco.

Dopiero odkładając słuchawkę, zauważył, że na krześle leży tekturowe pudełko. Clarksy numer 44. I karteczka. „Mam nadzieję, że numer się zgadza”. Ale bez podpisu.

Zmierzał prosto do pizzerii, żeby jak zwykle uraczyć się lukullusowym posiłkiem na wynos, kiedy dostrzegł Annę wychodzącą ze sklepu. Natychmiast przeszedł na drugą stronę. Wetknął ręce do kieszeni płaszcza, przyspieszył kroku, wbił wzrok w chodnik.

– A teraz jeszcze udajesz, że mnie nie znasz! – Z drugiej strony ulicy rozległ się głos Anny. Rocco przystanął.

– Wydaje mi się, że wyraziłaś się dość jasno w tej sprawie.

– Zawsze wierzysz we wszystko, co mówi kobieta?

– A nie powinienem?

– Nie odpowiada się pytaniem na pytanie.

– Nie zatrzymuje się na ulicy jegomościa, który sobie idzie w swoją stronę.

– Kieliszczyk białego?

– A niech będzie kieliszczyk białego.

Cały bar był z drewna. Stoliki, boazeria, krzesła, blat, nawet barman był opalony na palisandrowy odcień.

– Na zdrowie. – Anna uniosła kieliszek.

– Twoje!

Szkló zadzwoniło, biały nektar spłynął do gardeł.

– Lipa z tym śniegiem, nie?

– Już się zaczynam przyzwyczajać – odparł Rocco.

– Kłamiesz. – Anna zaśmiała się i znów wypila łyżeczkę. – Masz zmęczoną twarz.

– Tak, ledwo się trzymam na nogach.

– Co robiłeś w banku?

– Kiedy? Już tracę poczucie czasu.

– Wczoraj. Byliśmy razem w moim domu przedwczoraj w nocy. A ja zadzwoniłam do ciebie...

– Wiem, wiem, pamiętam.

– Rozmawiałam z Norą. Słuchaj, sprawy nie mają się aż tak źle.

– Co masz na myśli?

– Nawet mi podziękowała. Bo udowodniłam jej, co z ciebie za typ.

– Potrzebowała tego?

– Potrzebowała lekkiego pchnięcia, żeby wyjść z tego wszystkiego.
– A więc, jeśli rozumiem, poszłaś ze mną do łóżka, żeby ocalić przyjaciółkę. Racja?
Uśmiechnęła się.

– Intencje i czyny czasem się mieszają i tworzą nieprzeniknioną mgłę. Ważne, że wszyscy osiągnęliśmy coś pozytywnego. Ona się pozbyła ciebie, ty jej...

– A ty?

– Zaspokoiliam ciekawość.

Nalał sobie kolejny kieliszek.

– Zraniłam twoją miłość własną?

– Nie posiadam takowej. Stworzyłaś sobie fajną postać. Jesteś cyniczna, sprytna, doświadczona, trochę pokiereszowana, wciąż boksujesz się z życiem. Nieźle to sobie wymyśliłaś. Ale pozwól, że powiem ci dwie rzeczy: jesteś kobietą samotną, pełną kompleksów, która gdyby pewnego pięknego dnia musiała spojrzeć w lustro z całą szczerością, rozpadłaby się na kawałki.

– Dlaczego tak myślisz?

– Masz czterdzieści dwa lata, ale twierdzisz, że masz trzydzieści osiem. Poprawiałaś sobie piersi oraz górną wargę, bo paliłaś i zaczęła ci się lekko marszczyć. Dwa razy byłaś zamężna, ale nie wytrzymałaś ani razu. Pozwalasz, żeby utrzymywał cię architekt Pietro Bucci-cośtam. Chciałabyś zostawić po sobie znak. Malujesz zamknięta w pokoju, ale twoich obrazów nie widział nikt i nic oprócz tapet w twoim domu, które zresztą są do nich podobne. Atakujesz jako pierwsza, po czym kulisz się jak jeź. Zdradzasz przyjaciółkę i znajdujesz sposób, żeby nie czuć się jak szmata. Wyznaczasz ultimatum, którego sama nie respektujesz. I kiedy się kochasz, to płaczesz.

Anna zaklaskała.

– Brawo, panie komisarzu.

– Wicekwestorze.

– I te wszystkie szczegóły pozbierałaś, węsząc po moim domu?

– Dwa pytania tu, dwa pytania tam, trochę się porozglądałem.

– Wiesz, dlaczego płakałam?

– Z powodu moich nędznych osiągnięć?

– Nie. Bo jestem zakochana, głupi chuju!

Blanc de Morgex prosto z kieliszka Anny poleciało na jego koszulę i ściekło aż do spodni. Wstała i wybiegła jak z procy. Rocco gapił się na plamę wina na jasnym sztruksie.

– To zaczyna być pewien rytuał – powiedział do siebie.

Śmierdziało od niego jak od pijaka.

– Śmierdzi od ciebie jak od pijaka.

– Wiem, Marina, wiem.

Śmieje się.

– Kogo tym razem wkurzyłeś?

Nie odpowiadam. Nie wydaje mi się, że powinienem.

– Na pewno jakąś kobietę.

Dalej nie odpowiadam.

– Spojrzysz na mnie?

Patrzę na nią.

– Rocco, dlaczego nie pozwolisz mi odejść?

Niewidzialna ręka ściska mój żołądek jak cytrynę, piekący kwas podchodzi mi do gardła, czuję, jakbym pocierał je płonąca zapalką.

– Co? – ledwo zdołałem wymówić. – Nie pozwolę.

– Jestem spokojna, ty nie. Nie jesteś spokojny. Popatrz na to mieszkanie.

– Coś z nim nie tak?

– Nie ma ani jednego obrazu, ani jednej książki, ani jednej płyty. Tylko telewizor, dwie kanapy, szafa, łóżko i kuchenka, której prawie nie używasz. Co przyniosłeś?

Pokazuję pudełko.

– *Kawałek margherity i kawałek z ziemniakiem i cebulą.*

– *Będzie ci śmierdzieć z ust.*

– *Specjalnie takie kupilem.*

Odkładam pizzę na stół, otwieram pudełko. Ładnie pachnie. Dziś nie wygląda jak zaropiała rana, tylko ładna pizza z pomidorami i mozzarellą. Smakuje mi.

– *To z głodu – mówi Marina.*

– *Być może.*

– *Chcesz wiedzieć, jakie jest słówko na dziś?*

– *Znowu zaczęłaś? No więc?*

– *Wyprzenie.*

– *Co to znaczy?*

A sprawdź sobie sam w słowniku. Nie możesz mieć zawsze podane na tacy. – I idzie sobie do sypialni. Albo łazienki. Nie, do sypialni, bo nie słyszę wody.

Przy trzecim kęsie pizzy rozdzwoniła się komórka. Rocco wstał, telefon zostawił w kieszeni płaszcza.

– *Słucham?*

– *Rocco, tu Adele.*

Przez chwilę błędził myślami. Jaka Adele?

– *Adele! Kobieta tego kutafona Sebastiana, twojego kumpla, jeśli pamiętasz. Jak się czujesz?*

Adele z Rzymu!

– *A cześć, cześć, jak leci?*

– *Do dupy. Słuchaj, Furio gadał z tobą?*

– *Że co? – Zapomniał o tamtej rozmowie. – Tak, tak, już pamiętam.*

– *No i co, pasuje ci? Znalazłeś mi miejsce do spania?*

– *No więc, nie bardzo, nie dałem rady, miałem mało czasu, praca mnie wykańcza.*

– *Praca w Aoście?*

– *W Aoście, wyobraź sobie.*

Roześmiała się.

– *Dobra, będę jutro.*

Rozpaczliwie szukał w myślach rozwiązania. Jutro zapowiadał się straszny dzień.

– *Zróbmy tak, kiedy dotrzesz do Aosty, pojedź na komendę policji, podeślę ci adres esemesem.*

Tam ci zostawię klucze do domu. Jutro będziesz spała tutaj, potem się zobaczy, okej?

– *Dobra. Komenda jest przy alei Battaglione Aosta.*

– *Skąd wiesz?*

– *Wygugłałam. A adres domu?*

– *Jak to? Nie ma mnie w Google?*

Znów się zaśmiała.

– *Jeszcze nie.*

– *Ulica Piave. Będziesz tu miała spokój. Aha, jedna sprawa. A nawet dwie. Zrób jakieś podstawowe zakupy, bo w lodówce jest pusto. A po drugie, ja nic nie wiem. Jeśli Seba się dowie, że cię ukrywam, to mnie zajebie.*

– *Spoko, najwyżej parę dni. Jesteś naszym przyjacielem.*

– *No jasne.*

– *Do jutra.*

– *Do jutra.*

Co mam teraz zrobić? Powiedzieć Marinie, że zjawi się tu Adele? Czytam w słowniku: „Wyprzenie – zamieranie roślin pod śniegiem”.

– *To niby ja zamieram? Marina?*

Nie odpowiada.

Wiatr targał palmami wzdłuż nadmorskiej alei. Wiatr ze wschodu, zimny, bałkański. Corrado Pizzuti szczerze opatulił się płaszczem i naciągnął mocniej wełnianą czapkę. Morze było czarne, widać było tylko białe grzywy fal. I parę jasnych kropek na tej czarnej tablicy. Ktoś wypłynął na połów. Wioska opustoszała. Zapelnił się dopiero w lipcu i sierpniu. Domy należące do letników miały poopuszczane żaluzje. W ogrodach pod plandekami odpoczywały leżaki, huśtawki, materace. Na razie wszędzie królowały chwasty. Pawilony na plaży stały zaryglowane, piach naniesiony przez wiatr w trakcie zimy zalegał na nadmorskim chodniku. Ale był już maj, trudny okres zbliżał się do końca. Corrado o tym wiedział. Straszne były te zimowe miesiące, kiedy tęsknota za Rzymem odzywała się w nim najgłośniej. Nieraz już był gotów spękać, wsiąść w samochód i wrócić do swojej dzielnicy na obrzeżach miasta, która ciągle jeszcze nosiła ślady dawnej podmiejskiej wioski, ale jednak rzymskiej. Przez cztery lata w tej dziurze na prowincji zdążył zakolegować się z trzema osobami. A jak chciał sobie pobzykać, to musiał podjechać aż do Pescary i wyskoczyć z kasy. Tej przynajmniej miał dosyć. Bar prosperował, w letnich miesiącach zarabiał tyle, że starczało na resztę roku. Ale Rzym... Rzym to całkiem inna rzecz. Urodził się tam pięćdziesiąt cztery lata temu i całe życie przebywał w tym nieopisanym burdelu i smrodzie. Ale powrót był wykluczony. Uważał się za szczęściarza. Przez cztery lata nikt go nie nachodził, nikt nie chciał go z powrotem wkręcać w jakieś afery, nie przypierał do muru.

Skręcił w uliczkę. Śmieszne, ciągle jeszcze nie zapamiętał, jak się nazywała. Tego wieczoru podniósł wzrok: ulica Treviso. Dobra, już wiem, mieszkam przy ulicy Treviso. Na wsi nie wymienia się nazwy ulicy, mówi się: mieszkam za lodziarnią albo na lewo od banku, albo naprzeciwko sklepu Mimiego. Nie mówi się jak w Rzymie: mój adres to ulica Treviso 15. Bo tutaj nikt poza policją nie wie, gdzie ona się znajduje. Dla każdego to jest ta uliczka, co odchodzi od nabrzeża naprzeciwko plaży Eralda. Kropka.

Wszedł na podwórze. Musiał wejść do klatki A. Sześćdziesięciometrowe mieszkanie miał na pierwszym piętrze.

Wsunął klucz w stalowe drzwi.

– Siema, Corrà!

Podskoczył, jakby ktoś rzucił mu pod nogi petardę. Odwrócił się. W załomie ściany płomyk zapalniczki oświetlił twarz Enza Baiocchiego, który wypłynął z mroku wspomnień jak najgorszy koszmar.

– Jak leci?

– Enzo! No nieźle. Nieźle. A u ciebie?

Enzo zgasił płomyk, ciemność wessała jego twarz. Potem zaciągnął się papierosem i żar zamigotał mu w oczach. Podszedł bliżej, wkraczając w krąg światła latarni z podwórka.

– Wyszedłeś?

Enzo zaśmiał się.

– No skoro mnie tu widzisz.

– Dasz się zaprosić na jednego?

– Nie. – Enzo wsunął rękę do kieszeni. – Mam tylko jedno pytanie. Dobrze się zastanów, zanim odpowiesz. Jedziesz ze mną czy zostajesz?

– Ja...? Jadę, jadę z tobą.

– Super! – Wyciągnął dłoń, była na szczęście pusta, Corrado głęboko odetchnął.

– Dokąd jedziemy?

– Powiem ci po drodze. Jutro.

– Masz samochód?

– Nie, pojedziemy twoim.

– Trochę rżęzi i ma stare gumy. Dokąd trzeba dojechać?

– Jedźcie twoim – nalegał Enzo. – Masz gdzie mnie przenocować?

– Tak, jest kanapa.

– No to wchodzimy, piżdzi tutaj strasznie.

Rzucił peta i ruszył za Corrado na klatkę.

Czwartek

W nocy musiało padać parę godzin, choć o świcie niebo nad Aostą już się przejaśniło. Powietrze było lodowate, miasto wydawało się spać kamiennym snem. Ulice zostały już odśnieżone i tylko biała warstewka cienka jak cukier puder pokrywała chodniki. Wpół do siódmej. Za wcześnie na śniadanie w barze. Musiał biec do biura. Sen mu się przydał, czuł, jakby ktoś mu wymiół kurz i pajęczyny z mózgu. Skorzystał z tego, że kiosk był otwarty. Na pierwszej stronie gazety pisano o zabójstwie Cerrutiego. Z tekstu wynikało, że Costa świetnie sobie poradził podczas konferencji prasowej. Kilka lakonicznych zdań, zwyczajowe formułki i zapewnienia. Podano jego nazwisko jako odpowiedzialnego za śledztwo. Z pewnością niebawem zadzwoni prokurator, bo wczoraj zapomniał go o tym wszystkim poinformować.

Jak można było się spodziewać, wkrótce zadzwonił telefon.

– Słucham, panie prokuratorze.

– Naprawdę muszę się o takich sprawach z gazet dowiadywać?

– Przepraszam, ale Farinelli pana nie powiadomił?

– Farinelli nie powiadomił.

A to skurwiel, pomyślał Rocco.

– To był pana obowiązek, Schiavone.

– Ma pan całkowitą rację.

– Wie pan, gdzie ja mogę sobie wsadzić taką rację? Chcę usłyszeć pańską teorię.

– Według mnie Cerruti był w całej tej historii umoczony po uszy. I może po prostu musieli go uciszyć.

– Jakież ślady?

– Staramy się sprawdzić, czy dzwonił i do kogo. Tylko że nie mamy jego komórki, wiemy, jaki miała numer, a to oznacza, że będzie z tym trochę kłopotu.

– Tak, znam ten ból. Niech pan sobie wyobrazi, że dwa lata temu jeden adwokat przyniósł wyciąg, który miał pomóc jego klientowi, chodziło o to, żeby udowodnić, że znajdował się sto kilometrów od miejsca zabójstwa.

– A tymczasem?

– Tymczasem nasz technik rozeznał się w tej kabale i dowiódł czegoś dokładnie przeciwnego.

No więc adwokat niechcący pograżył klienta, bo źle zinterpretował dane w kolumnach.

– Bywa.

– A teraz zaskoczę pana swoją dobrocią. Pamięta pan ten rejestr ze sklepu Urwiluszek?

– Berbeluszek.

– Jak zwał, tak zwał.

– No pewnie, że pamiętam.

– No więc jest tam dwadzieścia pięć nazwisk dłużników. Odkryłem, że dwunastu z nich ma coś wspólnego.

– To znaczy?

– Mają konto w Cassa della Vallée. Może to tylko zbieg okoliczności.

– Może. Ale dobrze wiedzieć. Dziękuję, zanotowałem sobie.

– Czekam zatem na jakieś wieści. Pamięta pan, że mamy umowę?

– Oczywiście.

– I jeśli zjawi się na celowniku niedźwiedź...

– Podzieli się pan ze mną jego skórą po bratersku?

– Nie, zostawię całą dla pana. Miłego dnia.

Nie mógł sobie odmówić. Otworzył szufladę i wyciągnął skręta. Zapalił go, usiadł i pozbiierał myśli.

Na biurku w nieładzie leżało mnóstwo kartek. Żadnej wiadomości, żadnego nowego raportu.

Zgasił skręta w popielniczce i jak zwykle otworzył okno, żeby wywietrzyć. Caterina weszła bez pukania.

– Przepraszam, nie myślałam, że...

Przyłapany na gorącym uczynku! Zamurowało go.

– Przy otwartym oknie? Zwariował pan.

Zamknął je.

– Nie pukałam, bo myślałam, że nikogo nie ma.

Usiadła. Zapach konopi był wciąż intensywny. Czy to możliwe, żeby Caterina go nie czuła?

Kiedy wydmuchała nos w chustkę, zrozumiał dlaczego.

– Nie miała pani siedzieć w domu?

– Nie daję rady. Poza tym Italo chrapie jak sowiecki marynarz. – Pod jej spuchniętym czerwonym nosem pojawił się uśmiech. Miała wielkie, szczerze, błękitne oczy.

– A jak chrapią sowieccy marynarze?

– Po rusku! – I znów się roześmiała. – Wie pan, szefie, może to głupstwo, ale wczoraj byłam w aptece.

– I dobrze pani zrobiła.

– Z tego kataru może mi się zrobić zapalenie zatok. I to byłby dopiero pasztet.

– Wiem, upierdliwe jak cholera.

– Tak, więc jak mówiłam, poszłam do apteki, pamięta pan tę karteczkę? Tę z dziwnym słowem, które ukazało się po potarciu ołówkiem?

– Tak, zerwałem ją z bloczka w domu Berguetów. Liczyłem na coś ważnego. No i co tam jest napisane?

– Myślałam, że to deflan, taki lek o działaniu przeciwzapalnym. Ale dla pewności pokazałam kartkę aptekarzowi. On ją przeczytał i powiedział, że nie deflan, tylko deflamon.

– To ważne?

– Nie wiem. Deflamon to też lekarstwo.

– Na co?

– Zaraz, zapisałam sobie. – Otworzyła torebkę, wyjęła portfel, kosmetyczkę, książkę, foliową torbę z apteki, z której wygrzebała kartkę. – Deflamon, deflamon... Stosowany w leczeniu pewnego schorzenia kobiecych narządów płciowych.

Zmrużył oczy.

– Narządów płciowych? – To nie było pytanie, Rocco głośno myślał. Caterina przyglądała mu się.

– Tak, zakażenie, które...

Rzucił się do telefonu.

– Schiavone z policji w Aoście, poproszę pilnie z doktorem Fumagallim.

Czekał na linii, nerwowo bębniąc palcami o blat.

– Hej ho! Wpół do ósmej siedzisz już w robocie?

– Pamiętasz, jak mi pokazywałeś coś pod mikroskopem? To coś, co znalazłeś na zwłokach Carla Figusa?

– Nie na ciele. Na penisie. Pamiętam.

– Jak się nazywał ten wirus?

– Matko Boska, Rocco, kiedy się nauczysz! Nie wirus, bakteria. *Gardnerella vaginalis*.

– Czy to się leczy deflamonem?

– Oczywiście, to lek na bazie metronidazolu. A bo co?

– Bo to pierwszy krok, mój drogi.

– Mówiłem, że masz sobie znaleźć wreszcie stałą kobietę. Już masz?

– Nie.

– A kto ją ma?

– Potem ci powiem!

– Uważaj, bo to dość pospolite schorzenie.

Rocco odłożył słuchawkę.

– To jest trop, Caterina. Niewielki, ale jednak. – Złapał znów za telefon. – Kto tam siedzi na portierni?

– Casella na rozkaz, szefie.

– Zadzwoń do drogówki, muszę pogadać z Umberto...

– Nazwisko?

Rocco odwrócił się do Cateriny.

– Znasz Umberta, kolegę Itala z drogówki?

– Tak, był u mnie wczoraj na kolacji. Diotaiuti. Czyli Bożedopomóż.

– Casella, Bożedopomóż.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Co zrobiłem?

– A skąd mam wiedzieć, co zrobiłeś?

– No skoro pan mówi „Boże dopomóż”.

– To nazwisko Umberta, durniu!

– Wiem, rozumiem, tylko żartowałem.

– Zejdę na dół i ci w łeb strzelę, słowo daję. Sprężaj się.

Czekał ze słuchawką w dłoni.

– Gdzie trzymamy auta po wypadkach?

– Zwykle na parkingu w Villair...

Wstał i ruszył do drzwi, nie czekając, aż centrala go połączy z drogówką.

– Dzwon po Itala, ściągnij go tutaj. I przygotuj mi zdjęcia Figusa i Midei, tych dwóch, co się zabili w furgonetce. Weź te z ich dokumentów. Powinny być chyba w archiwum.

– Musiałabym zapytać Casellę, gdzie leżą. On się opiekuje archiwum.

– Jeśli masz ochotę się z nim przekomarzać.

Casella zobaczył go pędzącego prosto w stronę drzwi wyjściowych.

– Szefie, właśnie mnie łączą z Umbe...

– Za późno, Casella, za późno. Zgłoś się do inspektor Rispoli i wykonuj jej polecenia. Ale już!

Casella chwycił czapkę i pobiegł w stronę jego gabinetu. Rocco, pędząc na parking, mało nie wywalił się na schodach. Radiowóz zapalił dopiero za trzecim razem. Wrzucił bieg i ślizgając się po oblodzonym asfalcie, wyjechał na ulicę.

– Tędy, panie wicekwestorze, tędy. – Strażnik parkingu prowadził go pomiędzy rzędami poobijanych samochodów bez tablic. Istne cmentarzysko, które śnieg bezskutecznie próbował zasypać i ukryć.

– Nie masz przypadkiem na zbyciu tablicy rozdzielczej do volvo XC60?

– Mogę zapytać, ale raczej nie. A dlaczego?

– Mam uszkodzoną.

– To jest furgonetka z tamtego wypadku.

Rocco spróbował otworzyć drzwi kierowcy.

– Nie da rady, zaklinowały się. Trzeba z drugiej strony.

Drzwi od strony pasażera były wygięte na zewnątrz. Seria nalepek z kolejnymi datami wymiany oleju sprawiała, że wyglądały jak upiorna dekoracja świąteczna. Rocco odsunął je i wsiadł do kabiny. Na desce rozdzielczej i szybie były jeszcze plamy krwi. Spojrzał na podłogę. Zapalniczka, błoto, kawałek sznura. Otworzył schowek. Dokumenty, śrubokręt, stara szmata, opakowanie środka nasennego, w którym brakowało dwóch kapsułek. Schował je do kieszeni.

– Z tyłu się toto otwiera?

Strażnik otworzył dwoje drzwi. W środku było tylko koło zapasowe i skrzynka na narzędzia. Młotki, klucze, szeroki pędzel i torba pełna czarnych plastikowych opasek zaciskowych.

– Bardzo mi pan pomógł – krzyknął Rocco i biegiem wrócił do radiowozu.

– I jak wyglądam?

Enzo Baiocchi wyszedł z łazienki. Stał się blondynem. Corrado patrzył beznamiętnie.

– Wyglądasz na szwaba.

Dokończył kawę. Enzo przysiadł.

– Jak spałeś?

– Kiepsko. Powiesz mi, dokąd jedziemy?

– Masz tylko prowadzić. Spokojnie, bez dociskania gazu, bez kozackich numerów. Ja ci będę mówił, jak jechać.

Corrado Pizzuti postawił filiżankę.

– Słuchaj, ja z twoim bratem...

Enzo złapał go za koszulę, strącając na podłogę pokrywkę cukiernicy i herbatniki.

– Nie waż się wspominać Luigiego. Nigdy więcej, rozumiesz? Nigdy! Od kiedy tu mieszkasz?

– Trzy, prawie cztery lata.

– Nieźle się urządziłeś. – Dopił kawę, podszedł do okna. – Nawet z widokiem na morze. I masz bar. Dobrze idzie?

– W lecie całkiem, całkiem. Zimą jest pusto. Jak mnie znalazłeś?

– Szczury takie jak ty zostawiają za sobą kupy.

– Nie skrzywdziłeś mojej matki?

Enzo zaczął się śmiać.

– Wyglądam na takiego, co bije staruszki po dziewięćdziesiątce? Wystarczyło parę pytań. Mówię ci, można łatwo dojść po smrodzie.

– Jak już dojedziemy tam, dokąd chcesz, dasz mi spokój?

Enzo zgromił go wzrokiem.

– Gdybym chciał ci zrobić kuku, już bym to zrobił.

– Dlaczego ja?

– Widzisz, nie ma wielu kolegów. A ty musisz prowadzić. Sam rozumiesz, że ktoś taki jak ja nie powinien się za bardzo pokazywać. Weź już mnie nie wkurwaj tymi pytaniami. Szykuj się do wyjazdu.

– Ucałował krzyżyk ze złota i koralu na szyi.

– Zdążę uprzedzić Tatianę, że nie pojedę dziś do niej?

– Nie.

Zahamował z piskiem przed budynkiem komendy. Italo stał z kartką w garści.

– Masz, Rocco, kopie zdjęć tych dwóch...

– Dawaj je. – Rocco nawet nie wysiadł z samochodu, chwycił zdjęcia i wrzucił wsteczny, wyjechał z parkingu i popędził na via Cretier.

Italo patrzył na oddalający się samochód, który o mało nie zderzył się z kamperem. Co on palił dziś rano? – zastanawiał się, kiedy fala zimna zagoniła go znów do budynku.

Zaparkował trzysta metrów od szkoły. Resztę drogi przebył piechotą.

Uczniowie kłębili się przed wyjściem. Wśród pstrokatego morza plecaczków i czapek dojrzał jasną głowę Maxa Turriniego. Siedział na murku, obejmując dziewczynę. Pochylał się i szeptał jej coś do ucha, coś zabawnego. Przechodząc koło niego, Rocco syknął:

– O, cześć Max, widzę, że już znalazłeś sobie nową.

Tamten spojrzał, jakby dostał pięścią w nos, ale nie zareagował. Nie miał ani refleksu, ani dość czasu, bo Schiavone już wchodził do szkoły.

Bez pukania wtargnął jak burza do pokoju ryjówki zatrudnionej na stanowisku dyrektora. Bianchini aż podskoczył na jego widok: potargane włosy, pomięte spodnie, rozchełstana koszula bez dwóch guzików, rozwiązany but.

– Panie... panie Schiavone, co się stało?

– Giovanna Bucci-cośtam. – Za nic w świecie nazwisko architekta nie chciało mu wejść do głowy.

– Bucci Rivolta? – zasugerował nieśmiało dyrektor.

– Tak, gdzie jest teraz?

Rozległ się dzwonek. Przez okno było widać uczniów, którzy jak stado leniwców wpełzali do budynku.

– Piąta B, ale...

– Proszę mnie zaprowadzić do piątej B, i to już!

Bianchini założył marynarkę i sięgnął po klucze.

– Idziemy, to jest na drugim piętrze.

Usiedli obaj przed salą. Uczniowie nadchodzili głośną gromadą, ale na widok ryjówki ściszały głosy. Bali się go. Rocco przyglądał mu się. Na jego twarzy malowało się nieświadomione zadowolenie. Ten człowieczek radował się swoją małą władzą. Perfidny wyraz oczu pozwalał zrozumieć, jak bardzo ta władza mogła mu służyć do zemsty. Jadowita ryjówka.

Mijali ich uczniowie i uczennice, ładni, brzydki, nijacy, potargani i pryszczaci. Potem wśród tych anonimowych masek, jak kwiat maku na polu pszenicy, wybiła się twarz Giovanni. Całkiem inna kategoria, inne stworzenie. Na widok wicekwestora stanęła jak wryta na środku korytarza. Rocco podszedł, żeby ją uspokoić.

– Stało się coś Chiarze, prawda?

– Wszystko w porządku, Giovanna. – Wziął ją pod rękę i zaprowadził do okna.

– Znaleźliście ją?

– Jeszcze nie. Ale jesteśmy blisko. A teraz posłuchaj... – Coś przyciągnęło jego uwagę. Przy wejściu do szkoły Max Turrini i jego matka dyskutowali z Marcellem, nauczycielem matematyki i bratem Pietro Bergueta. Mówił coś, Laura kiwała głową, Max gapił się w ziemię. Dyrektorka banku przyszła porozmawiać z nauczycielem i sądząc po minie, nie była to przyjemna rozmowa. Rocco wiedział, że chłopak będzie miał we wrześniu poprawkę właśnie z matematyki. Laura wreszcie uściśniła dłoń Marcellovi, Max pobiegł na lekcję. Marcello, może przypadkiem, a może dlatego że poczuł się obserwowany, podniósł głowę i dostrzegł policjanta za szybą. Laura też popatrzyła w górę. Marcello nieśmiało mu pomachał.

Rocco odwzajemnił się tym samym.

– I tak go obleją, matka bierze profesorów na litość, ale nic nie wskóra. Wie pan, to jest stryjek Chiary.

– Wiem, oczywiście, że wiem.

– Na szczęście uczy w A.

– Dlaczego?

– Bo jest surowy i wszystkich oblewa.

– Ale ty z matmy jesteś spoko, ojciec na pewno ci pomaga.

– Jestem zero, ale mój nauczyciel jest dla mnie łagodny.

No pewnie, pomyślał Rocco, jak można być surowym dla takiego okazu piękna?

– Zawsze jakoś mi się udaje.

– Gdyby zaczął się do ciebie dobierać, zgłoś się do mnie. To moja specjalność spuszczać łomot facetom, którzy nie umieją trzymać łap przy sobie.

– Pan się nie martwi, umiem o sobie zadbać.

– Nie wątpię. No to wracamy do naszych spraw. Postaraj się skupić. W niedzielę wieczorem byliście w Sphere.

– Tak.

– Było pewnie mnóstwo ludzi.

– Tak.

– Opowiadałaś mi, że w pewnej chwili Max zaczął gadać z jakimiś dwoma koleśkami o wyglądzie dość żulowatym.

– Tak, kompletnie tam nie pasowali. I byli dobrze po trzydziestce.

– Pokażę ci zdjęcia. Skup się i pomyśl, czy któregoś rozpoznajesz.

– Nie wiem, czy dam radę, tam było ciemno. Ale proszę pokazać.

Rocco wyjął kserówki dokumentów Viorela Midei i Carla Figusa.

– Popatrz. Przypominasz sobie któregoś?

Patrzyła w skupieniu.

– Ten z kolczykiem to nie wiem, zdjęcie jest za ciemne. Ale ten – wskazała na Figusa – ten tam był.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent.

– Wracaj na lekcję, na razie skończyłem.

– Proszę mnie zabrać na komendę!

Spojrzał zdumiony.

– Na pierwszej godzinie mam być odpytywana z filozofii. Nic nie umiem.

Pomyślał chwilę, wreszcie odezwał się służbowym tonem.

– Pani pozwoli ze mną.

Wzięła plecak i ruszyła w ślad za nim. Podeszli do Bianchiniego, który czekał przy schodach.

– No więc, panie Schiavone?

– Sprawa zrobiła się znacznie bardziej skomplikowana. Muszę zabrać Giovannę na komendę.

– Ale...

– Żadnych ale. Już panu chyba mówiłem, w co gramy. Proszę starać się mi pomóc.

– Oczywiście – przytaknął dyrektor, patrząc na Giovannę.

Dziewczyna całkiem nieźle udawała przerażoną. Jeśli dobrze rozegra swoje karty, to z taką aparycją miała wielkie szanse na karierę w prestiżowych włoskich produkcjach fabularnych.

Zostawił ją w biurze paszportowym, z książką i poleceniem, żeby nie odzywała się do nikogo poza nim i Cateriną. Zaczęła czytać i zapytała, czy może zapalić.

– Tylko przy oknie. Ale masz je otworzyć na oścież.

Scipioni, Italo i Caterina czekali w gabinecie.

– Mamy nowe wiadomości – ogłosił, rzucając na biurko pudełko Stilnoxu znalezione w furgonetce. – To jest stilnox, substancja czynna benzodiazepina. Lek na zaburzenia snu. Był w furgonetce. Zaliczają go także do tak zwanych pigułek gwałtu. Substancja bez smaku, która powoduje otępienie aż do utraty przytomności i amnezję. Ofiara często w ogóle nie pamięta, co się działo w nocy. Myśli, że się upiła, tymczasem...

Antonio wziął pudełko do ręki.

– Ożeż kurwa, to oni...

– W tej samej furgonetce znalazłem jeszcze coś takiego. – Wyjął z torby opaski zaciskowe.

– Kilkadziesiąt sztuk. Owszem, robotnicy budowlani czasami ich używają, ale... Giovanna rozpoznała Carla Figusa. Był w dyskotecie tego wieczora, kiedy doszło do porwania.

– Według ciebie to oni porwali dziewczynę?

– Tak sądzę. No i jeszcze mamy kwestię choroby przenoszonej drogą płciową. Figus miał *Gardnerellę*, Fumagalli znalazł ślady. I na to samo cierpi ktoś w rodzinie Berguetów.

– Twierdzi pan, że te skurwiele zgwałciły Chiarę?

– Bardzo prawdopodobne. Teraz, jak o tym myślę...

– Kradzież! – zawołał Scipioni. – Pozorowana kradzież w mieszkaniu Viorela.

– Bingo! To nie była kradzież. Czegóż szukali.

– Czegóż? – zapytał Italo.

Rocco podszedł do biurka, otworzył lewą szufladę.

– Moim zdaniem tego. – I wyjął komórkę Viorela. – Italo, gdzie są numery, na które dzwonił?

– Położyłem panu wczoraj na biurku. Ale tylko pierwsze trzy. Technik mówi, że Rumun resztę skasował i odtworzenie ich zajmie trochę czasu. Poza tym mamy spis kontaktów, ale tam są same rumuńskie numery... – Zaczął myszkujeć pośród papierów na biurku Rocca.

– Do jasnej cholery, mieliśmy rozwiązanie pod nosem, od paru dni. Pieprzyć te rumuńskie numery, chcę znać te trzy ostatnio wybierane.

– Wiesz co, Rocco, jakbyś, kurde, miał większy porządek w papierach...

Antonio wytrzeszczył oczy.

– Rocco?

Italo zagryzł wargi.

– Tak, Italo jest ze mną na ty. Od dawna. A od teraz upoważniam zarówno ciebie, jak i Caterinę do tego samego.

– Chyba nie dam rady – odezwała się Caterina.

– Spróbuj.

– Mam! – Italo wyciągnął kartkę. – Ostatnie trzy wybierane numery.

Antonio wziął ją.

– Sprawdź, do kogo należą. Dajcie mi chwilę.

– Zaraz, pomóż mi się w tym połapać. Ci dwaj porwali Chiarę, a potem zginęli?

– Widzisz, że możesz do mnie mówić na ty?

Zarumieniła się.

– Tak. Musimy teraz ustalić, czy tylko oni znali miejsce jej uwięzienia, czy ktoś jeszcze.

– Ktoś jeszcze. Skoro rodzice rozmawiali z Chiarą, ktoś wie, gdzie ona jest.

– To prawda. – Rocco zaczął znów chodzić po pokoju.

– Co wiemy? Jechali z Saint-Vincent. Musielibyśmy się dowiedzieć, ile przejechali kilometrów.

– Może będziemy mieli farta. Na przykład ustalimy, że tego dnia dostali gdzieś mandat – zagadał

Italo.

– Nie, jechali na fałszywych tablicach. Nie dlatego że planowali napad, tylko dlatego że porwali Chiarę. Gdyby nawet kamera monitoringu nagrała jakieś wykroczenie, to z trudem udałoby się ustalić, co to za pojazd. Nie, Italo, sprawdzanie mandatów możemy sobie darować.

– Mamy jeszcze jego komórkę. Można sprawdzić, do jakich stacji bazowych się logowała.

– To jest pierwsza rzecz do zrobienia.

– Nawet jeśli, to informacja o komórce może być bardzo przybliżona – odezwał się Italo.

– Z dokładnością do nawet pięćdziesięciu kilometrów. Antonio mi wyjaśniał.

– Ale jest jeszcze coś, czego nie możecie wiedzieć, bo nie byliście ze mną na policyjnym parkingu.

Wybiegł z gabinetu, zostawiając lekko zdziwionego Itala z Cateriną.

Na korytarzu spotkał D'Intino niosącego owiniętą w papier tackę i Derutę z termosem.

– Co to za przesyłka?

– Ciasteczka. Dla tej dziewczyny, pana znajomej w biurze paszportowym.

– A ty, Deruta, co tam dźwigasz?

– Gorącą herbatę. Pić jej się chciało.

– No to teraz posłuchajcie. Dokładnie w południe weźmiecie radiowóz i odwieziecie ją do szkoły.

Jasne?

– Tak jest. Kto prowadzi? – zapytał Deruta.

– Ty, bo D'Intino za kółkiem zagraża bezpieczeństwu publicznemu. Nie włączajcie koguta, nawet jak was o to poprosi. Zrozumiano?

Pokiwali głowami i potruczali w stronę biura paszportowego. Giovanna zrobiła sobie z nich dwa wierne pieski.

– Co jest takiego ważnego w tej furgonetce? – spytał strażnik parkingu.

Rocco podszedł do drzwi od strony pasażera. Pochylił się i zaczął odczytywać nalepki zmiany oleju. Ostatnia była ze stacji Agip, miała niedzielną datę i podany stan licznika przy zmianie. Rocco podciągnął się w stronę fotela kierowcy, starł kurz z zegarów i odczytał obecny stan licznika. Od wymiany oleju przejechali tylko sto trzydzieści kilometrów.

– Jak się pan nazywa?

– Lucianino.

– Lucianino, masz plan Aosty?

– W stróżówce jest internet.

Zapalił papierosa, studiując mapę.

– Też mogę?

– Jasne. A teraz powiedz, czy dobrze rozumię. O której zamykają stacje benzynowe?

– O siódmej.

– Dobrze. Powiedzmy, że na początek pojechali do Sphere, gdzie byli około jedenastej.

Dyskoteka jest przy drodze na Cervinię.

– Wiem, mój syn tam jeździ. Z Aosty to jest około trzydzieści siedem kilometrów. Mówię około, bo nie wiadomo, z jakiej stacji benzynowej ruszyli.

– Agip.

– Ale jest ich kilka.

– Nasza musi być otwarta także w niedziele.

Lucianino skupił się.

– No to w takim razie na pewno chodzi o stację przy drodze na Vaccari. Czyli do dyskoteki jest trzydzieści pięć kilometrów.

– Dobra. Stamtąd wracają pod dom Berguetów. Tam przejmują Chiare.

– Kto to jest Chiara?

– Nieważne. Ile jest drogi do domu Berguetów?

– Nie wiem, gdzie stoi.

– W Porossan pod Aostą.

Lucianino wklepał dane do mapy.

– Kolejne trzydzieści siedem kilometrów.

– Razem mamy... siedemdziesiąt dwa kilometry. Teraz musieli na pewno wrócić w okolice Saint-Vincent, bo kilometrów robi się coraz mniej.

– Do Saint-Vincent jest trzydzieści osiem kilometrów.

– Mamy razem sto dziesięć. Potem wracają do Aosty i mają wypadek. Żeby dojść do naszych stu trzydziestu kilometrów, brakuje nam dwudziestu. Dwadzieścia kilometrów, żeby zrozumieć, dokąd pojechali. Dwadzieścia kilometrów od Saint-Vincent w tę i z powrotem.

– Oni, czyli kto?

– Nie przerywaj mi, myślę na głos. Dokąd można dojechać w promieniu dwudziestu kilometrów od Saint-Vincent?

– No więc... W stronę Moron, jedzie się drogą w górę na Salirod...

– Albo?

– Albo tutaj, widzi pan? W stronę Promiod. Albo na Closel, to jest piętnaście kilometrów pod górkę.

– Sporo tych miejsc.

– No tak jakby.

– Ale czy to jest powód, żeby się poddać?

– Nie wiem, poddaje się pan?

– Nigdy, przenigdy. Nie ma chuja. Dzięki, Lucianino!

– Nie ma za co, szefie.

Wracał do biura, kiedy na środku skrzyżowania drogę przeciął mu radiowóz, blokując cały ruch. Ze środka wyskoczyli Italo z Antoniem i podbiegli do jego samochodu. To, co go najbardziej zdziwiło, to nie zachowanie jego podwładnych, którym ewidentnie udzieliło się jego szaleństwo. Ale fakt, że żaden z kierowców zablokowanych przez ten absurdalny manewr nie zatrąbił. Coś podobnego w Rzymie rozpętałoby tornado wrzasków i wycie klaksonów. Tymczasem w tym cywilizowanym mieście panowała niemal surrealistyczna cisza.

– Rocco, nie mogłem już na ciebie czekać – krzyczał zziębnięty Italo.

– Sprawdziliśmy ostatnie trzy numery Viorela Midei. Dzwonił do pizzerii Posillipo, gdzieś do Rumunii, ale potem, ostatni raz, dosłownie ostatni, pod jeszcze inny numer – podjął wątek Scipioni.

– Dobra, powiecie mi wreszcie czy mam specjalnie prosić?

– Marcello Berguet – dokończył Italo.

Dopiero w tej chwili jeden samotny klakson odezwał się z kolejki, jaka utworzyła się za ich plecami.

– Marcello Berguet... – powtórzył Rocco.

– Zwijamy go?

– Poczekajcie, mamy przewagę, więc ją wykorzystajmy. Co wiemy? Marcello Berguet to ten, co twierdzi, że rozmawiał z Chiarą. Ale może to wcale nieprawda. Nigdy z nią nie rozmawiał. Albo tak. W każdym razie wie, gdzie trzymają bratanicę.

Samotny klakson znów się odezwał.

– Co robimy?

– Zawracaj wóz i jedźcie za mną do kliniki Agnus Dei.

Italo z Antoniem wrócili do radiowozu, przepaszając gestem dłoni kierowców czekających cierpliwie w korku. Rocco jak strzała ruszył w stronę centrum Aosty.

Enrico Maria Charbonnier siedział na fotelu rozparty jak papież na tronie, z gazetą w dłoniach, filiżanką herbaty na stoliku i piękną panoramą Alp za oknem.

– Niech dobrze pana zrozumiem. Najpierw wysłał mnie pan do szpitala, a potem chce, żebym wrócił zaraz do biura?

– Muszę wiedzieć, czy niejaki Carlo Figus ma jakieś posiadłości w okolicy Saint-Vincent.

– Po co?

– Bo on razem z jednym takim prawie bezdomnym szmaciarzem porwali Chiarę i nie sądzę, żeby zawieźli ją do jakiegoś domu będącego w posiadaniu rodziny Berguetów.

– Ale dlaczego przypuszcza pan, że nikt inny nie pośredniczył w operacji?

– Bo zleceńodawcą tych dwóch jest Marcello Berguet.

Gazeta spadła na podłogę.

– Marcello? Nauczyciel?

– Dokładnie tak. Wiem, że Chiara jest uwięziona od niedzieli wieczór, czy, jak pan woli, od poniedziałkowego świtu. Bóg raczy wiedzieć, czy jeszcze żyje.

– Zrobimy tak. Podjedźcie pan teraz ze swoim człowiekiem do biura katastru na piazza Repubblica. Zadzwoń tam do zaprzyjaźnionego urzędnika. Zajmie wam to minutkę.

– Dziękuję.

– Coś jeszcze?

– Nie. Niech pan sobie dalej czyta i odpocznie, zrobi wszystkie badania. Widziałem, że jeśli chodzi o pielęgniarstwo, to szpital jest naprawdę na poziomie.

Notariusz uśmiechnął się.

– W moim wieku mogę co najwyżej kontemplować je jak Alpy. – Uczynił teatralny gest w stronę śnieżnych wierzchów za oknem.

Niecałe pół godziny później wyszli rozgoryczeni z biura katastru. Nie znaleźli żadnej posiadłości zarejestrowanej na Figusa bądź jego matkę. Marcello Berguet miał kawalerkę w centrum i willę w okolicach Alagni. Rocco uznał, że to zbyt daleko jak na liczbę kilometrów przejechanych przez furgonetkę porywaczy.

Wrócili do punktu wyjścia.

– Dzwonimy do komendanta? – zasugerował Antonio.

– A po co?

– Niech skrzyknie megaekipę: strażaków, karabinierów, celników, straż leśną, przewodników górskich. Wszystkich. Musimy przetrzepać wiele kilometrów i sami nie damy rady.

– Żeby coś takiego zorganizować, potrzeba wielu godzin, a my nie mamy czasu. Poza tym sprawa stanie się publiczna. I to również mogłoby działać na naszą niekorzyść.

– Czemu?

– Bo poza Marcellem Berguetem ktoś jeszcze może być w to zamieszany. I mógłby wtedy zwiać.

Słyszałem głos jednego z porywaczy, miał kalabryjski akcent.

– To mógł być ten Cutri z Lugano.

– Mógł, jasne. Ale też ktoś stąd, z Aosty. Nic nie wiemy o tej siatce. Widzimy tylko czubek góry lodowej. A ściśle dwa czubki.

– Marcello Berguet i kto?

– Chłopak Chiary. On jest zamieszany.

– Dlaczego?

– Znał porywaczy. Przynajmniej Carla Figusa. A jeśli on, to i jego matka. Nie pozostaje nic innego jak zapolować na zwierzynę.

Antonio i Casella pojechali zgarnąć Marcella Bergueta. Rocco prosił ich, żeby zrobili to poza godzinami lekcji, jak najdalej od uczniów, by nie mieszać w to szkoły.

Ale nie było takiej potrzeby. Kiedy Rocco wszedł do swojego biura, siedział tam Marcello Berguet, sztywny, wypomadowany, w nienagannie skrojonym garniturze.

– Bardzo mi miło, panie profesorze. Właśnie posłałem po pana do szkoły.

– Musimy porozmawiać.

– Wiem. Posłałem po pana dwóch swoich ludzi.

– Z jakiego powodu?

– Powiedzmy... Porwanie, profesorze Berguet. Porwanie i zabójstwo. – Podniósł z biurka kartkę.

– Porwanie, zabójstwo? Co panu do głowy strzeliło?

– Widzi pan tę kartkę? Dostałem ją niedawno od jednego z dilerów samochodowych. W garażu Cerrutiego znaleźliśmy odłamek reflektora. Na nieszczęście akurat na tym kawałku był kod części. Udało się znaleźć fabrykę i model. Niech pan zgadnie: to jest część od suzuki jimny. Jeśli się nie mylę, pańska bratowa Giuliana posiada samochód suzuki jimny, i jeśli się nie mylę, to pan go używa. Tak nam pan powiedział, kiedy przyjechaliśmy do waszego domu tego dnia, kiedy znaleźliśmy pojazd z rozbitymi światłami na poboczu drogi. Użył go pan, żeby pojechać do Cristiana?

– Moment, coś panu powiem...

– Nie, teraz ja mówię. Z jakiego powodu w komórce Viorela Midei, jednego z porywaczy pańskiej bratanicy, znaleźliśmy pański numer?

Berguet popatrzył na niego.

– Mój?

– Tak. Dzwonił w wieczór porwania. Chciał instrukcji? Chciał powiedzieć, że zgarnęli dziewczynę?

– Nie wiem nawet, kim jest Viorelo Midea! – krzyknął Marcello.

– Gdzie trzymają bratanicę? To na pewno pan wie!

– Gdybym wiedział, tobym pojechał ją ratować, kurwa mać! – Nerwy Marcella powoli nie wytrzymały.

– Proszę się uspokoić. Jako jedyny rozmawiał pan z Chiara.

– Tak, to byłem ja.

– Mamy ufać panu na słowo?

– Tak. Słyszałem, jak Chiara mówi: czuję się dobrze. Tylko tyle.

– I jest pan pewny, że to była Chiara? W sumie powiedziała tylko trzy słowa. Trochę mało, żeby mieć pewność.

Marcello chwilę się namyślał.

– Tak, może i racja. Nie wiem. Powiedziałem: Chiara, tu mówi stryjek. A ona odpowiedziała: czuję się dobrze, Marcello. I tyle. Może była przejęta, z pewnością się bała. Jedno jest pewne i dopiero teraz sobie zdaję z tego sprawę. Ona nigdy wcześniej nie mówiła do mnie „Marcello”. Zawsze byłem dla niej „Ninni”, nigdy nie wołała mnie po imieniu. Nigdy. Dlaczego dopiero teraz to widzę?

Rocco wziął głęboki wdech.

– Poda mi pan łaskawie swój telefon.

Marcello wyjął z kieszeni telefon i go podał. Rocco sprawdził spis połączeń przychodzących.

– O tutaj. Godzina trzecia piętnaście w poniedziałek rano. Odebrał pan połączenie na numer 333252504, czyli pański, z numeru, który należał do Viorela Midei. Połączenie trwało... trzy sekundy?

– Rocco zmrużył oczy i jeszcze raz sprawdził. – Jak to: trzy sekundy?

– O tej porze zwykle śpię, wie pan. Nie spędzam czasu na rozmowach – odpowiedział Marcello, przeciągając dłońmi po twarzy.

– Ta komórka oprócz kodu operatora ma tylko sześć cyfr. Jakim cudem?

– Pietro dogadał się z operatorem. Chciał, żebyśmy wszyscy w firmie, choć ja do niej należę tylko formalnie, mieli specjalny blok numerów. Mój kończy się na 04, Pietra na 01, Giuliany na 03, Cerrutiego na 07 i tak dalej, inni pracownicy mają kolejne końcówki.

Rocco zamilkł. Czuł, jak ziemia drży mu pod nogami i zaraz wielki wir wessie go jak cukierek. Gapił się w twarz nauczyciela, który poczuł się zmieszany.

– Co jest? Czemu pan tak patrzy?

– Golił się pan rano?

Marcello pomyślał, że policjant naprawdę ma jakąś psychiczną przypadłość.

– Jak codziennie rano. Nie znoszę zarostu.

– Do kurwy nędzy! – Rocco krzyknął tak głośno, że profesor aż podskoczył na krześle. – Ale ze mnie dumny kutas! – Wykręcił numer. – Halo, Farinelli? Jesteś jeszcze w Aoście?

– Nie, zostali moi ludzie, mogę dać ci do nich namiary.

– Słuchaj, może sobie przypomnisz. Chodzi o zabójstwo Cerrutiego... Pamiętasz, przed kamienicą jest jakby ogródek.

– Tak, pokryty śniegiem. Ogniki i srebrnikowce. A co?

– Sprawdzaliście tam?

– Jasne. Koło jednego krzaka znaleźliśmy ślady. Ktoś podszedł, pokręcił się i odszedł.

– Według ciebie czego szukał?

– Na początku myślałem, że to ktoś z psem. Ale nie było śladów zwierząt na śniegu. Gdyby to było lato, to bym ci powiedział, że komuś z balkonu spadł ręcznik i zszedł go odzyskać. Ale nie mamy lata.

– Raczej nie, bym powiedział. Dzięki, kolego.

– Nie ma sprawy.

– Ach, dzięki, że tak wszystko dokładnie zrelacjonowałeś Baldiemu. Nieźle mnie wrobiłeś.

– Nie po raz pierwszy i nie ostatni.

– I tu muszę się z tobą zgodzić. – Z rozbawieniem odłożył słuchawkę, patrząc na Bergueta.

Potem oparł łokcie na blacie i skrywał twarz w dłoniach przez czas, który profesorowi wydawał się nieskończonością. Wreszcie przetarł oczy i spojrział.

– Wie pan, dlaczego dzieją się pewne rzeczy? Bo człowiek nie patrzy uważnie.

– Wiem. Wystarczy małe roztargnienie, drobny błąd w obliczeniach i nie można znaleźć wartości niewiadomej.

– Nie pomyślałem o golarce. Golarce z resztką pianki w łazience Cerrutiego. Przecież on się nie golił.

Marcello spuścił wzrok.

– Dlaczego od razu pan nie powiedział, że był kochankiem Cristiana?

– Nigdy pan o to nie zapytał. A przede wszystkim od kiedy siedzę tu, w tym biurze, nie dał mi pan dojść do głosu. Gdyby zamiast mnie atakować, posłuchał pan trochę, oszczędzilibyśmy sporo czasu.

Rocco potrząsnął głową.

– Dobra, niech pan mówi.

– Mój związek z Cristianem był, i chciałbym, żeby pozostał, tajemnicą. Wie pan, jestem nauczycielem, Aosta ma czterdzieści tysięcy mieszkańców, niewiele trzeba, żeby dostać łatkę i być na językach wszystkich. Nie jesteśmy w Rzymie.

– Przepraszam za moje głupie pytanie.

– Nie ma sprawy. Między mną a Cristianem nie układało się dobrze. Był nieswój, napięty, coś

ukrywał. Mówimy o poranku zabójstwa. Wyszedłem wcześniej, przed ósmą, musiałem być wcześniej w szkole. Cristiano był z kimś umówiony kwadrans po ósmej.

– Z kim?

– Nie chciał mi powiedzieć. Już panu mówiłem: był nerwowy, wkurzał się o byle co, kłóciliśmy się od paru dni.

– Może brat albo Giuliana już panu mówili: Cristiano był zamieszany w porwanie pańskiej bratanicy.

– Wiem. Dlatego, jak pan widzi, nie rozpaczam. Niczego nie zrozumiałem. Widywaliśmy się, rozmawialiśmy, ale nie wiedziałem, kim naprawdę jest Cristiano Cerruti. Myślałem, że jest... jak on tak mógł? Jak mógł się wkręcić w tę historię?

– Czy trzy miliony euro wystarczą panu za odpowiedź?

Marcello zatarł ręce.

– Ma pan papierosa?

Rocco pomyślał o skrytce z marihuaną, ale wydało mu się to przesadnym gestem.

– Italo! – krzyknął przez drzwi. – Moment, zaraz przyjdzie jeden z moich, pali straszne gówno, ale lepsze to niż nic.

Wszedł Italo.

– Słucham.

– Odpal dwie fajki i sam sobie zapal.

Italo podał papierosa Marcellowi, wetknął sobie jednego do ust i wreszcie rzucił paczkę wicekwestorowi.

– Zostały dwa, będzie miał pan na potem – dodał z udawaną grzecznością. – No i jak? Śpiewa? – spytał, nie wiedząc nic o nagłym zwrocie akcji.

– A co to, festiwal w Sanremo? Kto tu ma śpiewać? Lepiej usiądź, posłuchaj i wiedz, że zaliczyliśmy w związku z tym panem kolejną idiotyczną wpadkę.

Zapalili i zaraz gęsty dym wypełnił pokój. Rocco wziął kartkę.

– Telefon Cristiana miał na końcu siódmą. Pański czwórka. Jak się spojrzy na układ klawiatury, to całkiem możliwe, że Viorelo się pomylił, po ciemku, półśpiący.

– Co więcej – dodał Italo – sprawdziliśmy, że połączenie z numerem pana Bergueta odbyło się dwie minuty przed tym, jak furgonetka wypadła z drogi. Wiemy to, bo zegar samochodowy zatrzymał się na tej godzinie.

– No więc Viorelo zapewne chciał zameldować Cristianowi, że wszystko było w porządku.

Dziewczyna pojmana i tak dalej. Logiczne?

– Tak.

Rocco podszedł do okna.

– Wyszedł pan z domu Cerrutiego przed ósmą.

– Tak.

Italo rozdziawił usta, dopiero teraz zrozumiał, jaka była rola profesora w domu Cerrutiego.

– Proszę szczegółowo opowiedzieć.

– Ogotłem się, ubrałem, wsiałem do windy, zjechałem do garażu. Wyjechałem samochodem. Widzi pan? – Wyjął z kieszeni pęk kluczy spięty brelokiem z literą M. – Bramę do garażu otwiera się tym bolcem.

– Tak, widziałem te klucze za pierwszym razem w waszym domu. Powinienem być je zapamiętać.

– To wszystko. Pojechałem do szkoły.

– Podczas gdy ktoś wchodził do mieszkania i zabijał Cristiana. Zapewne ten, którego widziała dozorczyń. Znał pan dobrze Cristiana, czy miał jakieś posiadłości w Aoście? Wille w górach, szopy, stodoły?

Marcello namyślał się chwilę.

– Nie, on nawet nie był stąd. Pochodził z Marchii. Mieszkał w Aoście od trzech lat... Jedyne, co miał, to samochód i mieszkanie.

- A czy w samochodzie znaleźliśmy coś ciekawego, Italo?
- Nic.
- Dziękuję, profesorze, proszę wracać do swoich spraw.
- A Chiara?
- Znajdziemy ją, może być pan pewny. Gdyby panu się coś przypomniało...
- Niech mi pan wierzy, nie myślę o niczym innym.

Miał wrażenie, że stoi na dworcu, na którym są same ślepe tory. W ciszy złożył głowę na rękach wspartych na blacie, przymknął oczy i odtwarzał sobie wszystko, co widział i słyszał przez te dni. Umysł krążył samopas od twarzy Cristiana Cerrutiego do twarzy jego rzymskich kumpli. Furio, chudy i łysy, z wyrazistymi oczyma, które wyglądały zawsze jak podmalowane. Sebastiano, niedźwiedź, który włosów miał aż za dużo i nie zdradzał zażyłości z grzebieniem. Brizio, przystojniak, którego zwali Alanford, rudawy z wąsiskami. Potem pojawiała mu się twarz Pietra Bergueta, następnie Giuliany, która zamieniała się w twarz Adele jadącej właśnie pociągiem, żeby ukryć się w jego domu w ramach beznadziejnej gierki uczuciowej, jaką często prowadzą ze sobą zakochani. Nie, tak się nie da. Otworzył oczy. Italo cały czas siedział w milczeniu.

- Myślałem, że śpisz.
- Nie. Zastanawiałem się. Ale ciągle walę głową w drzwi i nie mogę wydostać się z pokoju.
- Mogę w czymś pomóc?
- Coś musiałem przegapić. Czego mi brakuje? Czyj był ten głos z kalabryjskim akcentem przez telefon? Kiedy przyślą nam resztę numerów wybieranych przez Viorela?
- Później, mówią, że pod wieczór.
- Na razie wiemy, że dzwonił do Cristiana Cerrutiego.
- Dzwonił też do Rumunii...
- Pewnie jakiś krewny.
- I do pizzerii Posillipo.
- Gdzie pracował trzy dni w tygodniu. U niejakiego Domenica Cuntrery.
- Zwanego Mimmo.

Jak przychodzą olśnienia? Zwykle znienacka. Często chodzi o rzeczy już znane, które zjawiają się nagle jak świetliki w czerwcu. Czasami przypominają żarówki, o których się myślało, że są przepalone, a które nagle rozbłyskują mocą jakiegoś cudu techniki.

- Pizzeria Posillipo! Pamiętasz, co mówił udawany neapolitańczyk? Że nie znał Figusa.
- A tymczasem?
- Jego matka, ta pani z cukrzycą, miała w garści kupony z pizzerii. Mówiła, że Mimmo jej podarował.
- Myślisz, że to on?
- Udawany neapolitańczyk? Mówił, że jest z Soverato, pamiętasz?
- Nie wiem, gdzie leży Soverato.
- Ale ja wiem.
- Jaki dzień dzisiaj?
- Czwartek, Rocco.
- Tu jest napisane, że zamknięte we środy. Dlaczego nie ma nikogo? – Rzucił okiem do wnętrza pizzerii. Wszystkie światła pogaszone. – Powiem ci dlaczego. Bo nasz pseudoneapolitańczyk już dawno zwiął.

- Mówisz, że to on?
- Na sto procent.
- Co teraz?
- Wkurwiłem się. – Podniósł z chodnika kawał cegły, otrzepał ze śniegu i rzucił w witrynę knajpy. – Proszę. – Uprzejmym gestem wskazał Italo, żeby wszedł do środka.

Na stołach leżały przygotowane nakrycia. Lampy były pogaszone, tylko jedna mała jarzeniówka nad lustrem oświetlała wnętrze. Weszli do kuchni, włączyli światło. O ile sala była przykładem ładnej

architektury wewnątrz, to kuchnia wręcz odpychała. Tłusta, brudna, czarna od kurzu. Popękane kafelki, liszczące pleśni na poplamionej podłodze. W tej jakby pieczarze, którą odpowiedni organ już dawno powinien był zamknąć, nie było śladu życia. Poza lampkami kontrolnymi wielkiej lodówki wszystko było wyłączone, porzucone. Na blacie roboczym leżała kula ciasta na pizzę. Ostry zapach skisłego mleka kłuł w nozdrza. Otworzyli drzwi do biura. Wszystko stało w najlepszym porządku z wyjątkiem metalowej szafy. Pospiesznie otwarta i wybebeszona. Dwie z sześciu półek były całkiem puste.

– Co za pośpiech... Idźmy dalej.

Przeszli znowu do kuchni i otworzyli drzwiczki do magazynu. Brama garażowa oddzielająca go od parkingu na zapleczu była otwarta. Na śniegu ślady opon. W magazynie stały drewniane skrzynki, zgrzewki wody, dwa ogromne stoły pełne puszek z przecierem pomidorowym, wielka lodówka. Nie działała.

Rocco wsadził głowę. Na półkach dość zapasów, żeby przetrwać wielomiesięczne oblężenie. Puszki, worki mąki, soli i cukru. Uwagę Rocca przyciągnęło metalowe wiadro. Wystawał z niego kij od szczotki, ale w środku nie było wody. Banknoty: pięć, dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt euro. Pomięte, zrolowane, stare i zużyte.

– O kurde – szepnął Italo.

– Masz ochotę je policzyć?

– Co to za miejsce? Kto tu siedział? – Italo pochylony zaczął liczyć pieniądze.

– Jeszcze nie zrozumiałeś?

– Nie.

– 'Ndrangheta.

– W Aoście działa 'Ndrangheta?

– A czemu nie? Coś w tym mieście jest nie teges? – spytał ironicznie Rocco. – Trzeba zawiadomić Baldiego, potrzebujemy nakazu zatrzymania Domenica Cuntrery. I zadzwońmy na komendę, ściągnijmy tu ludzi, Costa będzie miał co opowiadać dziennikarzom.

Wyjął komórkę, Italo dalej liczył.

– Panie komendancie, mówi Schiavone. Właśnie ściągam ludzi do pizzerii Posillipo. Była to centrala lokalnej siatki mafijnej, która odpowiada również za zniknięcie Chiary Berguet. – Przyglądał się, jak Italo segreguje banknoty na kupki, starając się je rozprostować.

– Tak, lepiej zawiadomić Rzym. Pożyczki, lichwa, to co zawsze. – Zakrył słuchawkę i zapytał Itala: – Ile tego jest?

– Trzydzieści siedem tysięcy euro.

– Tak, znaleźliśmy też gotówkę, dwadzieścia tysięcy w małych nominałach.

Italo spojrział na szefa, ten puścił do niego oko.

– Jasne, sam zadzwonię do wydziału antymafijnego.

Rozłączył się.

– Bierz te siedemnaście tysięcy, zanim tamci przyjadą.

– Naprawdę?

– Czy wyglądam na takiego, który żartuje? Trochę gotówki na dobre cele.

– Jakie? – spytał Italo, upychając banknoty po kieszeniach.

– Pamiętajmy, że Chiara na nas czeka. No już, sprężaj się.

Zostawili kolegom z centrali dalsze oględziny pizzerii Posillipo i wrócili na via Chateland, do mieszkania Carla Figusa.

– Rocco, mogę nie wchodzić na górę? Źle się tam czuję.

– Masz, żuj to. – Dał mu gumę owocową.

– Od tego się lepiej poczuję?

– Nie wiem, ale przynajmniej będziesz miał przyjemny smak w ustach.

Otworzyła im matka Carla. Nie uśmiechnęła się na powitanie. Cofnęła swój wózek, żeby ich wpuścić.

– Wrócił pan...

Miała na sobie ten sam sweter z Myszką Miki.

– To nie jest niestety wizyta towarzyska, proszę pani.

Italo rozglądał się ze wstrętem po śmieciach wypełniających mieszkanie. Żuł kompulsywnie gumę, ale smród starości i stęchlizny był zbyt przenikliwy, żeby mogła go pokonać zwykła guma owocowa.

– A co się stało? Co zrobiłam? – Jej źrenice rozszerzyły się za grubymi szklami.

– Nic, ale musi mi pani powiedzieć prawdę.

– Napiją się panowie kawy?

– Nie, dziękuję. Domenico Cuntrera, zwany Mimmo. Zjawiał się tutaj?

– Nie znam go.

Nie umiała kłamać. Spuściła wzrok, drapała się po ramieniu.

– Pytam panią po raz drugi: gdzie jest Mimmo?

– Mówię, że go nie znam. – Głos jej drżał, ścisnęła kurczowo koła wózka. – Nic nie wiem. Po co mnie pan pyta? Dlaczego się pan tak odzywa? Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

– Jesteśmy dalej przyjaciółmi. Jeśli powie pani prawdę, będziemy jeszcze bardziej.

Przesunęła wózek.

– Nic nie wiem, nie znam go.

– Ale te kupony z pizzerii, sama mi pani je pokazywała. Kto je pani dał?

– Nie mam żadnych kuponów z pizzerii, nie mam. Nie znam... – Nagle się zacięła.

Pośrodku wąwozu wytyczonego między zwałami śmieci pojawiła się koścista postać Adelma, dziadka Carla. Ledwo stał na nogach, wspierając się o framugę, obserwował policjantów przepytujących jego córkę pośrodku tego śmietniska. Podniósł rękę, chciał mówić. Wyjął powoli chustkę, otarł usta, spojrział na Rocca i odezwał się.

– Przyszedł tu tego dnia, co Carlo zginął. I jeszcze wczoraj. Znow przyszedł.

– Czego chciał?

– Nie wiem. Ciągłe pytał: gdzie jest? Gdzie go Carlo mógł odłożyć? Szukał po całym domu, tu pod spodem, pod całym tym syfem... – Rocco miał wrażenie, że staruszek się uśmiecha. – Tutaj może być wszystko, nawet trup i nikt się nigdy nie dowie.

– Czego szukał? – Rocco starał się nalegać jak najuprzejmiej.

– Mówił tylko: gdzie Carlo to podział? Ale przysięgam, że nie wiem, o co pytał. Wychodził i krzychał: debile. Właśnie tak: debile!

– Nie boi się pan?

– A co mam do stracenia? – Wzrokiem omiół śmietnisko i córkę na wózku. – No niech pan sam powie.

Rocco odwrócił się w stronę Itala. Wyjął mu z kieszeni spodni plik banknotów zawinięty w folię.

– Proszę, panie Adelmo, przydadzą się panu.

Staruszek nie okazał zaskoczenia. Popatrzył na pieniądze, ale ich nie wziął.

– Co to jest?

– Zadośćuczynienie za głupotę pańskiego wnuka. Niech pan weźmie, to ważne.

Adelmo wyciągnął drżącą rękę. Folia zaszeleściła w jego pogiętych artretyzmem palcach.

– No to my już idziemy, żegnam panią, żegnam pana.

Rocco zrobił w tył zwrot i przemierzył ścieżkę wśród śmieci aż do drzwi.

– Ile mu zostawiłeś?

– Jedenaście tysięcy euro. Dla nas wystarczy sześć na spółkę. Na bieżące wydatki.

– Super!

– A teraz na ostro do roboty.

– Czemu?

– Bo teraz już nie mam wątpliwości, że Chiara jest sama. I nikt nie wie gdzie.

W gabinecie Rocca ruch był jak na stacji metra w porannym szczycie. Przyszli wszyscy policjanci, jacy jeszcze byli do dyspozycji w komendzie. Patrzył na ich twarze. Italo, Antonio, Rispoli...

Reszta tworzyła przygnębiającą galerię. D'Intino z oczkami śniętej ryby, Deruta i jego zwaliste cielsko, Casella, chłopak z neapolitańskich przedmieść, którego imienia nawet nie pamiętał. No i jeszcze dwóch mundurowych w wieku przedemerytalnym.

Daleko z nimi nie zajadę, powtarzał sobie w duchu, rozkładając mapę, za pomocą której miał wyjaśnić czekające ich zadanie.

– Musimy odnaleźć dom, budynek, zapewne wolno stojący, odległy od innych ludzkich siedzib.

Omijamy wieś. Szukamy w trójkącie Salirod–Promiod–Saint-Vincent.

– Ożeż kurwa – szepnął któryś policjant.

– Ale jest coś, co nam sprzyja. Śnieg. Zaczął padać we wtorek wieczorem. Skoro porywacze zginęli w poniedziałek, sądzę, że od tego czasu nikt nie zbliżył się do kryjówki. Szukamy więc miejsca, gdzie nie ma śladów opon, butów, gdzie nikt nie odgarniał śniegu.

– No dobra, to już jest coś – rzucił Casella.

– Ilu nas jest?

Rispoli policzyła.

– Z panem dziesięcioro. Ale ktoś musi zostać w biurze, prawda?

– A ty, Caterina, zabierasz się z nami?

– No jasne, mam gdzieś gorączkę.

– Dobra. Ile mamy samochodów?

– Sześć, ale jeden musi zostać pod komendą na wszelki wypadek – odpowiedział Italo.

– No to pięć.

Neapolitańczyk nieśmiało podniósł rękę.

– Tak naprawdę jeden od trzech dni jest unieruchomiony.

– W takim razie cztery.

– Jeden stoi rozbity przez D'Intino.

– Mamy trzy samochody? Tylko trzy?

– Trzema samochodami zabierzemy się nawet w piętnastu! – Deruta próbował zaszczepić zgromadzonym optymizm.

– Deruta, musimy się podzielić na dwuosobowe zespoły. Potrzebujemy pięciu wozów. Ja pojedę swoim, więc mamy cztery.

– A ja mam motocykl – dodał neapolitańczyk.

– W taki ziąb?

– W takiej sytuacji nie ma co wybrzydzać...

– Masz drugi kask?

– Mam.

– W takim razie Deruta i D'Intino biorą pierwszy radiowóz. Umiecie pracować w parze, wiem o tym.

– Tak jest.

– Italo i inspektor Rispoli w drugim.

– Dobra.

– A ty, młody człowieku, zabierasz Casellę na swój motor.

– Dlaczego ja? – zaprotestował Casella.

– Bo tak. Ubierz się, kup aspirynę i wsiadaj na motor. A wy dwaj – wskazał na dwóch starszych policjantów, których nie widział dotąd na oczy – jak się nazywacie?

– Curcio – zameldował się pierwszy z brodą.

– A ja Penzo – przedstawił się łysy.

Rocco uśmiechnął się. Curcio i Penzo to byli dwaj piłkarze Romy, których brakowało mu do skompletowania albumu.

– Wsiadacie do trzeciego radiowozu, a ja z Antoniem pojedziemy moim. Spotykamy się na parkingu za dziesięć minut.

– Szefie... – Italo złapał go za łokieć.

– Co jest znowu?
– Drugi radiowóz ma pusty bak.
– Kurde balans. – Rocco wyjął pięćdziesiąt euro. – Masz, razem będzie już stówa na paliwo z mojej kieszeni.

„Załoga G” przeszła w tryb wojenny. Wszyscy stali rzędem przed samochodami. Wręczył im krótkofalówki.

– Uwaga! – krzyknął, podnosząc jedną tak, by wszyscy widzieli. – Kanał drugi, jasne? Kanał drugi. A teraz jazda!

Wsiadł do swojego samochodu i podjechał do bramy. Kolumna ruszyła. Na czele volvo Rocca, na końcu motocykl neapolitańczyka. Casella już szczykał zębami z zimna. Nadzieja była nikła, Rocco o tym wiedział. Ale musiał działać, za wszelką cenę trzeba było podjąć próby uratowania Chiary Berguet. Na resztę będzie czas potem.

– Jak to ci się widzi, Antonio?

– Kiepsko, kiepsko. Jak nie będziemy mieli gigantycznego farta...

– Po drodze spróbujmy raz jeszcze się zastanowić, może coś przegapiliśmy.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem.

Na wysokości Saint-Vincent rozdzielili się. Schiavone i Scipioni skręcili na drogę do Closel. Wspinali się serpentynami. Lasy, skały, wszystko pokryte płaszczem śniegu. Wyjechawszy ze wsi, Rocco zwolnił i z uwagą sprawdzał stan licznika. – Dobra, od tego miejsca możemy zacząć się rozglądać za domami.

– Od jakich zaczynamy?

– Tych na odludziu. I sprawdzamy dróżki odchodzące w bok do lasu, mogą prowadzić do domów.

– To ja bym zaczął od tego. – Antonio wskazał na dom z zaryglowanymi okiennicami. Wyglądał na opuszczony. Wokół nie było śladu ludzkich kroków. Śnieg pokrył stertę drewna i huśtawkę. – Wygląda jak dom letniskowy. Spróbujmy.

Wystarczyło lekko pchnąć drewnianą furtkę. Antonio popatrzył na buty Rocca.

– Szczerze mówiąc, to one nie za bardzo...

– Wiem! Wiem, już się przyzwyczailem.

Przeszli przez ogród. Na tarasie puste doniczki, gdzieniegdzie tylko kikuty pelargonii. Śnieg dookoła był dziewiczy. Rocco dotarł do zaryglowanych drzwi. Próbował coś dojrzeć przez wizjer w kształcie serduszka. Wyjął scyzoryk i pochylił się nad zamkiem.

– Co robisz?

– Musimy jakoś wejść, nie?

Pogmerał kilka sekund przy zamku, otworzył go.

– O, całkiem niezłe. Uczą tego na szkoleniach dla policji w Rzymie? – zażartował Antonio.

Weszli do środka. Było ciemno, właściciele odłączyli na zimę prąd. Poświecili sobie komórkami. Pachniało kurzem i folią, która pokrywała meble.

– Zejdź do piwnicy.

Antonio znalazł schody na dół. Rocco wspiął się na piętro, do sypialni. Były dwie. Jedna z małymi kolorowymi łóżeczkami, wytapetowana w smerfy. Druga małżeńska. Nic. Wrócił na parter. Spotkał Antonia.

– No i jak?

– Nic.

– No to pierwszy dom zaliczony.

– W tym tempie ile nam to zajmie?

– Choćby i całą noc. Całą noc.

Kiedy wsiedli do samochodu, zaskrzeczało radio.

– Rocco? Mówi Italo.

– Słyszę cię, odbiór.

– Weszliśmy do jednego domu, wyglądał na opuszczony, ale w środku są ślady włamania. Co robimy?

– Zanotuj sobie i szukaj dalej. Potem się tym zajmiemy.

Radio zgasło.

– Kiedy tak będziemy jeździć, opowiesz mi jedną rzecz?

– Jeśli mogę.

– Dlaczego cię przenieśli do Aosty?

Rocco wypatrywał czujnie domów.

– Za karę.

– Za co?

– Stosuję prawo w sposób za mało zrównoważony.

– To znaczy?

– Czasami nie panuję nad sobą.

– A mogę spytać, co się konkretnie stało?

– Nie, nie mam ochoty. Ale Italo wszystko wie, jego zapytaj.

Rocco na lewo, Antonio na prawo, lustrowali uważnie polany i lasy. Biel odbijała się na ich zmęczonych twarzach i drażniła oczy.

– Te domki tam?

– Za blisko. Stoi samochód, zapalone światła. Nie zajmujemy się tymi, które stoją blisko innych.

Zaliczyli kolejne dwie serpentyny, nie widząc domów ani bocznych drózek, tylko kilka ścieżek dla wspinaczy.

– Ile mamy jeszcze światła?

Antonio spojrzał na zegarek.

– Niewiele.

– Popatrz! – W bok odbijała leśna droga. – Może ta?

– Nikt nią nie jeździł. Skręcaj.

Rocco energicznie wjechał na śnieg. Świetna szwedzka mechanika i napęd na cztery koła dowiozły ich sprawnie pod starą rudę.

– Wygląda jak stodoła – zauważył Sycylijczyk.

– Zajrzyjmy.

W rześkim powietrzu pachniało palonym drewnem i żywicą. Żadnego odgłosu poza śniegiem spadającym czasami z drzew.

– Moim zdaniem nie ma tu nikogo.

Stary dach był zarwany w paru miejscach. Górne piętro ziało wypatroszone jak szkielet na pustyni. Parter natomiast stał jeszcze nienaruszony. Drzwi otwarte na oścież. W środku tylko parę bel siana i stare opony od traktora. Nic poza tym.

– Pudło, wracamy do samochodu.

Po drodze, jakby go w czubek głowy rąbnął ciężki młotek, Rocco stanął na śniegu. Antonio widział, jak gapi się w nieokreślone miejsce w oddali.

– Źle się czujesz? Szefie, hej, coś nie tak? – Podbiegł do wicekwestora. Od razu popatrzył na buty, bał się, że przełożony odmroził sobie stopy. – Rocco! Słyszysz mnie?

– Carlo miał na nazwisko Figus, prawda?

– Prawda.

– A myślisz, że to było nazwisko jego matki? Nie sądzę, żeby kobieta z Aosty urodziła się z sardyńskim nazwiskiem.

– Może to było nazwisko jej męża.

– Jak się nazywał dziadek Carla, ten, co go wiozłeś do szpitala?

Antonio drapał się w brodę i usiłował sobie przypomnieć.

– Zaczekaj... Adelmo, Adelmo...

– Rosset! – wykrzyknął Rocco. – Adelmo Rosset!

– Ale o co chodzi?

Rocco wyjął komórkę.

– Może jest jakaś nadzieja.

Italo i Caterina znaleźli dom odpowiadający opisowi. Pośród połaci śniegu, oddalony od innych, najbliższa chałupa stała pięćset metrów dalej. Wydawał się opuszczony. Zostawili samochód na poboczu i zaczęli się wspinać pomiędzy drzewami.

– Dasz radę, kochanie? – zapytał Italo.

– Spoko. Albo zaraz dostanę zapalenia płuc, albo wyzdrowieję.

Przeskoczyli na wprost zapadniętą furtkę i dotarli do parterowej chaty. Ściany z bali przypominały obrazek z nordyckiej baśni. Do drzwi prowadziły dwa małe schodki. Italo zapukał. Nikt nie odpowiedział. Drzwi ustąpiły. Pusto, ani jednego mebla, gołe ściany.

– Nie ma niczego.

Caterina obeszła dom. Przykucnęła, żeby zajrzeć przez rozbitą szybę do piwniczki.

– Italo, tu coś jest!

Italo biegnąc, potknął się o ukryty w śniegu kamień.

– Gdzie?

– Tu na dole. Widziałam, jak coś się rusza.

Okrążyli róg, znaleźli drzwi prowadzące na dolny poziom. Italo spróbował je otworzyć.

– Chiara, słyszysz mnie? Chiara?

Drzwi nie ustępowały. Italo napierał ramieniem, ale bez skutku.

– Strzelaj!

– To nie zadziała, Cate, nie zadziała – odpowiedział Italo, waląc dalej w drzwi, które wreszcie zaczynały puszczać. Jeszcze jedno solidne pchnięcie i wypadły. Coś ze środka wystrzeliło z prędkością światła. – W mordę, co to?

Rozległo się ciche kwilenie i nagle białe kudłate stworzonko leżało brzuchem do góry u stóp Cateriny, merdając ogonem i szcękając z zadowoleniem.

– Pokaż się tu, maluszk. – Caterina schyliła się. – Wpadł do środka, biedaczek.

Zacząła go głaskać, szczęśliwy piesek lizał ją po rękawiczce.

– Uważaj, może mieć wściekliznę – ostrzegł ją Italo. Nigdy nie lubił psów.

– Co ty pieprzysz, jaka wścieklizna. Patrz, jaki jest wychudzony. – Zwróciła się do psa, zmieniając ton, jakby lepiej rozumiał wyższe dźwięki. – Głodny jesteś? Jak długo nie jesz?

– No już, idziemy, niedługo skończy się światło.

– Chodź, mały. – Podniosła pieska. Było to skrzyżowanie setera, owczarka i dwudziestu siedmiu innych ras. – Zobacz, jak drży.

– Nie masz chyba zamiaru go zabrać ze sobą?

– A co? Przecież go tu nie zostawię.

– Chcesz zabrać tego śmierdziela pełnego pcheł do samochodu?

– Możesz zostać tutaj i wrócić sobie na piechotę.

– Przepisy nie...

– Pierron! Rozmawiacie z wyższym stopniem oficerem. Rozkazuję nie zawracać mi dupy i wrócić do radiowozu.

– Zwariować z tobą można.

– Nie słuchaj go. Pójdiesz teraz z mamusią... – Inspektor Rispoli ze szczeniakiem wtulonym w jej pierś ruszyła do samochodu.

Słońce zachodziło. A wraz z nim nadzieja na odnalezienie Chiary.

– Jasne, nie rozłączam się, czekam.

– I co, mają coś? – spytał Antonio. Rocco dał znak ręką, że nie wie. Antonio zapalił papierosa. Rocco wyrwał mu go i wsadził sobie do ust. Antonio zaskoczony wyjął następnego.

– Ty też chesterfieldy? – spytał z obrzydzeniem. – Czy was pogięło, że wszyscy kupujecie to gównno?

Antonio wzruszył ramionami i zapalił swojego.

– Tak, jestem na linii, może pani mówić. – Rocco słuchał, Antonio czekał w gotowości z długopisem, by notować na odwrocie wizytówki. – Tak? Naprawdę? – Rocco podskoczył z radości. – W takim razie mamy podjechać do osady Closel, siedem kilometrów za rozwidleniem, ciągle prosto...

Antonio zapisywał, wizytówka już się zapełniła, pisał dalej na swojej dłoni.

– Tak, potem trzy kilometry i odbić przed następnym rozwidleniem na prawo. Wielkie dzięki! Rozłączył się.

– Adelmo Rosset ma nieruchomość, na wpół zawaaloną chatę, niedaleko stąd. Ja poprowadzę, a ty ściągasz przez radio wszystkich, niech tu przyjeżdżają.

Powoli jechał w górę serpentynami w stronę Closel. Rozdzwoniła się komórka.

– Nie, błagam, nie! Niech się teraz nie okaże, że urzędniczka katastru się pomyliła!

Odebrał połączenie.

– Schiavone!

– Rocco, tu Adele.

– Kochana, nie teraz, proszę.

– Przyjechałam do Aosty.

– Świetnie. Słuchaj, klucze zostawiłem w komisariacie. Rozgość się w moim mieszkaniu, widzimy się wieczorem.

– A ty gdzie jesteś?

– Szkoda gadać, widzimy się potem. – Rozłączył się.

– Nie wydaje ci się, że to przesada ściągać sobie panienki na wieczór w takiej sytuacji?

– Antonio, pozwoliłem ci mówić do mnie na ty, ale teraz przesadzasz.

– Przepraszam.

– Widzę to rozwidlenie, wcześniej powinna być polna droga po prawej, która odchodzi pod kątem w górę...

W lecie musiała to być okolica rozkosznych szmaragdowych łąk, na których pasły się spokojnie albo spały w cieniu świerków krowy. Teraz widać było tylko gdzieniegdzie czarną kropkę gawrona szukającego jedzenia, kreski drobnych strumyczków wyciekających spod śniegu w stronę drogi, gdzie tworzyły błotniste smugi. Dookoła ośnieżone skały zasłaniały niebo i przypominały święteczne baby oblane lukrem.

– Jest!

Dwa okorowane paliki na poboczu wskazywały początek gruntowej drogi wspinającej się ku skałom. Zaraz po lewej stał dom, ale zamieszkały. Rocco wykluczył go.

– Musi być dalej przy tej cholernej drodze.

Przyspieszył, koła trzymały się podłoża i samochód pewnie brał kolejne nierówności górskiego szlaku. Za zakrętem widać było w oddali dach ukryty pośród gałęzi świerka.

– To tam? – zapytał Antonio.

– Być może.

W miarę jak się zbliżali, wyłaniał się parterowy domek z kamienia, osadzony na łagodnym zboczu wśród skał i drzew. Śnieg dookoła był niepokalany. Na jednej ze ścian dwa okna niczym para czarnych oczu z przerażeniem patrzyły na samochód. Nagle z boku wybiegł wprost pod koła rudy kot. Rocco o mało go nie przejechał.

– Kurwa.

– Na szczęście, stary! Rudy to na szczęście. Co innego, gdyby wybiegł nam czarny.

Dotarli do samotnego domku. Tylko Rocco pobiegł w jego stronę, Antonio przez radio starał się wyjaśnić kolegom, gdzie dokładnie mają dojechać.

Wdarł się bez trudu na parter, przejście blokowało tylko parę starych desek udających drzwi. Ale nie było tam niczego poza starą kuchenką i drewnianymi schodkami prowadzącymi na stryszek pełen pajęczyn. Ściany były pokreślone smugami ptasich odchodów. Patrząc w górę, można było dostrzec niebo przez przerwy między ocalałymi dachówkami. Skręcił w wąski korytarzyk, do którego z głównego

pomieszczenia prowadziły wpółotwarte drzwi. Kończył się kamiennymi schodami na dół. Ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, Rocco zszedł po stopniach i dotarł do starych drewnianych drzwi zamkniętych łańcuchem, przeciągniętym przez dziurę w ścianie na drugą stronę. Łańcuch i kłódka były nowe. Spróbował pchnąć drzwi.

– Chiara? Chiara Berguet? Chiara, jesteś tu?

– Antonio, do mnie!

Sycylijsczyk wyskoczył z samochodu.

– Znalazłeś ją?

– Biegiem na dół!

Doprowadził go pod drzwi.

– Patrz, ten łańcuch, nówka sztuka.

– Chiara? – krzyknął Scipioni.

– Nie odpowiada, ale tam jest, wiem to na pewno.

– Co mam zrobić?

– Wywal te pieprzone drzwi.

Nie było dużo miejsca, żeby wziąć porządny rozbieg. Najpierw paroma lekkimi pchnięciami Antonio sprawdził siłę oporu, potem rzucił całe swoje dziewięćdziesiąt cztery kilogramy na stare deski, które posypały się jak pajęczyna, i wpadł z rozpędu do pomieszczenia.

Na ziemi z rękoma przytroczonymi do kawałka krzesła pośród kałuży krwi leżała Chiara Berguet!

Lekarze działali szybko i bezlitośnie, tak jak potrafią być bezlitośni tylko lekarze. Chiara straciła mnóstwo krwi, miała ciśnienie grubo poniżej normy, słowem cud, że w ogóle żyła. Przy skrajnym odwodnieniu tylko młodemu wiekowi i silnemu organizmowi zawdzięczała dalsze przebywanie wśród żywych. Na lewym udzie paskudna rana spowodowana przez odłamek krzesła. Poza tym ślady gwałtu. Leżała na oddziale intensywnej terapii i nikt nie mógł nawet zbliżyć się do drzwi sali. Rocco, sprawdzwszy, że wszystko jest jak trzeba, wyszedł na korytarz, żeby zadzwonić do prokuratora Baldiego i komendanta, który od razu zarządził konferencję prasową. Wykręcił się od niej i udając, że stracił zasięg, wyłączył komórkę.

Już miał wyjść ze szpitala, kiedy przez okno zobaczył, jak z samochodu wysiadają Pietro i Giuliana Berguet. Z pomocą pielęgniарza wymknął się bocznym wyjściem, żeby uniknąć łez, podziękowań i uścisków. Niech się nacieszą córką i do widzenia.

Pomimo że na Aostę spada już ciemność, jego dzień wcale nie miał się ku końcowi.

– Jazda, Italo. I daj mi fajkę.

Italo z uśmiechem odpalił silnik.

– Daliśmy radę, co?

– Proszę, zostaw mnie teraz w spokoju. Jestem wykończony.

Italo zamilkł i prowadził dalej w milczeniu. Spodziewał się tego: to był ten moment, kiedy Rocco wpadał w stupor, jakby dostał obuchem w głowę. Za każdym razem, kiedy kończyli jakieś dochodzenie, spadała nań ciemna mgła, jak chmura spowijająca górę. Italo zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje, ale nie był w stanie zrozumieć. On był radosny, dostawał nawet gęsiej skórki. Napracowali się i wreszcie rozwiązali sprawę. A Rocco wydawał się niepokieszony, zdruzgotany.

– Dlaczego zawsze tak masz? – Ich stosunki były już na tyle bliskie, że mógł pozwolić sobie na takie pytanie.

– Dlaczego co?

– Dlaczego robisz się smutny? Wygraliśmy, do cholery, może nie?

– Co wygraliśmy? Nie widzisz? Nie czujesz? Za każdym razem, kiedy masz do czynienia z tymi ludźmi, z tym ludzkim gównem, też zostajesz ufajdany. Wiedz o tym. Powoli, powoli nadejdzie dzień, w którym spojrzysz w lustro i zapytasz: co to za facet? I nie chodzi o starość, Italo, mówię o czymś, co jest w środku. Każdego dnia, kiedy brodzisz w syfie, coś w środku umiera. Nie dają już rady skakać w to szambo, brudzić się, zamieniać się w szczura, żeby dorwać tych skurwieli. Nie dają rady. Popatrz na moje buty. Widzisz? – Podniósł prawą nogę. But wyglądał jak stara opona porzucona na poboczu. – To

jestem cały ja w tej chwili.

– Baza organizacji znajdowała się w pizzerii Posillipo i w sklepie Berbeluszek. Złapali sporo ludzi w sidła pożyczek. Do Edil.ber przeniknęli dzięki wsparciu Cristiana Cerrutiego. Działali tylko dla zysku. Cristiano prawdopodobnie miał kryzys, odczuwał wyrzuty sumienia. Może chciał się do nas zgłosić. Ale było za późno. Domenico Cuntrera zlikwidował go, po czym zniknął. Prawdopodobnie dołączył do Cutriego w Lugano albo jeszcze gdzieś indziej. Nie odpuszczają, to nie są ludzie, którzy zostawiają robotę w połowie.

– Ale przynajmniej spółkę Edil.ber da się uratować? – zapytał komendant.

– Tak.

– Niech mi pan wyjaśni, Max, ten chłopak. Po co gadał w dyskotecze z tymi dwoma facetami?

– Rozprowadzał psychotropy w liceum. Jego ojciec jest lekarzem. To Max dostarczył pigułkę gwałtu, czyli stilnox, Figusowi. Potrzebowali jej, żeby uśpić Chiarę.

– Biedaczka wie, że ją zgwałcili?

– Nie, nie powiedziałem jej. Jeśli przeżyje, to pewnie niczego nie będzie pamiętać. Zostaje jedna rzecz do załatwienia. Ale nie mam ani dowodów, ani uprawnień. Jestem pewien, że za tym wszystkim stoi ktoś w banku, w Cassa di Risparmio della Vallée. To ta osoba odsyłała ludzi w potrzebie do mafiosów, zapewne z rekomendacją, że są przyzwoici.

– Uważa pan, że warto wszcząć dochodzenie?

– Czemu nie? Rozmawiałem o tym z prokuratorem Baldim, zakręci się koło tego.

– Kto jest teraz w pizzerii?

– Prokurator, paru policjantów, ten sam cyrk co zawsze.

– A pan gdzie teraz jest?

– W biurze. Jest późno i ledwie żyję ze zmęczenia.

– Rozmawiałem z wydziałem do spraw przestępczości zorganizowanej w Rzymie, jutro ktoś się od nich zjawi. Przyjdzie pan na konferencję prasową? To ważne. Organizacja mafijna działająca na pełnych obrotach w Aoście to wiadomość na paski z newsami w telewizji.

– Litości, panie komendancie, niech mi pan da się wyspać.

– W takim razie proszę tylko o szczegółowy raport.

– Jutro złożę go jeden z moich ludzi. Dobranoc.

– Dobranoc.

Odłożył słuchawkę, potarł ucho. Wszyscy dookoła w pokoju patrzyli na niego.

– Panie i panowie, odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

Casella szcząkał zębami z zimna. Oczy Antonia i Itala kleiły się ze zmęczenia. Curcio i Penzo przysypiali na kanapie, mało brakowało, żeby zaczęli chrapać.

Ale młody neapolitańczyk wyglądał, jakby wyszedł prosto z energetyzującej sauny.

– Jak się nazywasz?

Młodzieniec odpowiedział:

– Pietro Miniero.

– Świetnie, Miniero, właśnie wygrałeś losowanie. Napiszesz raport dla komendanta. Mam go mieć na biurku jutro rano.

– Tak jest. – I wyszedł jako pierwszy.

– Casella, spadaj do domu, na pewno masz gorączkę. Mówiłem ci, żebyś się porządnie ubrał. Wy też już idźcie. – Curcio i Penzo powlekli się do drzwi za Casellą.

Ciszę przerwało ni to skomlenie, ni to jęk.

– Kogo boli brzuch?

Italo i Caterina spojrzeli po sobie.

– Nie wiem – odpowiedział Antonio.

Rocco popatrzył na Caterinę.

– Co tam chowasz?

Caterina odsłoniła kurtkę i pokazała pieska. Spał.

– Był w jednym z tych górskich domków. Nie miałam serca go tam zostawić.

– Mówiłem jej, że nie powinna, ale nalegała.

Rocco wstał i podszedł do Cateriny.

– Śmierdzi.

– Był mokry, zasikany i głodny.

– Mokra, zasikana i głodna. Nie widzisz, że to suczka? – poprawił ją Rocco.

Wyciągnął ręce po szczeniaka. Psinka obudziła się, otworzyła oczy i językiem szybkim jak błyskawica polizała mu nos.

– Chcesz ją zatrzymać? – zapytał.

– Nie wiem. W domu nie mogę, myślałam o jakimś schronisku...

– Źle myślałaś. Wiesz, jak się nazywa?

– Nie. To znajda, skąd miałabym wiedzieć?

– Nazywa się Lupa. Cześć, Lupa, witaj. Podoba wam się mój nowy piesek?

Tak jakby go usłyszała, znów polizała go po nosie.

– To weźmie ją pan?

– Tak, nie mogę już teraz jej zostawić. Idźcie sobie do domu. Italo, oczekuję, że zaprosisz Caterinę, żeby uczcić razem sukces, do jakiejś porządnej restauracji, nie pizzerii typu Posillipo.

Wszyscy troje byli już w progu, kiedy Rocco coś sobie przypomniał.

– Momencik. A gdzie są Deruta i D'Intino?

– Nie wiemy. Od południa nie ma po nich śladu. Nie odpowiadają na telefony i na wezwania radiowe. Co robimy? – zapytała Caterina.

– Zawiadomcie straż leśną i ratownictwo górskie. Może jutro znajdą ich zamarzniętych.

Ze swoją nową towarzyszką Rocco wyszedł z biura, mając jeden życiowy cel: iść do domu się wyspać.

W blasku ogniska, mocno wtuleni w siebie, żeby zwalczyć zimno, D'Intino i Deruta tkwili w rozwalonej baczce na wysokości około tysiąc sześćset metrów, modląc się o rychłe nadejście świtu. Ich samochód leżał na wpół przysypany śniegiem w przydrożnym rowie.

– D'Intino, ostatni raz siadasz przy mnie za kółkiem.

– Nie masz czegoś do jedzenia?

Deruta nie odpowiedział. Przysunął się jeszcze bliżej ognia i rozcierał dłonie.

Szedł szybkim krokiem pustymi ulicami centrum, zależało mu, by jak najszybciej dotrzeć do domu. Lupa zasnęła i spała spokojnie. Jutro ją zaprowadzi do weterynarza na odrobaczenie, szczepienie i zaczipowanie.

Kilka metrów przed jego kamienicą od ściany oderwał się cień. Niósł kartonowe pudło. W świetle latarni odślonił swoją tożsamość: to Anna.

– Co tam masz?

– Mogłabym zapytać o to samo.

– Mam suczkę, nazywa się Lupa.

Anna podeszła dwa kroki. Odgłos obcasów rozbrzmiał na pustej ulicy.

– Mam to. Przydadzą ci się, bo te, co masz, już są do wyrzucenia. – Para nowych clarksów.

– Zaczynasz być kosztowny, Schiavone. Dwie pary butów w dwa dni, nie wydaje ci się, że to za dużo?

Rocco zaśmiał się.

– A więc to ty je podrzuciłaś? Dzięki.

– Nie przymierzysz?

– Tu, na środku ulicy?

– Wejdz do mnie. Mam lustro aż do ziemi.

– A Lupa?

– Co Lupa?

– No ona, suczka, tak się nazywa.

– Znajdzie się dla niej dobra poduszka.

– Ale nie zostanę u ciebie na noc.

– A ktoś cię o to prosi?

Rocco spojrział na nią. Poczuł, że byłoby tak pięknie choć ten jeden raz odpuścić sobie, nie myśleć, nie opierać się, nie psuć sobie radości z tego, co mu się przytrafia. Uratował jedno życie, drugie tulił w ramionach. Raz na jakiś czas mógłby się wreszcie uśmiechnąć. Życie mogłoby się wreszcie do niego uśmiechnąć. Rocco wzniósł oczy ku niebu. Pośród chmur migotała samotna gwiazda.

Powoli, krok za krokiem, noga za nogą. Bezszelestnie, bez zbędnych nagłych ruchów. Napięty i skupiony, cichszy od cienia, lekki jak skrzydła owada. Z pokoju obok słyszał chrapanie. Posuwał się dalej w ciemności. Tylko jedna latarnia oświetlała na pomarańczowo kanapę i podłogę w salonie. Jeszcze jeden krok, jeszcze jeden...

To była ta chwila. Otworzył nagle drzwi do sypialni. Wyciągnął przed siebie beretkę.

– Zdychaj, skurwielu. Za mojego brata, Schiavone!

Wystrzelał cały magazynek w ciało otulone kołdrą. W powietrze wyleciały pióra i strzępy tkaniny. Enzo Baiocchi schował broń do spodni i szybko opuścił mieszkanie wicekwestora.

W tej właśnie chwili Lupa podskoczyła na łóżku. Podpełzła do Rocca i zaczęła lizać go po uszach. Dopiero za trzecim pociągnięciem języka nagle się wybudził. Trzy sekundy zajęło mu zrozumienie, gdzie się znajduje. Trzy sekundy, wieczność.

Lupa stała obok poduszki i patrzyła, przekrzywając głowę. Na zewnątrz było ciemno. Mieszkanie Anny. Znowu zasnął w jej łóżku.

– Kurde, znowu... – wymamrotał.

Tak nie mogło być. Spojrzął na zegarek. Wpół do piątej. Musiał się ubrać. Ostrożnie, bez hałasu, żeby nie budzić kobiety, która pomimo odgłosów wydawanych przez suczkę ciągle spała. Kiedy tylko postawił stopy na podłodze, Lupa zaczęła merdać ogonkiem.

– Idziemy do domu – wyszeptał. Powoli podszedł do fotela po ubrania. – Tylko bądź grzeczna i nie szczekaj mi tu.

Wiążąc buty, przypomniał sobie o Adele. Miał nadzieję, że położyła się w jego łóżku, a nie na kanapie, która była niewygodna do spania. Nie udałoby się jej zmrużyć oka. Lupa tkwiła w miejscu, skulona w pościeli, nie przejawiała najmniejszej chęci wyjścia.

– No chodź, idziemy.

Piszcziała i merdała ogonem z pyskiem na nogach Anny.

– Chodź, mała, idziemy.

Zaszczekała.

– Nie szcze...

– Już sobie idziesz? – rozległ się zaspany, przytłumiony przez poduszkę głos.

– Nie śpisz?

– Niewygodnie ci tutaj?

– Troszkę.

– Nie muszę chyba mówić, że będzie mi przykro obudzić się bez ciebie obok.

– Obudzić się to i tak już sukces, nie sądzisz?

Z daleka rozległ się grzmot.

– Znowu pada, zostań.

Rocco zamyślił się. Rzucił okiem za okno. Nad miasto znów nadciągnęły chmury. Może byłoby bezpieczniej zostać do rana. Przynajmniej ciepło tu, a i łóżko było szerokie. Lupa już od paru godzin właśnie to chciała mu przekazać. Spojrzenie w jej krągłe, wodniste oczka rozwiało ostatnie wątpliwości. Znowu się rozebrał i wskoczył pod kołdrę.

– Obejmij mnie, proszę.

Anna miała lodowate stopy. Wsunęła mu je między łydki. Objął ją i już trzy minuty później spał z Lupą rozpartą na jego plecach.

Deszcz na dworze bębnił o asfalt. Przynajmniej tyle dobrego, że rozpuści resztki śniegu.

Piątek

*Freude, schöner Götterfunken
Tochter aus Elysium,
Wir betreten feuertrunken,
Himmlische, dein Heiligtum!*

– Ha... Halo, słucham?

– Schiavone, mówi Baldi. Gdzie pan się podziewa?

– Spałem...

– Wpół do dziesiątej już! – Prokurator był wyraźnie podniecony.

Usiadł, oparł się o wezglowie łóżka, przetarł oczy. Lupa spała, Anna również.

– Momencik, wstanę.

– Nie mam czasu. Tylko jedna dobra wiadomość. Zatrzymaliśmy na granicy Domenica Cuntrere. Usiłował zbiec, ale karabinierzy go dopadli. Miał teczkę pełną papierów, które... No w każdym razie będzie co sprawdzać. Kretyn się ich nie pozbył.

– Cieszę się.

– To wszystko dzięki panu i dzięki mnie. Wspaniała rzecz. A teraz zła wiadomość.

– Słucham.

– O wpół do jedenastej mamy wspólną konferencję prasową. Costa, ja, generał karabinierów Tosti i oczywiście pan.

Mózg mu jeszcze nie pracował. Jedyny wykręt, jaki przyszedł mu do głowy, to było: mam gorączkę, ale prokurator tylko się zaśmiał.

– I niech pan przyprowadzi swoich ludzi. Najwyższa pora, żeby ich praca w cieniu ujrzała światło dzienne i została uwieczniona na pierwszych stronach gazet, które już jutro wyrzucimy do kibla. Punktualnie za godzinę u mnie w biurze!

Godzina. Akurat tyle, żeby wziąć prysznic, przebrać się, zjeść coś szybko w barze i zajrzeć do biura na poranną świecką modlitwę. Zdecydował, że nie ma sensu budzić Anny. Lupa patrzyła na niego, merdając ogonem.

– Musimy iść, mała.

Śnieg się roztopił i wszędzie było pełno wody. Skręcili w jego ulicę i dotarli do bramy.

– Zaraz poznasz Marinę – powiedział do suczki, kiedy piła z kałuży na chodniku. – Na pewno ją polubisz.

Wsunął klucz, otworzył drzwi. Coś było nie tak. Od razu to wyczuł. Coś wisiało w powietrzu. Jakiś zapach. Zapach, którego już dawno nie czuł, wisiał złowieszczo jak poranna mgła.

– Adele, jesteś?

Była, ale nie mogła odpowiedzieć. Spod podziurawionej kołdry wystawała blada ręka. Strużka krwi spływała z materaca na parkiet.

Zamknął oczy, opadł na fotel. Rozplakał się.

Pierwsi dotarli Italo i Caterina. Potem Fumagalli, Casella i Scipioni. Mieszkanie, do którego nikt nie przychodził przez dziewięć miesięcy, zapełniło się ludźmi. Zaraz miała przyjechać ekipa z Turynu. Rocco skulony na kanapie wciąż nie czuł się na siłach, żeby zadzwonić do Sebastiana.

Fumagalli podszedł i usiadł obok.

– Osiem strzałów, wszystkie celne. Trzy śmiertelne. Z bliska. Jeśli cię to pocieszy, umarła we śnie.

Rocco nawet na niego nie spojrzał.

– W głowę?

– Nie, sześć w plecy, jeden w nogę, jeden w przedramię.

Rocco przytaknął.

– Oczywiście wiesz, kto to.

– Adele Talamonti, przyjaciółka z Rzymu.

Trzymał dłonie splecione między nogami, wyglądał jak kupka nieszczęścia.

– Dokąd pójdziesz spać?

– To teraz najmniejszy z moich problemów.

– Mój dom jest twoim domem – zadeklarował lekarz.

– Według ciebie o której zginęła?

– Powiem ci dokładnie za godzinę. Jest jeden pomocny szczegół. Jej zegarek stanął o wpół do piątej. Może zatrzymał się sam z siebie, może nie. – Klepnął Rocca w kolano i wrócił do pracy.

– Alberto?

– Słucham?

– Traktuj ją dobrze. Znam ją niemal od urodzenia.

Nie mógł dalej tego odkładać. Nadeszła chwila rozmowy z Sebą. Chciał to zrobić bez świadków. Wstał, wziął komórkę, wyszedł z domu obserwowany przez zasmuconego Itala i zmartwioną Caterinę. Scipioni za to blokował Casellę, który ewidentnie miał ochotę połączyć sobie po mieszkaniu.

– Seba? Mówi Rocco.

– Wiem, wyświetliłeś mi się. – Miał nieobecny, smutny głos.

– Nie mam dobrych wiadomości.

– Co się dzieje?

– Rozmawiałeś z Furiem?

– Tak, a czemu pytasz? Mówił ci, że Adele zniknęła?

– Nie zniknęła.

– Wiesz, gdzie jest?

– Wiem, była u mnie.

Seba milczał.

– Seba, słyszysz mnie?

– Była... Dłaczego była? Gdzie pojechała?

– Dziś w nocy ktoś do niej strzelał. Zginęła, Seba.

– Co ty pierdolisz? Jeśli to dowcip, to wcale mnie nie śmieszy.

Rozłączył się. Rocco spróbował znów wybrać numer. Zimny głos operatora zawiadomił go, że abonent czasowo niedostępny. Zadzwoił do Furia.

– Hej, Rocco, Adele już u ciebie? Bo wiesz, że Seba...

– Słuchaj, coś strasznego. Zadzwoń do Seby, jedź do niego do domu.

– Po cholere? Coście, kurwa, narozrabiali?

– Zastrzelili Adele, tu u mnie w domu.

– Cholera...

– Pospiesz się, Furio, Seba chyba źle się poczuł.

Łatwo można było przewidzieć, że wydarzeniem dnia stało się nie aresztowanie Domenica Cuntrery pseudonim Mimmo, lecz tajemnicze zabójstwo w domu wicekwestora. Konferencja prasowa w prokuraturze szybko skręciła w tę stronę, wiadomość bowiem w parę minut zelektryzowała miasto i zaintrygowała dziennikarzy.

Po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy Rocco Schiavone siedział w gabinecie swojego zwierzchnika, który miał twarz jeszcze bledszą od twarzy prezydenta republiki na ściennym portrecie. Costa był zmieszany. Po tylu miesiącach współpracy zaczynał lubić tego dziwnego policjanta. Nigdy by tego nie podejrzewał pierwszego dnia, kiedy spotkali się na parkingu pod komendą, gdzie Rocco zameldował się z krzywym uśmiechem i oczyma zasnutymi smutkiem. Costa znał jego przeszłość oraz powód przeniesienia do Aosty. Zasięgnął jednak informacji u kolegów w ministerstwie i wiedział, że Rocco Schiavone dokonał wielkich rzeczy na służbie. A teraz siedział przed jego biurkiem z takimi samymi smutnymi oczyma.

– Jak się nazywa? – zapytał, wskazując na psa, który zasnął wicekwestorowi na kolanach.

– Lupa.

– Znalazł go pan?

– Moi koledzy podczas poszukiwań Chiary Berguet.

– Jakiej rasy?

– Proszę zgadnąć. Ma tyle ras w sobie, że na pewno pan którąś trafi.

– Zostanie z panem?

– Kiedy pies cię znajdzie, musisz go zatrzymać. To nigdy nie jest przypadek, kiedy napotykasz psa. Ktoś ci go zesłał.

– A tego kto panu zesłał?

– Mam pewne podejrzenia. Ale nie mogę zdradzić.

– Porozmawiajmy o tym, co się stało. Ma pan jakiś pomysł?

– Nie, na razie nie.

– To pan miał być ofiarą?

– Na pewno. Adele Talamonti pracowała w barze swoich rodziców w dzielnicy Balduina. Jeśli chodzi o kryminalną przeszłość, ma konto czystsze od papieża. Może zdarzyła jej się raz w życiu jakaś pyskówka z sąsiadami na zebraniu wspólnoty mieszkaniowej. Była narzeczoną mojego bliskiego przyjaciela, Sebastiana Carucciego.

– Też niekarany?

– Nie. Miał sporo problemów z prawem.

– Może to on był celem?

– Niemożliwe. Tylko ja i Furio wiedzieliśmy, że Adele jest u mnie w domu. Furio to mój przyjaciel. Mój i Sebastiana.

– Ale ten Furio?

– Nie ma o czym gadać. Mówimy tu o braterskich więziach istniejących od ponad czterdziestu lat. Jeśli byłyby jakieś kwestie, tobyśmy je załatwili między sobą. Ten, kto wpakował w nią cały magazynek, sądził, że strzela do mnie.

– Muszę zadać panu to pytanie. Gdzie pan przebywał tej nocy?

– U Anny. Spałem tam.

– Dlaczego Adele znalazła się w pana domu?

– Sercowe sprawy. Ukrywała się u mnie, żeby Sebastiano dostał ataku zazdrości, zaczął jej szukać i udowodnił w ten sposób, że ją kocha. To sztubacki pomysł, ale oni byli... No trochę tacy. Costa zaczął składać kartkę.

– Zdaje pan sobie sprawę, Schiavone, że... No więc, nie świadczy to dobrze o panu ani o naszym zespole, że jeden z naszych ludzi jest zamieszany w historię... – Nie znajdował właściwego określenia.

– No trochę taką...

– Rozumiem, ale chciałbym panu przypomnieć, że to ja miałem być ofiarą.

– Wiem, wiem. Postaram się to wyjaśnić tym cholernym gazeciarkom i w ministerstwie. Ale...

– Ale, to jasne, lepiej dla pana byłoby mieć zastępcę z czystym kontem, bez porachunków z nie wiadomo kim, któremu nie zabijają gości w domu.

– Świetnie pan to ujął.

– Co mam zrobić?

– Na razie chciałbym, żeby się pan rozeznał, kto to zrobił. Ja tymczasem postaram się zaradzić sytuacji. Wie pan, że ma pan wielu wrogów w Rzymie.

– Nie da się ukryć.

– Nie, nie mam na myśli tylko zbirów i przestępców. Także w resorcie.

– Jestem, jak widać, ponadpartyjny.

– Kiedy się dowiedzą, być może, podkreślam: być może, zaczną się naciski, żeby pana przenieść.

– Pana zdaniem mogę trafić jeszcze gorzej?

– Drogi kolego, jeszcze mógłby pan zatęsknić za Aostą.

Rocco pokiwał głową. Lupa się obudziła.

– Czym ją pan karmi?

– Zaniosę ją teraz do weterynarza, potem zobaczymy.
– Miałem kiedyś wilczura, jadł jak człowiek, zresztą był dla mnie jak syn. Jak anioł.
Rocco milczał.

– Musi mi pan jedno obiecać.
– Słucham.

– Jeśli złapie pan zabójcę tej nieszczęsnej Adele, to zjawi się pan na konferencji prasowej bez żadnych wykrętów.

Rocco potwierdził ruchem głowy. Wstał.

– Nie ściskam dłoni, bo moja śmierdzi psem.
Ale Costa i tak wyciągnął swoją na pożegnanie.

– Proszę mi przynieść dobre wieści.
– Na to samo liczę od pana.

Zamknął się w biurze. Nie miał ochoty zapalić skręta. Nie chciał kawy. Lupa zasnęła, co zresztą jest podstawowym zajęciem szczeniaków. Ktoś zapukał do drzwi.

– Kto tam?

– Ernesto.

Farinelli. Rocco otworzył.

– Cześć...

Ernesto wszedł.

– Bardzo mi przykro.

– Dzięki. Siadaj.

– Niewiele mam ci do opowiedzenia. Osiem strzałów, kaliber 6,35 milimetra, rzadki, ale koszmarny w skutkach, jeśli użyty z bliska. Zabójca strzelał z dwóch metrów.

– Wiesz, jak się dostał do środka?

– Przez balkon. Wspiął się po rynnie.

– Skąd masz pewność?

– W środkowej części znaleźliśmy odgięte zaczepy mocujące rynnę do ściany. Zatem powiedziałbym, że to ktoś dobrze ponad siedemdziesiąt kilo, wprawny we włamaniach, szyby okna były nietknięte, użył jakiegoś narzędzia, żeby odblokować zamek. Dokładna robota, fachowiec.

Popatrzyli po sobie.

– Nigdy nie widywaliśmy się z taką częstotliwością.

– No tak...

– Wiesz, kto cię chciał załatwić?

– Nie. Ale potencjalna lista jest długa.

– Zostanę w Aoście jeszcze kilka godzin. Tym razem pójdeź zdać raport do prokuratora, przysięgam. Dzwonił już?

– Nie.

– Myślisz, że mógł to być ktoś od tego porwania?

– Widzisz, Ernesto, trzy rzeczy mi się nie zgadzają. Pierwsza, to, że na ogół tacy ludzie nie działają aż tak szybko. Żeby się zemścić, czekają na dobry moment. Druga: po co mieliby włamywać się do domu jak złodzieje? Chodzę sam, na piechotę, mają mnóstwo okazji, żeby mnie sprzątnąć na pustej ulicy. I trzecia, brak podpisu. Na przykład strzału w głowę. Zwykle w ten sposób kończą egzekucję, żeby mieć pewność, że sprawa jest załatwiona. Ale nie, ten wszedł, strzelił i nawet nie sprawdził. To nie był ktoś zamieszany w porwanie, tylko jakiś kawał chuja, który ma coś do mnie. I boi się pokazywać publicznie. Ktoś, kto siedział albo jest poszukiwany.

– Będziesz miał problemy?

– Wszczęli dochodzenie. Przyjedzie jakiś nowy, który się tym zajmie. Co mam ci powiedzieć?

– Jestem do dyspozycji w razie jakichś wątpliwości.

– Dzięki, Ernè.

Po raz pierwszy Farinelli uścisnął mu dłoń.

- Osoba, której szukasz, pochodzi z twojej przeszłości?
- Tak, skądś tam. Tylko że to tak, jakby wetknąć nos w ciemną dziurę bez dna.
- Weź ze sobą długą czerwoną nić.

Roześmiali się.

- Dobra. I tak muszę tam zejść.

Zawsze o tym myślał, wiedział o tym. Prędzej czy później błoto wylałoby z brzegów i pobrudziło wszystko. No i teraz miał przed sobą morze błota i gówna, musiał w nie wskoczyć, wysmarować się, wtopić w tło, żeby odnaleźć ten cień, który wszedł do jego mieszkania i pozbawił życia Adele Talamonti, lat trzydzieści dziewięć, z perspektywami na wiele więcej. Zginęła z jego winy. Zamiast niego.

Będzie jego przekleństwem.

Czekał na murku przed szpitalem. Nad miastem zawisło popołudnie, tłumiąc powoli uliczne odgłosy. Nie padał deszcz, nie wiał wiatr, tylko nad szczytami gór we wszystkie strony krążyły chmury. Białe mini zaparkowało kilka kroków dalej. Pierwszy wysiadł Sebastiano, potem Furio zamknął samochód.

Szli powoli w jego stronę. Sebastiano wysoki, kudłaty, z niedźwiedzim cielskiem wbitym w pamiętą skórzaną kurteczkę. Furio w ciemnych okularach, niedogolony, w obcisłych dżinsach. Wstał i ruszył im naprzeciw.

Seba rozłożył ramiona. Uścisnął go tak mocno, że aż odebrało mu dech. Drżał i płakał, ścisnął kurczowo Rocca, jakby ten był boją na wzburzonym morzu. Furio zapalił. Zaczekał, aż jego przyjaciele wypuścili się z objęć, wtedy uścisnął bratersko wicekwestora. Wszyscy trzej płakali.

- Chodźmy, Adele czeka – powiedział Sebastiano.

Alberto bez słowa uchylił drzwi kostnicy. Do zwłok przykrytych prześcieradłem podszedł tylko Seba. Rocco i Furio pozostali na progu. Chcieli zapamiętać ją żywą. Lekarz uniósł płachtę.

Rocco ujrzał, jak ramiona przyjaciela się trzęsą. Sebastiano wziął rękę Adele, przytulił do twarzy, pocałował. Potem odłożył, odwrócił się. Zamiast oczu miał dwie czarne, przepastne dziury. Nic nie mówił. Wyszli z kostnicy. Rocco wymienił spojrzenia z lekarzem, który okrył z powrotem ciało Adele Talamonti, po czym wraz z Furiem poszli za przyjacielem.

- Zabieram ją do Rzymu.

Siedzieli na ławce i palili, gapiąc się na domy po drugiej stronie ulicy.

– Jak tylko będzie zgoda prokuratury – odparł Rocco. – Wierzysz mi, że wołałbym być na jej miejscu?

- Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił – wysyczał Sebastiano.

– Ktoś stąd? – zapytał Furio i to były pierwsze jego słowa od przyjazdu do Aosty.

- Nie, niemożliwe.

– Rzymskie porachunki?

– Sądzę, że tak. To, że Adele musiała zapłacić za moje cholerne sprawy, mnie dobija.

– Za nasze cholerne sprawy. Skąd wiesz, że to i nas nie dotyczy? – zauważył Furio, odrzucając daleko niedopałek.

– W takim razie załatwiłby to w Rzymie, nie jechałby aż tutaj. Wygląda na to, że każdy, kto się ze mną styka, musi potem za to zapłacić. – Rocco ukrył twarz w dłoniach.

– To ja ją zabiłem. Powinna się trzymać ode mnie z daleka – odezwał się Sebastiano.

– Wiedziałem, że to się źle skończy. Co teraz powiem jej matce? Ojcu? Niedobrze mi, a nie mogę nawet się zrygać. Co mam robić? – Nie pytał przyjaciół. Nawet nie siebie samego. Trudno było zrozumieć, do kogo kieruje pretensje. – Ciężko to zapomnieć, Rocco?

- Bardzo ciężko, prawie niemożliwe.

– Chciałbym pochować ją koło Mariny.

– Jasne, oddam jej swoje miejsce.

– Przysięgnij, że jak dowiesz się, kto to zrobił, zostawisz go mnie.

Rocco milczał.

- Przysięgnij!

Rocco potwierdził skinieniem.

– Chcę to usłyszeć!

– Przysięgam.

Zostawiwszy Sebastiana i Furia w hotelu, Rocco Schiavone przysiadł w ogródku baru przy rzymskim łuku triumfalnym. Lupa spała szczęśliwie wtulona w jego ramię. Pachniała popcornem.

– *A to kto? – pyta mnie Marina.*

– *To jest Lupa. Podoba ci się?*

Głaszcze ją.

– *Ma różowy brzuszek.*

– *Tak samo jak pyszczek.*

– *Będzie robiła siku i kupę w domu?*

– *Nie. Nie pytaj mnie, jakim cudem, ale jest dobrze wychowana. Załatwia się na dworze.*

Patrzy na nią wielkimi oczyma. Oczyma Mariny, w których zagubiłem się od pierwszego wejrzenia i nigdy już nie znalazłem wyjścia.

– *Co zamierzasz? – pyta mnie.*

Nie chodzi o psa.

– *Nie wiem.*

– *Będziesz go ścigał czy zaczekasz tutaj?*

– *Nie mam ochoty o tym myśleć.*

– *Masz pojęcie, kto to?*

– *Nie. I coś dziwnego się dzieje. Kiedy o tym myślę, nie mogę się skupić. Myśli mi ulatują.*

– *Zdarza się, kiedy myślisz o sprawach z przeszłości. Patrz, Lupa się obudziła.*

To prawda. Otworzyła oczy. Tylko teraz, kiedy oświetla je słońce, widzę, że są złociste.

– *Patrz, co za niebo, Marina. Cudowne. Błękitne jak nigdy.*

– *Ani jednej chmurki. Zobaczysz, ile będzie kwiatów.*

– *Mówisz?*

– *Tak jest zawsze. Śnieg pomaga, bo ma w sobie azot. Niedługo będziesz rozdziawiał gębę z podziwu. Wiesz, jak tak patrzę, z profilu przypominasz mi swojego ojca.*

– *Uważasz, że to dziwne?*

– *Nie. Ale nie obraż się, był o wiele przystojniejszy od ciebie. Wyższy, miał błękitne oczy i był miłszy w obejściu.*

Śmieję się.

– *Dobrze go znałaś?*

– *Nie bardzo. Ale kiedy się w tobie zakochałam, popatrzyłam na niego i powiedziałam sobie: jeśli on starzejąc się, będzie taki, to go biorę!*

– *I co z tego wyszło?*

– *Nie wiem. Co wyszło?*

– *Że starzeję się sam.*

– *Dlaczego nie dasz mi odejść, Rocco?*

– *Nie mogę.*

– *Minęło sześć lat.*

– *Nie prosz mnie o to więcej.*

– *Proszę, Rocco, nie daję już rady.*

– *Ja też nie. Też nie daję rady.*

– *Widzisz? Słońce zaszło, ale jeszcze nie jest noc. Popatrz na ludzi na ulicy. Nie mają już cieni. Wydaje się, jakby lecieli. Tracą ciała. Wydają się snem, mgłą, porzuconymi strzępami.*

– *To prawda. Wspomnienia też nie mają ciała. Ale są tutaj.*

Patrzy na mnie poważnie. Nie lubię, kiedy Marina patrzy poważnie.

– *Wspomnienia odchodzą, kochanie. Dzień po dniu, nawet nie zdajesz sobie sprawy, ale odchodzą. I te piękne, i te straszne. Połyka je noc, mieszają się z cudzymi wspomnieniami. Nie*

odnajdziesz ich, nawet jeśli się postarasz. Aż do chwili, kiedy sam staniesz się wspomnieniem. Wtedy wszystko będzie łatwe.

– Daj mi rękę.

Wyciąga ją ku mnie. Lupa chce zejść. Otrząsa się, biega dookoła. Goni za gołębiem, ale ten odlatuje. Szczeka wysokim, szczenięcym głosem. Wraca do mnie. Merda ogonem i przekrzywia łeb. Niedługo zrobi się ciemno. Lupa chce papu.

Podziękowania

Mam powinność i przyjemność podziękować Paoli i Giampiemu, mojej rodzinie (Toniemu, Laurze, Giovannie, Francesco i Marco) – pierwszym i najsurowszym czytelnikom rękopisu. Podziękowania zechcą przyjąć: za przenikliwość Valentina, za cenną pracę Mattia, za niezbędne wsparcie Marcella, Maurizio, Francesca, Valentina. Szczególne dzięki dla Olivii i Antonia. Witaj na świecie, Emma, numerze pięć. Braterski uścisk dla Picchia „nie-przemuj-się-już-zaraz-idę”, dla Pietra i *last but not least* dla Fabrizia „oberwiesz-za-swoje”.

A.M.